Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

PL ISSN 0472-5042

Nr indeksu 36762

NR 36 (1432) ROK XXVIII 7 WRZEŚNIA 1985 CENA 20 ZŁ

- A myśmy tak im wierzyli...
- Brawa i gwizdy
- Szampańskie dziewczęta
- Uwierzmy w czary
- Historia śmiertelnej choroby
- Pod gołym niebem

BOHDAN GADOMSKI
Na miejscu
Sopot '85 10

KRZYSZTOF DRZEWIECKI
Przed telewizorem 9

Nie załamywać się przy pierwszym niepowodzeniu

Rozmowa z IRENĄ STASIŃSKĄ — technikiem poligrafem w Zakładach Graficznych Wydawnictw Szkolnych i Pedagogicznych, radną DRN Łódź — Bałuty, kandydatem na kandydata na posła w okręgu wyborczym nr 42 w Łodzi.

— Zaczął się dla pani gorący okres: zebrania, spotkania z wyborcami. Czy zdążyła już pani być na urlopie?

— Nie. Zresztą zwykle jeżdżę na urlop na przełomie października i listopada.

— Dokąd pani jeździ?

— Zwykle nad morze. Wtedy nie ma tam ludzi. Lubię odpoczywać nad morzem, gdy jest cicho i spokojnie.

— To chyba reakcja na liczne kontakty z ludźmi podczas reszty roku. Czy może pani wymienić swoje społeczne funkcje?

— Jestem już drugą kadencję radną Dzielnicowej Rady Narodowej na Bałutach, jestem członkiem Prezydium PRON w moim zakładzie pracy, sekretarzem SIMP i członkiem Komisji Ideologicznej Komitetu Łódzkiego PZPR.

— Jest pani ciągle jeszcze delegatem na IX Zjazd PZPR. A jakie jeszcze funkcje pani pełniła?

— Byłam I sekretarzem POP w Zakładach Graficznych Wydawnictw Szkolnych i Pedagogicznych oraz członkiem Wojewódzkiej Komisji Kontroli Partyjnej.

— Jak to się stało, że zaczęła pani pracować społecznie?

— Samo przyszło. Mój ojciec był działaczem związków zawodowych. W szkole byłam w ZMS, w zakładzie pracy również. Wiele zawdzięczam mojemu pierwszemu dyrektorowi Jerzemu Szymczakowi, który pomagał mi, zachęcał do pracy społecznej, uczył jej. Teraz jest już na

4

Problemy moralne interesują mnie szczególnie

W wykazie „kandydatów na kandydatów" na posłów do Sejmu PRL w Okręgu Wyborczym nr 43 widnieje nazwisko znanego działacza Stowarzyszenia PAX, MARKA KABATA.

W jakim charakterze gościmy dziś Pana w Łodzi? Czy przyjechał Pan na spotkanie z wyborcami?

— Spotkania z wyborcami akurat dziś (23 sierpnia 1985) nie mam w planie, ale mój pobyt wiąże się również z kampanią wyborczą. Przede wszystkim jednak mam robocze spotkanie z działaczami łódzkiego oddziału Stowarzyszenia w sprawie działalności Centralnego Ośrodka Inicjatyw Społecznych na rzecz ładu moralnego „ETOS" działającego od miesiąca właśnie w Łodzi. Przygotowujemy seminarium na terenie oddziału łódzkiego. Traktujemy je również jako jeden z elementów naszej, paxowskiej akcji przedwyborczej. Jestem więc w tę imprezę zaangażowany niejako podwójnie — jako dyrektor Ośrodka i jako łódzki kandydat przed wyborczy. Zaproponuję taką nazwę, bo „kandydat na kandydata" brzmi nieco... tautologicznie.

Proszę zatem kandydata przedwyborczego o kilka słów o sobie — w takim skrócie, jak w wydawnictwach typu „Who is who"...

— Urodziłem się w Rogoźnie Wielkopolskim w roku 1931. Skończyłem studia na Wydziale Humanistycznym Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Z ruchem społecznie postępowych katolików PAX związany jestem nieprzerwanie od 1951 roku. Już w roku 1953 pełniłem pierwszą poważną funkcję społeczną — zostałem sekretarzem Komisji Duchownych i Świeckich Katolików przy

4

EDWARD K. NOWAK

Frustracja a samorządność

Jako naród jesteśmy skazani na siebie. Może nam być lepiej lub gorzej, tak jak w małżeństwie. Naród nie może się jednak rozwieść. Może się tylko dogadać". To stwierdzenie prof. Mariusza Gulczyńskiego mogło posłużyć za motto dla kolejnego spotkania intelektualistów w Jabłonnie koło Warszawy,, które zorganizował w czerwcu 1985 r. Warsztat Opinioznawczy Centrum Badania Opinii Społecznej (CBOS) dla respondentów ankiety na temat współdecydowania i współodpowiedzialności. Był to drugi etap badań środowisk opiniotwórczych. Celem pierwszego (ankietyzacja) było zebranie opinii i propozycji w kwestii: czego potrzeba Polakom, aby mogli wykorzystać posiadane możliwości; aby dążenia do współdecydowania łączyły się ze współodpowiedzialnością; aby instytucje władzy nie ulegały alienacji, a w społeczeństwie nie odradzała się anarchia. Celem drugiego etapu (spotkanie respondentów) — było przedyskutowanie spornych ocen źródeł bierności, nieodpowiedzialności i postaw roszczeniowych w społeczeństwie polskim oraz kontrowersje na tle dróg wyjścia.

W spotkaniu wzięli udział: naukowcy, publicyści i robotnicy — twórcy skupieni wokół dwutygodnika „Twórczość Robotników"; członkowie PZPR, SD, PAX, PZKS, Klubów Inteligencji Katolickiej i przedstawiciel Społecznej Rady Prymasowskiej oraz liczna grupa nie zrzeszonych. Naturalnie — byli też działacze PRON.

Biorący udział w spotkaniu nie stanowili jakiejś reprezentatywnej próbki. Ale też „reprezentatywność" nie jest potrzebna przy próbach merytorycznego rozwiązania podstawowego problemu, któremu służy Warsztat Opinioznawczy CBOS: jak zintegrować społeczeństwo wokół rządu choćby na poziomie przetrwania narodu i znalezienia odpowiedzi na wyzwania cywilizacyjne. Ważniejsze są tu punkty widzenia ekspertów, nosicieli nurtów ideowych i politycznych faktycznie występujących w społeczeństwie polskim, aniżeli „średnio ważone opinie". Ze zderzenia się owych punktów widzenia, konfrontacji uczonych i robotników, wyłaniają się wartości wokół których można zintegrować społeczeństwo i problemy gdzie takie zbliżenie nie jest możliwe, gdzie władza ludowa musi rozstrzygać, nawet przy pomocy siły — jak zajdzie potrzeba, czy preferować takie lub inne rozwiązania.

Takie też założenia przyświecały spotkaniu w Jabłonnie. Problemy współdecydowania i współodpowiedzialności rozpatrywano z punktu widzenia „kącika śniadaniowego robotników i katedry uniwersyteckiej"; marksistów i katolików; wierzących i ateistów; humanistów i techników; zrzeszonych i nie zrzeszonych: postaw prorządowych i niechętnych obecnej ekipie przywódczej.

Spotkanie w Jabłonnie było dokładną niemal ilustracją politycznej dyrektywy PZPR, którą swego czasu sformułował szef rządu i przywódca partii: nieważne skąd przychodzi, ważne dokąd chce iść, po której stronie się opowiedział, jak się dziś zachowuje i czemu służy.

Ze zderzenia się racji i argumentów rodziły się gorzkie refleksje nad przegrywaniem przez Polaków wyścigu do nowoczesności i różne koncepcje dalszego usprawniania mechanizmów sterowania życiem społecznym. Prezentuję tylko fragmenty na zasadzie wyboru z natury rzeczy subiektywnego, omawiam i opatruję komentarzem na własne ryzyko.

ŹRÓDŁA BIERNOŚCI I NIEODPOWIEDZIALNOŚCI

Punktem wyjścia były poszukiwania źródeł utrzymujących się jeszcze w społeczeństwie polskim obszarów apatii, bierności, nieodpowiedzialności i postaw roszczeniowych. Dociekając skąd biorą się te zjawiska, jedni szukali przyczyn w działaniach lub zaniedbaniach władzy, drudzy — w charakterze narodowym.

Pierwsza szkoła myślenia twierdziła, że metody i narzędzia sterowania społeczeństwem były niewłaściwe i rodziły negatywne skutki: władza nie ufała społeczeństwu i umacniała prerogatywy urzędników. Biurokratyczne zarządzanie, które swoje apogeum osiągnęło w latach siedemdziesiątych, rodziło roszczeniowe postawy: kto głośniej krzyczał, tym więcej otrzymywał. Zachodziło tu negatywne sprzężenie zwrotne. Im bardziej rozkwitała biurokratyczna monopolizacja władzy, tym silniej wzmagały się postawy roszczeniowej i anarchistycznej nieodpowiedzialności. Polityka kadrowa premiowała mierności, bierność, lojalność i posłuszeństwo, a nie fachowość i uczciwość. Awanse były przypadkowe i oparte na osobistej znajomości kandydatów. Drogą awansu było „wchodzenie w układy', a nie rzetelna praca i jej wyniki. Próby nie kontrolowanej przez władze aktywności społeczeństwa były tępione z siłą godną lepszej sprawy. Skutkiem tego więzi nieformalne rozkładały się i słabło działanie norm moralnych. Te i podobne metody sprawowania władzy powodowały, że nasze państwo — z założenia sprawiedliwości społecznej — stawało się państwem nieodpowiedzialności i byle jakiej pracy. Nieokiełznana demagogia i szaleństwa strajkowe okresu od sierpnia 1980 r. do 13 grudnia 1981 pogłębiły ten stan rzeczy.

W takich zastanych warunkach działa obecne kierownictwo partyjno-państwowe.

Druga grupa respondentów przyczyn bierności, nieodpowiedzialności i postaw roszczeniowych dopatrywała się raczej w pierwszej kolejności w: tradycjach przeszłości: czynnikach psychologicznych — zakodowana niechęć do władzy i do ponoszenia odpowiedzialności; braku zwartego systemu idei i wartości przenikających i spajających całość naszego życia społecznego.

Naturalnie, sporu nie rozstrzygnięto. Prawda zapewne leży gdzieś pośrodku. Toteż dobrze się stało, że ciężar dyskusji w tej kwestii przeniósł się na aktualne źródła utrzymujących się obszarów bierności i nieodpowiedzialności. Tę część dyskusji można streścić w kilku punktach:

1. Rozczarowania wobec poprzednich ekip, ciężkie doświadczenia, szok stanu wojennego, upadek mitu „Solidarności" i obniżenie stopy życiowej zachwiały wszelkimi autorytetami i równowagą psychiczną społeczeństwa. W takich warunkach społeczeństwo nie kieruje się logiką i trudno mu koncentrować się na szarej, codziennej pracy. Jedni „gardłują za demokracją. Nie umieją jednak z nią żyć". Nie korzystają nawet z istniejących możliwości, wcale zresztą niemałych. Drudzy — w ogóle demokracją się nie interesują. Wszyscy jednak, świadomie lub podświadomie, szukają kozła ofiarnego i sprawcy niepowodzeń. W polu widzenia wszystkich jest grupa przywódcza. Stąd utrzymujący się nadal stereotyp zwalania winy na rząd i par-

3

Odgłosy

Adres redakcji: 90-113, Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny i zastępca redaktora naczelnego: 36-52-44, sekretarz redakcji, fotoreporter: 36-80-99, publicyści: 36-77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.

Zastępca redaktora naczelnego: Tomasz Sas.

Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu literackiego: Grzegorz Gazda

Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak, Roman Kubiak, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski, Jolanta Wrońska.

Grafik: Janusz Szymański-Glanc.

Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.

Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Edward Bryl Krzysztof Drzewiecki, Bohdan Gadomski, Witold Kasperkiewicz, J. Stanisław Knypl, Włodzimierz Krzemiński, Edmund Lewandowski, Alfred Lutrzykowski, Władysław Malka, Marek Mamos, Zenon J. Michalski, Jerzy Panasewicz, Karol J. Stryjski.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch" 91-103 Łódź ul. Piotrkowska 96

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch" 90 950 Łódź, ul. Armii Czerwonej 28

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. dla instytucji i zakładów pracy: — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli 2 dla indywidualnych prenumeratorów: osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli; osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonuje się używając „blankietu wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa — Książka — Ruch" 3 Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 28 00-958 Warszawa konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153-201045-139-11 Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca — poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Zam. 2607 P-14

Przegląd prasy

Większość pism społeczno-kulturalnych ukazała się w ubiegłym tygodniu z datą 1 września; od czterdziestu lat każdy z redaktorów czuje się zobowiązany dać na ten dzień, na tę kolejną rocznicę coś, co by wystarczająco godnie ją kwitowało w gazecie. Dzienniki ograniczają się do okolicznościowego komentarza (często agencyjnego) i jakiegoś dramatycznego, chociaż wielokrotnie eksploatowanego zdjęcia (salwa ze „Schlezwiga-Hollsteina" na Westerplatte, „weseli chłopcy z Heimwehry łamiący polski szlaban graniczny, łańcuszek bomb sypiących się z dorniera, rozpaczająca dziewczyna klęcząca nad zwłokami starszej siostry zabitej podczas nalotu...). Ot, po prostu — tych zdjęć jest mało w archiwach, a i w komentarzu niewiele można pomieścić, poza paroma sformułowaniami, dla których dawno już obmyślono odpowiednią konwencjonalną szatę słów.

Tygodniki są w lepszej sytuacji, chociaż kwestia Września jest już wyeksploatowana w znacznym stopniu. Ale zawsze można zdobyć coś nowego od badaczy tego okresu, albo o sprawach znanych napisać w sposób niebanalny, niekoniecznie odkrywczy, ale po prostu ciekawy. I bardzo dobrze, albowiem o tych sprawach

NIGDY ZA WIELE...

Z wielu powodów. Po pierwsze dlatego, że choć tamta wojna jest sprawą historyczną, to groźba wojny w ogóle — nie, nadal jest boleśnie aktualna. Po drugie dlatego, że potrzeba edukacji historycznej wcale nie jest pustym frazesem. Po trzecie zaś — Wrzesień 1939 roku jest węzłem ogniskującym różne polskie kompleksy, mity, uprzedzenia i „choroby", z którymi do dziś nie potrafimy skutecznie sobie poradzić. Innych powodów już wyliczać nie będę.

Jest dla mnie wszakże rzeczą niepojętą, przeciw której się buntuję, chociaż mało skutecznie, iż robimy to wszystko zgodnie z kalendarzem poszatkowanym na ważne okresy i rocznice, że narzuciliśmy sobie konwencję pisania „z okazji". Co więcej, ze sprawności w odnotowywaniu ważnych dat uczyniliśmy cnotę, wielce ważącą na ocenie tzw. całokształtu działalności redakcji. Ten swoisty „szantaż kalendarza" doskonale rozumieją rozmaici autorzy, przynoszący właśnie wtedy swe okazjonalne teksty w przekonaniu, że redakcje ulegną; temu szantażowi poddają się wtedy redaktorzy. Boć przecie opublikowanie tekstu o Wrześniu w grudniu albo w czerwcu jest rzeczą dalece niestosowną, wyłamaniem się z konwencji, traktowanym jak gafa towarzyska — z niesmakiem lub co najmniej zdumieniem... Jak gdyby „okolicznościowość" przesądzała z góry o wartości publikacji.

Mniejsza z tym, skoro co roku mimo wszystko pojawia się sporo ciekawych tekstów o Wrześniu. Od kilku lat też zmienia się ich optyka; kiedyś dominowała namiętna publicystyka polityczna, mająca swe źródła w pryncypialnych sporach o idee, w bezkompromisowych osądach narodowych mitów i błędów, wreszcie w ulubionym gaworzeniu „co by było, gdyby...". Współcześnie mamy dwa nurty: pierwszy ma charakter kronikarsko-techniczny, drugi zaś ma wymiar mikrokosmiczny patrzący na wojnę oczyma pojedynczego obywatela, uwikłanego w miażdżącą machinę zagłady. W tym nurcie humanistycznym mieszczą się rozmaitej wartości wspominki, pamiętniki, zapiski, osobiste, nieraz intymne refleksje szeregowców (bo już nie dowódców wyższych szczebli)...

W tegorocznej porcji publikacji w tygodnikach mamy do czynienia z oboma nurtami. Do pierwszego z nich należy na przykład tekst Tadeusza Krząstka w „Kulturze" (nr 13 — 85.08.28) — „Zanim „Sowy" uderzyły na Warszawę" — o przygotowaniach systemu obrony Warszawy przed nalotami lotniczymi Luftwaffe, albo Jana Zielińskiego w „Tak i Nie" (nr 35 — 85.08. 30) — „Od Kalet do Rogoźna" — o działaniach 3 Pułku Ułanów Śląskich. Ten ostatni tekst, fragment większej całości pt. „Księga wrześniowej chwały pułków śląskich", ma stanowić wypełnienie historycznego długu, jak pisze autor:

Wrześniowe dzieje pułków śląskich otoczone były przez lat kilkanaście tajemniczym milczeniem. Upływająca historia nie zawsze była dla nich łaskawa a żołnierze tych pułków jedynie

WE WŁASNYCH GRONACH KONTEMPLOWALI SWE LOSY,

przeżycia. Aktywny sygnał do działań historiograficznych, które mogłyby odtworzyć dzieje wrześniowej chwały, dał b. dowódca Grupy „Operacyjnej „Śląsk" gen. bryg. Jan Jagmin-Sadowski publikując pierwsze szkice o obronie Śląska. Przed śmiercią przekazał swym b. podwładnym krótki żołnierski testament: „Ocalcie od zapomnienia wysiłek śląskiego żołnierza".

No i słusznie. Tylko dlaczego tekst o ułanach ilustruje zdjęcie przedstawiające ciągnący zaprzęg artylerii konnej: Jeżeli tak ma wyglądać rzetelna historiografia, to wolę już teksty z nurtu drugiego, tego bardziej osobistego.

Należy do niego wydrukowany w „Polityce" (nr 35 — 08.31) „Dziennik oficera" — fragmenty robionych na gorąco zapisków por. Ewarysta Bartkowskiego, rezerwisty, zastępcy dowódcy kompanii łączności 29 DP (Armia „Łódź"). Marian Turski, prezentując autora i jego pamiętnik pisze, że jest on *„krytyczny w swoich obserwacjach"*. I na poparcie tej tezy cytuję fragment pamiętnika, datowany 28 sierpnia, gdzie por. Bartkowski sceptycznie wyraża się o możliwościach pomocy ze strony Anglii i Francji. *„Przyznać trzeba* — pisze Turski — *że odbiega to myślenie od powszechnego w owych dniach, pełnych euforii i wiary oraz zaufania w pomoc sojuszników. (...) Ten krytycyzm pogłębia się w miarę klęsk wojennych i znajdzie pełniejszy wyraz pod koniec, w analitycznych refleksjach."* Tak, to prawda. Przyznać trzeba, że por. Ewaryst Bartkowski zdał swój egzamin jako świadomy, myślący obywatel Rrzeczypospolitej.

Ale po lekturze tych zapisków drąży mnie pytanie — czy porucznik Bartkowski zdał swój egzamin jako oficer? Na pewno tak — lecz w jaki sposób? Doskonaląc się w walce. Bowiem na początku działań wojennych, tuż po mobilizacji był z niego tylko

NIESTARANNIE WYSZKOLONY OFICER

pełen „inteligenckich" wątpliwości rezerwista. 7 września zanotował (nb. na postoju w Łodzi — między Rudą Pabianicką a Starową Górą): *„To już nie odwrót, to wprost bezplanowa ucieczka zdemobilizowanego żołnierza. Co się stało w naszej armii? Co porabia nasze Naczelne Dowództwo? Kto za to wszystko weźmie odpowiedzialność: Rozpacz mnie ogarnia. Gdzie nasza organizacja? Gdzie istnieje jakikolwiek plan obrony?"*

Starannie wyszkolony oficer nie miewa takich rozterek. Jest bowiem przygotowany do działania samodzielnego i odpowiedzialnego, gdy zawodzi rozkazodawstwo przełożonych. (Nb. jest faktem, że por. Bartkowski służył w niewątpliwie najgorzej dowodzonej z „pierwszorzutowych" armii Września — w Armii „Łódź" gen. dyw. Juliusza Rómmla). Porządnie wyszkolony oficer nie ulega panice, a w ostateczności potrafi dowodzić własnym przykładem, nawet w sytuacjach ekstremalnych. Por. Bartkowski do tych profesjonalnych umiejętności dochodzi szybko — już w trzecim tygodniu wojny potrafi poderwać żołnierzy do ataku na bagnety, wyrwać się z okrążenia, opanować panikę, dbać o ludzi — mimo prywatnych wątpliwości i zniechęcenia, szczerze ujawnianego w zapiskach.

Tak ludzi zmienia historia... (Por. Ewaryst Bartkowski jako żołnierz podziemia został rozstrzelany przez Niemców w 1942 roku.) A jak

LUDZIE KSZTAŁTUJĄ HISTORIĘ?

Ryszard Frelek opublikował w „Przeglądzie Tygodniowym" (nr 35 — 85.09.01) pierwszy fragment scenariusza filmowego pt. „Kwestia wyboru" — o okresie między referendum w 1946 roku a pierwszymi wyborami do Sejmu po wojnie w 1947 roku. Według tego scenariusza Roman Wionczek realizuje film dla telewizji.

Już z pierwszego fragmentu można się domyśleć, że będziemy mieli do czynienia z tzw. panoramą. Bo czegóż tu nie ma — ludzie z ulicy, szeregowa dziennikarka, elita władzy, Józef Cyrankiewicz zakochany w Ninie Andrycz, Gomułka przy herbacie z żoną, Mikołajczyk ze swoją sekretarką i kochanką jednocześnie...

Mocną stroną scenariusza są zaproponowane przez autora dialogi. Jeżeli się ostaną po realizacji, to będziemy mieli sporo historycznych ciekawostek — od plotki po wielką politykę — i to jednocześnie! Oto próbka:

„Wieczór. Gomułka i Cyrankiewicz przed Belwederem. Cyrankiewicz odtwiera drzwiczki po prawej stronie „Humbera".
CYRANKITWICZ: Podwiozę was.
GOMUŁKA: Zawsze sami prowadzicie?
CYRANKIEWICZ: (zajmując miejsce przy kierownicy). Lubię to. (uśmiecha się) I nic tylko to.
Samochód rusza. Rozmawiają w czasie jazdy.
GOMUŁKA: Jaka jest sytuacja w waszej partii?
CYRANKIEWICZ: W PPS? Większość jest za bliskim współdziałaniem z PPR, ale także za zachowaniem Rządu Jedności Narodowej.
GOMUŁKA: Czyli za dogadaniem się z PSL-em?
CYRANKIEWICZ: Tak nawet kosztem ustępstw w sprawie liczby ich mandatów.
GOMUŁKA: Ja też jestem za tym. A wy sami?
CYRANKIEWICZ: Również Cyrankiewicz i Gomułka jadą dalej."

Ale dość o kwestii wyboru w 1947 roku. O wiele więcej miejsca w prasie zajmują kwestie wyborów w 1985 roku. Dominują dziś relacje z obywatelskich przedwyborczych zebrań konsultacyjnych z udziałem kandydatów na posłów. Daniel

PASSENT ZACISNĄŁ ZĘBY

i przeczytał ze dwadzieścia sprawozdań z „obywatelskiej debaty", zwanej również „przedwyborczą rodaków rozmową". I nie żałuje... *„W ten sposób przecież dowiadujemy się, kto kandyduje i o co na tych zebraniach chodzi."* — pisze w felietonie „Szanowni ludzie" („Polityka" nr 35 — 85.08.31).

W całości popieram refleksje Passenta, zresztą sam to już parokrotnie pisałem w naszym tygodniku. *„Sejm wyobrażam sobie* — pisze Passent *—jako ciało polityczne, w którym chodzi o sprawy zasadnicze, o plany długie i szerokie (...) a nie o szczegóły, załatwienie których w sprawnie funkcjonującym państwie jest domeną niższych szczebli."*

Nie jest to wyobrażenie bezsensowne. Tymczasem Pasent z niepokojem konstatuje, że na zebraniach mówi się głównie o konkretnych niedostatkach. *„Niektórzy, zbyt liczni, szanowni ludzie* — pisze — *oczekują, że Sejm podniesie emerytury, wyprodukuje lekarstwa, zbuduje i poszpręta szpitale oraz zaopatrzy wieś w narzędzia".* Z oczekiwaniami tymi współbrzmią obywatelskie preferencje dla kandydatów...

„Fakt np. iż ktoś jest wzorową gospodynią wiejską (..) nie jest moim zdaniem — pisze Passent — *dostateczną gwarancją, iż będzie dobrą posłanką. Przynajmniej nie w takim Sejmie, jakiego bym sobie życzył, tzn. w Sejmie politycznym. Przy całym szacunku dla takich kandydatek i kandydatów za ich wzorową postawę obywatelską, sądzę, iż w parlamencie potrzebne są przede wszystkim kwalifikacje i charakter w sensie politycznym. Jak z jednej strony nie dopuścić do powstania kasty zawodowych pasażerów karuzeli, (...) a z drugiej strony jak można być kompetentną posłanką, będąc przez całe życie przede wszystkim lekarką czy rolniczką — nie wiem. Lenin powiedział, że nawet kucharka może rządzić, ale jak to konkretnie ma wyglądać w Sejmie?"*

Może rządzić... Ale nie dzięki swym cnotom kucharskim, tylko politycznym i obywatelskim. Dla sprawowania władzy jest obojętne czy posłanka umie gotować — natomiast nie jest obojętne, czy potrafi myśleć i działać kategoriami szerszymi niż jej zastawiony garami piec.

TOMASZ SAS

Minął tydzień

31 SIERPNIA ZAKOŃCZYŁA SIĘ OFICJALNIE VIII KADENCJA

Sejmu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej — przedłużona o ponad rok, niezwykle trudna, pracowita i odpowiedzialna. Na 70 posiedzeniach Sejm uchwalił 203 ustawy i nowelizacje, podjął 422 uchwały i wysłuchał 44 informacji rządowych. Komisje sejmowe skierowały do rządu 508 dezyderatów i 443 opinie. Posłowie odbyli ponad 24 tysiące spotkań z wyborcami w terenie.

Od zakończenia kadencji do dnia wyborów najwyższą władzę sprawuje Rada Państwa, wyposażona w prawo wydawania dekretów z mocą ustawy.

CENTRALNA KOMISJA KONTROLI PARTYJNEJ

doknała analizy orzecznictwa w sprawach członków partii odpowiedzialnych za trwonienie społecznych pieniędzy na różnego rodzaju bankiety i przedsięwzięcia wyraźnie „rozrywkowe", organizowane pod płaszczykiem jubileuszy, szkoleń i narad. Z uznaniem oceniono reakcję wielu Wojewódzkich Komisji Kontroli Partyjnej (m.in. w Toruniu i Krakowie), które szybko i skutecznie stosowały kary partyjne wobec odpowiedzialnych za tego typu przewinienia. Niektórym komisjom wytknięto jednak nadmierny liberalizm w orzekaniu.

„NAJBARDZIEJ OBAWIAM SIĘ OBOJĘTNOŚCI I PRZECIĘTNOŚCI"

— powiedział przewodniczący OPZZ Alfred Miodowicz dziennikarzowi „Odrodzenia" — „A one rozkwitają. Mamy — moim zdaniem — jeden z najgorszych, od czasu wojny, systemów płac. Spłaszczony Nałożenie w roku 1984 kagańca w postaci podatku od zarobków, choć już złagodzonego, jest krokiem w bardzo złym kierunku ze strony ministra finansów. Bo kto płaci ten podatek? Płacą go najlepsi pracownicy, którzy ciągną produkcję, gospodarkę i naukę w górę. Bumelanci się śmieją. A głosimy przecież zupełnie inne hasła: „za dobrą pracę dobra płaca", „samofinansujące się przedsiębiorstwo". Przecież takie przedsiębiorstwo ma prawo zapłacić nawet i 100 tysięcy, jeżeli uważa, że tyle wart jest konkretny efekt pracy i wysiłek danego człowieka!"

CENTRALNY OŚRODEK INICJATYW SPOŁECZNYCH

na Rzecz Ładu Moralnego „Etos" powołany został w Łodzi z inicjatywy Stowarzyszenia Świeckich Działaczy Katolickich „Pax". To ciekawe przedsięwzięcie, mające w założeniach pracę na rzecz przezwyciężania kryzysu moralnego stanowić ma wkład „Paxu" w dzieło budowy porozumienia narodowego i dialogu. Nie ukrywamy, że z uwagą będziemy śledzić realizację tego interesującego i ambitnego zamiaru.

ROZPOCZĄŁ SIĘ NOWY ROK SZKOLNY

— do nauki przystąpiło około 7 milionów uczniów we wszystkich szkołach w całym kraju, w tym 670 tysięcy po raz pierwszy. Oddano do użytku 100 nowych szkół — daleko za mało w stosunku do potrzeb, liczonych nawet najskromniej (przy założeniu permanentnego przekraczania uzasadnionych norm zagęszczenia). W tej sytuacji nie zniknie zmora dużych, nowych osiedli mieszkaniowych w miastach całego kraju — nauka na trzy zmiany w przepełnionych szkołach i ad hoc przystosowanych pomieszczeniach: lokalach mieszkalnych, klubach, a nawet knajpach...

TRZYNASTOLETNIA SAMANTHA SMITH

„ambasador pokoju", amerykańska uczennica wsławiona listem do Jurija Andropowa, w którym opowiedziała się za przyjaźnią i dialogiem między USA i ZSRR — zginęła wraz ze swym ojcem w katastrofie lotniczej w stanie Maine.

LECH PIASECKI ZOSTAŁ MISTRZEM ŚWIATA

w kolarstwie amatorskim na rok 1985. Podczas wyścigu indywidualnego we włoskim miasteczku pod Alpami — Glavera del Montello — nie dał szans swym rywalom i rewelacyjnym finiszem (dotąd specjalnością kolarzy NRD) wygrał z całą światową czołówką. Jego sukces w Wyścigu Pokoju był zatem tylko prologiem do wielkiej międzynarodowej kariery. Oby się na tym nie skończyło...

METROPOLITA MIŃSKA I BIAŁORUSI FILARET

przebywał z wizytą w Polsce z okazji 900-lecia parafii prawosławnej w Drohiczynie. Przy okazji wizyty podjęto rozmowy o współpracy w dziedzinach interesujących obu kościoły, m. in. w kwestii walki o pokój i międzynarodowe współistnienie — między polskim autokefalicznym Kościołem prawosławnym a cerkwią w ZSRR.

SAMOLOTY LOT NA LINIACH KRAJOWYCH

latają dzięki ingerencji sił nadprzyrodzonych — zdaje się sugerować Waldemar Kosiński, naczelny poznańskiego tygodnika „Wprost", relacjonując swą podróż ze stolicy do Poznania rejsem nr 611 16 sierpnia br. Od godz. 18 do 23 samolot aż czterokrotnie podejmował próby startu — ostatnia się udała (jak i lądowanie zresztą — inaczej Kosiński nie miałby okazji podzielić się wrażeniami). Plujemy sobie w brodę, gdyż tego dnia byliśmy razem w Warszawie i nieprzekonywająco odwodziliśmy Kosińskiego od latania „Lot"-em na rzecz PKP, której agenturę reklamową trzymamy od dawna, wbrew malkontentom, którzy najlepiej czują się w podróży per pedes.

JAK DONOSZĄ „SZPILKI"

białostocki KAW wydał słynny (i poczciwy) poemat hrabiego Fredry „Sztuka obłapiania" — tyle, że wykastrowany przy pomocy kropek z co soczystszych fragmentów. Po co?

VICESEKATOR

A myśmy tak im wierzyli...

ZENON JANUSZ MICHALSKI

„...Jeśli Niemcy będą nadal obstawać przy swoich planach zaborczych, Polska podejmie walkę, nawet gdyby miała się bić bez sojuszników..."

— Edward Rydz-Śmigły

Tytuł i motto w zestawieniu sugerować by mogły iż będzie to kolejny rozrachunek z rządzącymi Drugą Rzecząpospolitą. Nie w tym rzecz jednak. Winnych wrześniowego dramatu osądziła już historia i żadne polityczne spekulacje nie zdejmą z nich ciężaru odpowiedzialności. Spróbujmy natomiast spojrzeć raz jeszcze na nasze ówczesne alianse, na intencje i rolę zachodnich sojuszników.

OBIETNIC NIE BRAKOWAŁO

„...Polska podejmie walkę nawet gdyby miała się bić bez sojuszników...". Ileż dramatyzmu zawierały w sobie słowa przyszłego Naczelnego Wodza w kampanii wrześniowej, zawarte w wywiadzie dla Polskiego Radia na kilka tygodni przed niemiecką agresją. On już wiedział, że na pomoc zachodnich aliantów nie ma co liczyć. Wiedział o tym także minister spraw zagranicznych pułkownik Józef Beck, który nieco wcześniej oświadczył ambasadorowi francuskiemu Nöelowi: *„nie robimy sobie żadnych złudzeń, wiemy doskonale, że nasz sojusz z wami jest jednostronny, jeśli zostaniecie zaatakowani przez Niemców Polska pospieszy wam z pomocą, bo to leży w jej interesie, ale wzajemność bynajmniej nie jest zapewniona..."*.

Tenże sam minister Beck w mowie sejmowej 5 maja 1939 roku łudził jednak posłów nadzieją pomocy stwierdzając, że *„...na pewno ani Anglia ani Polska nie żywią agresywnych zamiarów w stosunku do nikogo, lecz równie stanowczo stoją na gruncie respektu dla pewnych, podstawowych zasad postępowania w życiu międzynarodowym..."* i że — co zabrzmiało bardzo afektowanie, ale niestety bez pokrycia — Niemcy chcą *„...Odepchnąć Polskę od Bałtyku, od którego Polska odepchnąć się nie da!..."*.

Nie powiedział wprost — Anglia, Francja nam pomogą. Dyplomatycznymi zawiłościami starał się wywołać u posłów wrażenie czegoś, o czym dobrze wiedział, że nie istnieje.

Teoretycznie zresztą wszystko było prawie w porządku. 6 kwietnia 1939 roku podpisano w Londynie porozumienie polsko-brytyjskie. Poprzedzała je deklaracja, którą premier Chamberlain złożył w Izbie Gmin, a stwierdzająca, że *„...w wypadku jakiejkolwiek akcji wyraźnie zagrażającej niepodległości Polski, lub jej żywotnym interesom, której to akcji rząd polski uzna za konieczne stawić opór swymi narodowymi siłami zbrojnymi, rząd J. K. Mości będzie się czuł zobowiązany przyjść natychmiast z pomocą, jaką władny jest rozporządzać..."*.

Słowa te padły w Izbie Gmin 31 marca i mogły podziałać krzepiąco, jednakże trzy miesiące później przebywający w Polsce szef Sztabu Imperialnego generał Wiliam Ironside zapisał w swym dzienniku, że Polacy będą domagali się czegoś, co się da odczuć na ich froncie. *„...Trudno sobie przedstawić — stwierdził — jak my moglibyśmy to zrealizować mimo naszych gwarancji danych Polsce..."*.

Sojusz wojskowy polsko-francuski sprecyzował układ podpisany 21 maja 1939 roku, już w swych sformułowaniach — nie mówiąc o realizacji — dla Polski niekorzystny. Strona polska miała natychmiast uderzyć na Niemcy w wypadku ich agresji na Francję — strona francuska natomiast winna była przejść do ofensywy przy użyciu sił głównych w piętnastym dniu trwania wojny.

Tak prawdę mówiąc treść tego układu mogłaby nasunąć pytanie — kto i komu udzielał gwarancji?

Francuzi mieli świadomość, że i z tego nie będą się mogli wywiązać. Szef sztabu generalnego Georges wręcz oświadczył generałowi Gamelinowi, że nie można ustalić daty, kiedy armia francuska będzie gotowa do podjęcia ofensywy.

A myśmy wierzyli. Kiedy 3 września radio podało wiadomość o przystąpieniu Wielkiej Brytanii do wojny, ludność Warszawy odpowiedziała spontanicznie manifestacją pod gmachem angielskiej ambasady.

Przebieg tej manifestacji opisuje w swojej książce „Czas przeszły dokonany" przedwojenny polski dyplomata Jan Meysztowicz i jest w tej relacji fragment bardzo charakterystyczny:

„...Gdy na balkonie ukazał się sir Howard Kennard oraz minister Beck i wymienili manifestacyjny uścisk dłoni, od okrzyków zadrżały wszystkie szyby dookoła... Niewielu natomiast ze stojących z podniesioną ku balkonowi głową mogło dostrzec rzecz niesłychaną. Ambasador brytyjski płakał! „Czyżby przeczuwał — pyta dalej autor — że wiara, nadzieja, entuzjazm tego tłumu polskiego zostaną wkrótce zawiedzione? Może przypuszczał, może zdawał sobie sprawę, że Wielka Brytania nie dotrzyma zobowiązań? ..".

Czyżby przeczuwał? Raczej na pewno wiedział, tak jak i musiał wiedzieć ambasador Nöel, który w ogóle nie pokazał się manifestującym wysyłając do nich jednego z pracowników ambasady.

A może, powiedzmy sobie wprost, z góry spisano Polskę na straty, jak to kiedyś uczyniono z Czechosłowacją, z tym, że w przypadku Polski wiedziano, że drugie Monachium nie przejdzie.

Zaprotestują tu niewątpliwie rozmaici anglo- i frankofile, a może nie tylko oni i szukać będą faktów taki punkt widzenia obalających.

Spróbujmy zatem szukać motywów postępowania naszych ówczesnych sojuszników.

MACHIAVELLI SIĘ KŁANIA

Przedmiotem zainteresowania Wielkiej Brytanii i Francji w Europie wschodniej była przede wszystkim Rosja. Stosunek do Polski, czy Czechosłowacji kształtował się przez pryzmat stosunku do Związku Radzieckiego. Próbowano zniszczyć Kraj Rad drogą zbrojnej interwencji w latach 1918—1920 i nie wyszło. Dopiero w połowie lat trzydziestych ujawniła się w Europie siła programowo antykomunistyczna, którą można było wykorzystać właśnie dla antykomunistycznej krucjaty. Rzecz w tym jednak, że Adolfowi Hitlerowi śnił się równoczesny marsz na wschód i zachód dla zbudowania Tysiącletniej Rzeszy. Nie na darmo pieśń brunatnych batalionów zawarła w sobie złowieszczy refren: *„...dzisiaj słuchają nas Niemcy, a jutro cały świat..."*. Już Anschluss Austrii spowodował, że tradycyjne demokracje zachodnie poczuły się zagrożone.

Nic więc dziwnego, że dla Wielkiej Brytanii i Francji hasło „Drang nach Osten" było bardziej do przyjęcia niż w odwrotnym kierunku. Dawało to szanse na nabranie sił, przygotowanie się do obrony, a jednocześnie stwarzało realną szansę konfrontacji niemiecko-radzieckiej. Był tylko jeden problem. Krajom tym brakowało wspólnej granicy, umożliwiającej konfrontację. Rozdzielały je Czechosłowacja i Polska.

Z Czechosłowacją nie było większych problemów. Niewielkiemu krajowi, który w dodatku odważył się utrzymywać dobrosąsiedzkie stosunki ze Związkiem Radzieckim, szefowie rządów Anglii i Francji, wspólnie z przywódcami faszystowskich Niemiec i Włoch, podyktowali w Monachium warunki częściowego rozbioru, jako wstępu do późniejszej całkowitej utraty niepodległości. Ale później przyszła refleksja. Hitler zajął Czechosłowację bez walki, bez strat, zyskując znaczny potencjał przemysłowy i militarny. Stał się bardziej niebezpieczny dla Zachodu.

Następny kraj, na który napadnie powinien się bronić, zaczął się więc flirt z Polską, zobowiązania, gwarancje, układy, niepotrzebne zresztą, bo Polaków do obrony swego kraju nigdy namawiać nie było trzeba, ale próbowano nas zmierzyć własną miarką.

Gdy 1 września 1939 roku nawała hitlerowska ruszyła na Polskę, Anglia i Francja wypowiedziały wojnę Niemcom, nie podejmując jednakże działań wojennych.

Na próżno na zlecenie ministra Becka ambasadorowie polscy w Londynie i Paryżu składali demarche w sprawie rozpoczęcia choćby działań lotniczych przeciw Niemcom. Pomoc planowo nie nadchodziła, bowiem wejście Wielkiej Brytanii i Francji w stan wojny z Niemcami miało kilka funkcji — oprócz tej najważniejszej — to znaczy pomocy napadniętej Polsce.

Co dało Zachodowi wydanie wojny Niemcom?

Po pierwsze — miało zdopingować Polskę, aby broniła się do końca z nadzieją na pomoc aliantów.

Po drugie — miało przestrzec Hitlera, że na Zachodzie nie ma czego szukać, że mocarstwa zachodnie zdecydowane są bronić swego stanu posiadania.

Nie jest to naciąganie sprawy. Weźmy chociażby przykład rozmów sztabowych angielsko-francusko-radzieckich w Moskwie, w lecie 1939 roku. Skończyły się fiaskiem, a Anglicy i Francuzi całą winę zrzucali na stronę polską, że nie wyraziła zgody na przejście w wypadku wojny Armii Czerwonej przez terytorium polskie. Rzeczywiście rząd polski popełnił poważny błąd polityczny, ale przecież gdyby w Moskwie doszło do sojuszu angielsko-francusko-radzieckiego, to Hitler prawdopodobnie powstrzymałby się od ataku na Polskę. Ale Brytyjczycy i Francuzi przerwali rozmowy i opuścili Moskwę. Te stwierdzone różnice poglądów mogły tylko zachęcić Niemcy do agresji, a Rosjan pozostawionych samym sobie okresowo do Niemców zbliżyć.

Gdy na ziemi polskiej szalał najstraszliwszy z kataklizmów wojennych, armia francuska oddzielona od Niemców linią Maginota uprawiała to, co u nich samych nazywano „śmieszną wojną". Do czasu. Gdy okazało się, że Hitler zaczyna realizować także „Drang nach Westen" zyskaliśmy rzeczywistych sojuszników. A może to raczej sojuszników zyskali oni, bo polski żołnierz-tułacz, jakże korzystnie prezentował się na tle nierzadko rzucających karabiny francuskich towarzyszy broni.

Przypomniano sobie wtedy na Zachodzie, co powiedział Adolf Hitler w 1934 roku, a więc w rok po objęciu władzy. *„...Na wschodzie musimy panować aż po Kaukaz lub Iran. Na zachodzie potrzebujemy wybrzeży francuskich..."* Przypomniano sobie o wiele za późno.

W rozkazie do armii z dnia 1 września 1939 roku Naczelny Wódz Edward Rydz-Śmigły stwierdzał — *„...Bez względu na długotrwałość wojny i poniesione ofiary, ostateczne zwycięstwo będzie należało do nas i do naszych sprzymierzeńców..."*.

Tym razem się nie pomylił, z tym, że inne siły polityczne przygotowały w Polsce to zwycięstwo i inni byli główni sojusznicy.

W kampanii wrześniowej sprzymierzeńców nie było. Nie przyszli nam z pomocą, bo wbrew umowom nie byli w ogóle przygotowani na taką ewentualność.

A myśmy im tak wierzyli...

ze str. 1

tię. Stąd — podejrzliwość i nieufność wobec decyzji płynących z góry.

2. Kanały społecznej komunikacji funkcjonują w Polsce nieprawidłowo: w okresach stabilizacji — informacja w postaci wytycznych, dyrektyw i zaleceń spływa z góry do dołu. Kanał informacyjny z dołu do góry jest zablokowany. W okresach kryzysów — z dołu do góry płynie lawina żalów, pretensji i postulatów. Odbiór informacji z góry zostaje zablokowany: liczne kręgi społeczeństwa nie przyjmują do wiadomości racji i argumentów kierownictwa partyjno-państwowego.

3. Ekipa przywódcza proponuje to, co możliwe: politykę zaciskania pasa i wzrostu wydajności. Liczne kręgi społeczeństwa nie przyjmują tednak tego do wiadomości i niezadowolenie kumuluje się w postaci apatii, bierności i postaw roszczeniowych.

4. Bezpośrednie źródła utrzymującego się wciąż poczucia nieodpowiedzialności i bylejakości pracy to:

a) istniejące wciąż możliwości osiągania zarobków bez solidnej pracy — drogą układów, przetargów i nacisków; banki nie egzekwują racjonalności ekonomicznej: dyrektorzy, pod różnymi zresztą presjami, mogą wciąż podnosić płace bez wzrostu wydajności; silnym załogom i branżom płaci się więcej niż wynosi ich wydajność i często kosztem załóg i branż słabszych;

b) mała satysfakcja z dobrej i wydajnej pracy;

c) tolerowanie nieróbstwa i bylejakości.

su reform politycznych zapoczątkowanych przez obecną ekipę rządzącą, którzy z pozycji: wpierw zmieńmy świadomość społeczną a potem reformujmy struktury polityczne — wycofali się na pozycje: „Dzisiaj łatwiej jest reformować instytucje polityczne niż zmieniać świadomość społeczną. Toteż trzeba tą drogą iść". Zrewidowali swoje stanowisko nawet nosiciele poglądów o niereformowalności socjalizmu. Znalazło to odbicie w takiej oto konkluzji: System socjalistyczny jako taki jest reformowalny. Potwierdziły to m.in. doświadczenia węgierskie. Problem tkwi w tym, że tam nie było tak wykształconych i ustabilizowanych, jak w Polsce, grup interesów przeciwnych wszelkim zmianom.

Propozycje perspektywicznych reform politycznych formułowane w Jabłonnie wymagają dalszych przemyśleń i dopracowań. Będą przedmiotem kolejnej „burzy mózgów", którą Warsztat Opinioznawczy CBOS planuje zorganizować pod koniec br. pod hasłem: „Szanse Polaków" — już prawdopodobnie w ramach dyskusji nad projektem Perspektywicznego Programu PZPR, który będzie przecież programem zasadniczej większości społeczeństwa.

GRUPY PARTNERSKIE

Demokracja w nadbudowie to bardzo ważna rzecz. Po stokroć ważniejsza jest jednak samorządność na „parterze życia społecznego", a zwłaszcza na stanowiskach pracy. Szerokie są tam obszary bierności i postaw roszczeniowych.

Najskuteczniejsze remedium w przełamywaniu bierności i postaw roszczeniowych w zakładach pracy widziano we wprowadzeniu pełnej samorządności na szczeblu brygad roboczych. „Trzeba uderzać i zacząć — albo od forsy, albo od świadomości". Te i temu podobne tezy stanowiły punkt wyjścia przy kreśleniu wizji koncepcji grup partnerskich w Jabłonnie. Przy żadnym innym problemie nie odnotowałem takiej zgodności poglądów, która by zaprzeczała całkowicie znanemu powiedzeniu: „punkt widzenia zależy od miejsca siedzenia". Filozofowie i politolodzy, socjologowie i ekonomiści, emerytowany dyrektor i reprezentant nauk technicznych o nazwisku znanym nie tylko w Polsce, mechanik, górnik, walcownik i frezer, działacz kultury i etyk byli całkowicie zgodni, że jest to coś, co może uzdrowić naszą wciąż chorą gospodarkę i wyrwać ludzi z marazmu.

Koncepcja pełnej samorządności na szczeblu brygad roboczych pojawiła się pod wpływem doświadczeń węgierskich i ustawy o kolektywach pracowniczych uchwalonej w ZSRR w czerwcu 1983 w badaniach Warsztatu Opinioznawczego CBOS prowadzonych pod hasłem „Polski socjalizm?" (wrzesień — październik 1983); dyskutowali nad tą koncepcją naukowcy i robotnicy — twórcy, uczestnicy badań pt. „Cywilizacyjne perspektywy Polski socjalistycznej" (luty — czerwiec 1984); pełny kształt tej koncepcji nadał inż. Henryk K. Martyniuk, współpracownik dwutygodnika „Twórczość Robotników" i respondent CBOS. Pod patronatem Robotniczego Stowarzyszenia Twórców Kultury podjęto na początku 1985 r., eksperyment w jednym z rzeszowskich zakładów pracy.

Koncepcja pełnej samorządności na szczeblu brygady roboczej, czy grupy partnerskiej — jak nazywają to członkowie Robotniczego Stowarzyszenia Twórców Kultury, opiera się na założeniu, że ową samorządność można osiągnąć poprzez utworzenie brygad funkcjonujących według następującego modelu: zespół pracowniczy (brygada) otrzymuje zadania do wykonania w określonym terminie i środki niezbędne do ich realizacji, natomiast podział pracy i zarobków to sfera jego autonomii. Ma prawo przyjmowania i usuwania pracowników z brygady, powoływania i odwoływania brygadzisty w każdym czasie większością głosów oraz udziału w zyskach z tytułu obniżenia kosztów produkcji przez brygadę.

Zalety tego rozwiązania: sprzyja kształtowaniu postaw społecznych i innowacyjności, sprzyja samodyscyplinie i wzrostowi wydajności; zwiększa szanse na powodzenie reformy gospodarczej; eliminuje z brygady egoistów i nieroby; ogranicza takie negatywne zjawiska w zakładach pracy jak: różnorodne dyskusje nad poleceniami służbowymi: trzeba czy nie trzeba to lub owo zrobić; kładzie tamę wynagradzaniu za samą obecność w pracy oraz zasadzie „czy się stoi czy się leży...".

Koncepcja grup partnerskich ma też wady. Na jedną z nich zwracał uwagę inny respondent CBOS, robotnik — twórca, brygadzista w warszawskim „Predomie", który również bierze udział w eksperymencie „Ludzie rwą się do roboty. Stąd — nie ma radości z powodu czyjegoś powrotu do zdrowia. Wręcz przeciwnie. Im więcej chorych, tym więcej roboty dla zdrowej reszty" i wyższe zarobki. Brygada chce pracować przy jak najmniejszym składzie osobowym. Nikt zaś nie chce brać ani zwolnień lekarskich, ani korzystać ze zwolnień z innego tytułu. „Diabli biorą dobre stosunki koleżeńskie. Rwią się dawne układy". Te ostatnie zjawiska respondent oceniał raczej negatywnie, ale z punktu widzenia całej gospodarki narodowej mogłoby być akurat odwrotnie.

W dyskusjach nad koncepcją grup partnerskich przewijał się jednak sceptycyzm i niewiara, aby mogło to być możliwe do realizacji w aktualnych polskich warunkach. Na przeszkodzie stoi i to paradoks — samodzielność przedsiębiorstw, a w gruncie rzeczy inercja, wygodnictwo i niechęć do ryzyka wielu jeszcze kierownictw zakładów pracy. Idei samorządności brygad zagraża administracja gospodarcza. „Załatwiła już" w wielu zakładach pracy samorządy: przekształciła je — wbrew dyrektywom kierownictwa partyjno-państwowego — w wygodne dla siebie parawany. „(...) samorząd stał się ważnym elementem układu sił społecznych w przedsiębiorstwie. W części przedsiębiorstw (ok. 25 proc.) stał się aktywnym uczestnikiem procesów decyzyjnych, a w około 15 proc. przypadków wykazuje znaczną samodzielność działania" („Polityka" 1985-06-15). A w pozostałych 60 proc. przedsiębiorstw? Wprawdzie wytrawny badacz tych problemów Paweł Ruszkowski na łamach wyżej cytowanego tygodnika pociesza: „Badania socjologiczne na temat działalności samorządów przeprowadzone przez Centrum Badania Opinii Społecznej w kwietniu 1985 r., wskazują, że zarówno krzepiący optymizm, jak i żałobny lament są nieco przedwczesne", ale wymowa danych empirycznych bije swoją oczywistością.

Ideę samorządności brygad, jeszcze do końca nie sprawdzoną, może więc „wykoślawić" administracja gospodarcza Grupy partnerskie nie potrzebują bowiem mianowanych brygadzistów, a administracja gospodarcza jak „nie ma kogo ustawiać, to nie ma po co pracować". Nie potrzebują — referentów technicznych, pisarzy oddziałowych itp. Partnerem dla samorządnych brygad byłby tylko kierownik — zleceniodawca robót, technolog — pilnujący reżimu produkcyjnego, służby zaopatrzeniowe i rozliczeniowe. Stąd sceptycyzm. Stąd postulaty otoczenia tej inicjatywy szczególną troską ze strony organów samorządu pracowniczego (w tych zakładach, w których jeszcze coś znaczą), organów związkowych i POP i wsparcie ich „murem" przez wyższe instancje partyjne. Chciałoby się tu dodać, od siebie, że powodzenie idei grup partnerskich zależy od wyciągnięcia właściwych wniosków z mądrości zawartej w przysłowiu, które zacytował niedawno prof. Antal, dyrektor Instytutu Finansów w Budapeszcie na konferencji międzynarodowej w MINP UŁ: „Lubimy inicjatywy pochodzące z dołu, ale kochamy je dopiero wtedy, gdy ktoś o nich szepnie nam z góry".

EDWARD K. NOWAK

Frustracja a samorządność

Oceny funkcji socjalnej państwa i jej związków z biernością, nieodpowiedzialnością i postawami roszczeniowymi podzieliły respondentów na dwie grupy.

Pierwsza — nieliczna twierdziła, że owa funkcja jest nadmiernie rozbudowana, odciąga od rzetelnej pracy, uczy „naciągania" i domaga się, aby PRL z państwa nadopiekuńczego stała się „państwem pracy". Ostrzega, że doprowadzi to do tego, iż nie będzie pracownika bez ulg i przywilejów oraz specjalnych uprawnień zawodowych.

Druga — dominująca, kwestionowała tę tezę. Zgadzała się z poglądem, że istotnie nasze państwo toleruje nierobów i obiboków, ale jednocześnie ostrzegała, że uderzenie w funkcje socjalne państwa bije w istotę socjalizmu.

Wyjście w przełamaniu marazmu społecznego widziano w dalszych reformach politycznych w nadbudowie i w rozwoju samorządności na „parterze życia społecznego", głównie na stanowiskach pracy.

DEMOKRACJA W NADBUDOWIE

Dyskusje na temat dalszych reform polskiego systemu politycznego, zapoczątkowanych przez obecną ekipę przywódczą, wychodziły ze stwierdzeń: kończy się bezpowrotnie jeden z etapów budowy socjalizmu. Etap — ukształtowany w ZSRR na początku lat 30-tych. Nadchodzi kolejny, wyższy etap budowy socjalizmu. Fazie przejściowej towarzyszy zamęt ideologiczny i ujawniają się nowe konflikty. Stąd dramatyczne pytanie — jaki socjalizm? Na budowę nowej fazy socjalizmu nie ma gotowej recepty. Aby ją napisać, potrzebna jest polityczna debata.

Ścierały się ze sobą, „w warunkach laboratoryjnych", tak jak i w polskiej rzeczywistości, trzy stanowiska: dominujące — kontynuować i pogłębiać zapoczątkowane reformy polskiego systemu politycznego i stanowisko — negujące działalność reformatorską rządu. Trzecie — pośrednie — postulowało: przyhamować proces reform politycznych i wdrażać w życie tylko to, co zapisane w ustawach i w przepisach wykonawczych do ustaw.

Ze starcia racji i argumentów zwycięsko wyszedł nurt postulujący dalsze reformy polityczne jako środek wyzwalania energii społecznej. Nie obronili swego stanowiska zwolennicy przyhamowania proce-

ze str. 1

emeryturze, ale swój czas poświęca na przygotowanie materiałów związanych z 40-leciem naszego zakładu.

— Co jest najbardziej potrzebne, przydatne w pracy społecznej?

— Przede wszystkim trzeba chcieć. Trzeba tę pracę polubić. Niezbędne jest doświadczenie. No i trzeba rozumieć ludzi.

— Umieć z nimi rozmawiać.

— Również. To bardzo ważne. Byłam członkiem WKKP w trudnym okresie, bo przed IX Zjazdem i po Zjeździe. Wiele się wtedy nauczyłam. Przede wszystkim tego, że zanim podejmie się decyzję w sprawie człowieka, to trzeba wszystko dobrze i wszechstronnie zbadać. Nie można się pomylić, nie można popełnić błędu, bo można skrzywdzić człowieka.

— Nie ma pani wątpliwości czy wszystkie decyzje zostały właściwie podjęte?

— Niech się chwilę zastanowię... Nie, nie ma takich wątpliwości.

— Ale od tych decyzji odwoływano się?

— Były takie przypadki.

— I co? CKKP zmieniała je?

— Tak. Zdarzało się. Ale tylko wówczas, gdy w CKKP przedstawiano nowe, nam nie znane fakty, które całą sprawę ukazywały w innym świetle. A poza tym zespół, w którym pracowałam, składał się z ludzi pełniących tę funkcję po raz pierwszy. Z tego powodu musieliśmy być szczególnie uważni i dokładni. Ale też dzięki temu wiele nauczyliśmy się. To już nam zostało. Mnie przynajmniej.

— W spisie kandydatów podano pani wiek. Nie muszę być niedyskretna. Ale i tak wygląda pani jeszcze młodziej. Czy to pani nie przeszkadza? A może pomaga w pracy społecznej?

— Nie pomaga. Czy przeszkadza? Zdarza się, że ktoś kto mnie nie zna próbuje traktować trochę niepoważnie, ale po wstępnej rozmowie przekonuje się, że wygląd i doświadczenie nie muszą zawsze iść w parze. Można być młodym i mieć duże doświadczenie. I odwrotnie. Mnie to doświadczenie daje praca radnej. Pracuję w komisji wychowania, oświaty i kultury DRN Bałuty.

— Ma pani kontakt z wyborcami?

— Muszę mieć. Bardzo o to się staram. Raz w tygodniu jestem na dyżurze w komitecie osiedlowym.

— Zdarzają się dyżury puste, kiedy nikt nie przychodzi?

— Bywa i tak. Ale kontakt z wyborcami utrzymuję nie tylko poprzez dyżury. Ludzie mnie znają. Jeśli mają jakąś sprawę, to mówią o tym i na przystanku, w kolejce przy zakupach, czy przy innej okazji.

— Jakie to są sprawy?

— Różne. Są to czasami sprawy osobiste, ale bywają i o szerszym zasięgu. Na przykład mieszkańcy proszą o pomoc w urządzeniu placu zabaw, parkingu, wnoszą skargi na zaopatrzenie w sklepach osiedla. Osiedle Pojezierska cierpi teraz na bardzo złe zaopatrzenie i to w najbardziej powszechne artykuły spożywcze. Nie ma dużego wyboru masła, serów. Wspólnie z przewodniczącą komisji handlu i usług DRN Bałuty, Elżbietą Jakubowską interweniowałyśmy w Wydziale Handlu UD Bałuty i w „Społem".

— Poprawiło się?

— Mniej niż oczekiwałyśmy. Ale przekonałyśmy się, że to głównie zależy od ludzi. Masło w różnych gatunkach było w sklepach, ale nie wyłożone do sprzedaży.

— Czy któryś z kierowników sklepu odszedł z pracy z tego powodu?

— Nie. Odbyły się natomiast rozmowy ostrzegawcze.

— Sądzi pani, że to pomoże?

— Mam taką nadzieję.

— Jakie stanowisko zajmuje pani w Zakładach Graficznych Wydawnictw Szkolnych i Pedagogicznych?

— Jestem kierownikiem wydziału introligatorni.

— Zadowolona jest pani ze swej pracy?

— Mamy ogromne kłopoty. Na początku byłam załamana. Ale teraz nauczyłam się radzić sobie z trudnościami.

— Czy zdarza się pani popłakać z żalu, gniewu, wściekłości, gdy coś nie wychodzi, nie udaje się, napotyka pani na jakieś przeszkody w swojej pracy zawodowej, czy działalności społecznej?

— Kiedyś tak, teraz nie.

— Czy to znaczy, że pani zobojętniała, przestała być wrażliwa, czy też nabrała dystansu?

— Nie zobojętniałam, nie przestałam być wrażliwa, ale nabrałam dystansu. To prawda. Ludzie uważają, że jestem opanowana, rzadko wybucham, nie załamuję się. I to też jest prawda. Po prostu zrozumiałam, że nie może być tak, aby zawsze było dobrze, aby wszystko się udawało. Trzeba zatem być przygotowanym na trudności, niepowodzenia i umieć je przezwyciężać. Trudności, przeszkody i błędy, jakie popełniamy, są czymś normalnym, a nie nadzwyczajnym. Dlaczego więc załamywać się przy pierwszym niepowodzeniu?

— Jak liczną ma pani rodzinę?

— Jest nas troje: mąż i syn, który ma 11 lat.

— Kto jest w domu kierownikiem?

— Nie ma kierownika. Każdy ma swoje obowiązki, swoje zadania, swoje sprawy. Syn jest już harcerzem i działa w szkolnym samorządzie.

— Poszedł w ślady mamy?

— Nie tylko. Mąż pracuje w Prasowych Zakładach Graficznych RSW „Prasa — Książka — Ruch", tam też działa społecznie. Jest członkiem Komitetu Dzielnicowego PZPR Widzew.

— Kiedy macie czas dla siebie?

— Wieczorami, w sobotę, w niedzielę, w święta. Wtedy opowiadamy sobie o tym, co nas spotkało, co robiliśmy, jakie mieliśmy sukcesy i porażki. Czasem taka rozmowa przeciąga się dłużej w noc, ale warto tak porozmawiać.

— Jeśli uzyska pani akceptację wyborców, znajdzie się na liście wyborczej i zostanie wybrana, to czasu będzie pani miała jeszcze mniej. Czy wzięła pani to pod uwagę przy podejmowaniu decyzji, aby kandydować?

— To nie była tylko moja decyzja. Podjęliśmy ją wspólnie z mężem. Skoro rodzina zaakceptowała tę decyzję, to poradzimy sobie i z innymi trudnościami, gdy do tego przyjdzie.

— Co by pani chciała powiedzieć swoim przyszłym wyborcom?

— Chciałabym powiedzieć o sytuacji w poligrafii, wyjaśnić dlaczego na przykład brakuje podręczników szkolnych.

— A dlaczego brakuje?

— Powodów jest kilka. Przede wszystkim dlatego, że bardzo nierytmicznie otrzymujemy papier. Są dni kiedy zapas papieru jest wystarczający i możemy spokojnie pracować, ale bywa i tak, że papier kończy się, nie ma żadnego zapasu i maszyny stają. Te maszyny są już stare, zniszczone i potrzeba do nich części zapasowych. Są to maszyny zagraniczne, część pochodzi z krajów zachodnich i na zakup do nich części zamiennych potrzeba walut wymienialnych. A tych — jak wiadomo — nie ma. Pracujemy więc od awarii do awarii. Dorabiamy części zamienne, ale są one

Nie załamywać się przy pierwszym niepowodzeniu

Foto: Grzegorz Gałasiński

niepełnowartościowe. Mamy również niepełnowartościowe materiały, słaby klej, brakuje tektury. Papier jest złej jakości.

— Tylko siąść i płakać.

— Nie płaczemy. Pracujemy. Zwiększamy produkcję. Nie jesteśmy zadowoleni z jakości tej produkcji, ale musimy dokonywać wyboru, czy dać książkę gorszej jakości, ale dać ją w ogóle, czy też ugrzęznąć w trudnościach i nie dać tak potrzebnych książek? Sądzę, że dokonujemy właściwego wyboru.

— Zgadzam się. Mimo to czytelnika denerwuje, gdy kupi książkę i stwierdzi, że jeden arkusz jest nie dodrukowany, albo włożono dwa takie same arkusze, a jednego brakuje.

— Drukarstwo było kiedyś sztuką, teraz jest przemysłem. Nie jesteśmy w stanie skontrolować każdego egzemplarza książki. Braki mogą się zdarzać i zdarzają się. Uwzględniamy każdą reklamację, jeśli jest to tylko możliwe.

— Zbliża się nowy rok szkolny. Czy wszystkie książki dotrą do uczniów na czas?

— Nie. Mówię tu tylko o produkcji Zakładów Graficznych Wydawnictw Szkolnych i Pedagogicznych w Łodzi. Mamy teraz w oprawie „Biologię" dla VIII klasy. Nakład 800 tysięcy egzemplarzy. Skończymy oprawiać ten podręcznik dopiero we wrześniu, do uczniów dotrze więc najwcześniej w październiku. Spóźniona jest również „Historia" dla klasy V. O powodach tych spóźnień już mówiłam. Ale proszę nie myśleć, że to tylko wina poligrafii. Również wydawnictwa opóźniają nadsyłanie materiałów, spóźniają się autorzy. Program dla klas ósmych został zmieniony, stąd potrzeba nowych podręczników.

— Dlaczego książki są takie drogie i coraz droższe?

— Podręczniki dla uczniów nie są drogie. Inne książki tak. Drogie są albumy, książki naukowe, specjalistyczne.

— Coraz droższa jest również beletrystyka.

— Cenę kalkulują wydawnictwa. Jedne książki muszą zarobić na inne. Gdyby tak nie było, nie mielibyśmy debiutów, poezji, książek popularnych. Na przykład bardzo pracochłonne są książki naukowe. U nas składa się to jeszcze metodami tradycyjnymi, różne wykresy, tabelki, wzory. A to kosztuje.

— Czy może pani mi wyjaśnić, dlaczego na niektórych książkach są zamazywane stare ceny i podane nowe, wyższe?

— Powodem może być między innymi to, że okładkę drukowano wcześniej, bo była tektura. Później nastąpiło opóźnienie, na przykład z braku papieru. Zmieniła się kalkulacja. Podrożały koszty druku, papier i zmieniła się cena.

— Czy można spodziewać się postępu w poligrafii?

— Pewien postęp już jest. Choćby komputery, fotoskład. Wiem, że to mało, że odstajemy od poligraficznej czołówki i to zarówno w drukowaniu książek, jak i prasy. Ale tu również potrzebny jest wybór. Trzeba przede wszystkim utrzymać to, co już posiadamy, umocnić i dopiero stworzyć warunki do doganiania czołówki. Sporządzono raport o stanie poligrafii i program jej modernizacji.

— Wierzy pani w raporty i programy?

— Powinnam nie wierzyć, bo wiele już robiono i raportów i programów. Ale wierzę. Powiem dlaczego. Otóż nie można wyobrazić sobie w ogóle jakiegokolwiek postępu w gospodarce bez postępu w poligrafii. Nie można doganiać rozwiniętych krajów świata, nie dysponując nowoczesną poligrafią. Po prostu nie będzie szybkiego obiegu myśli, informacji, doświadczeń ze wszystkich dziedzin życia.

— Poza poligrafią potrzebny jest jeszcze nowoczesny przemysł papierniczy.

— Tu też są opóźnienia. Stare maszyny, brakuje ludzi do pracy. Podobnie zresztą, jak i w poligrafii. U nas praca jest trudna, szkodliwa dla zdrowia i nisko płatna.

— A mówi się, że w poligrafii są niezłe płace.

— To zależy z czym się porównuje. Zarobki w naszym zakładzie stanowią około 70 proc. średniej krajowej. Młodzi poligrafowie, którzy kończą szkoły poligraficzne, nie idą do pracy w poligrafii. Z tego właśnie powodu.

— Gdyby miała pani decydować o sposobie zaspokajania potrzeb społecznych, mając świadomość, że wszystkich się nie zaspokoi, co by pani wybrała? Co by pani uznała za najważniejsze?

— Wiem, że wybór jest trudny. Ludzie muszą mieć mieszkania. To pewne. Ale muszą też mieć książki. Zwróciłabym szczególną uwagę na produkcję książek. Dziecko jak najwcześniej musi się zetknąć z książką, musi się nauczyć posługiwać nią, korzystać z niej. I książka powinna towarzyszyć człowiekowi przez całe jego życie. Nie może być rozwoju kultury bez książki. Sama telewizja nie wystarczy i książki nie zastąpi. Żaden naród nie będzie się prawidłowo rozwijał, jeżeli nie będzie się rozwijała prawidłowo jego kultura. A zatem wszystko, co się wiąże z książką — z jej powstaniem i produkcją — nabiera szczególnego znaczenia. To dyktuje też wybór i nakazuje dążyć do unowocześnienia poligrafii i przemysłu papierniczego.

— Życzę pani powodzenia w zdobywaniu społecznego poparcia, akceptacji, ale niech pani nie dziękuje, aby nie zapeszyć.

Rozmawiała:
BOGDA MADEJ

Problemy moralne interesują mnie szczególnie

ze str. 1

Froncie Narodowym w Białymstoku. Następnie wybrano mnie na przewodniczącego Oddziału Wojewódzkiego PAX w Białymstoku. Byłem wówczas także — przez dwie kadencje — radnym WRN. Potem jeszcze piastowałem funkcję przewodniczącego OW PAX w Katowicach od roku 1971, kiedy to rozpocząłem działalność na szczeblu centralnym, jako Kierownik Wydziału Organizacyjnego w Stowarzyszeniu. Wreszcie awansowałem na stanowisko dyrektora Biura Prac Prezydium Zarządu Stowarzyszenia. Pełnię tę funkcję nadal i — jak wspomniałem — ostatnio także dyrekturę Ośrodka Inicjatyw Społecznych na Rzecz Ładu Moralnego, ośrodka, którego siedzibą jest Łódź.

Wreszcie sprawa obecnie chyba najważniejsza tj. moja działalność poselska. Byłem posłem na Sejm PRL V i VI kadencji. Zasiadałem w komisjach Spraw Wewnętrznych i Wymiaru Sprawiedliwości oraz Spraw Socjalnych. Myślę, że odpowiedziałem na to pytanie wyczerpująco?

Jeszcze jedno — odznaczenia?

— Kilka, z Krzyżem Oficerskim i Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia PRL na pierwszych miejscach. Bardziej prywatnie mogę dodać że szczególna przyjemność sprawiło mi odznaczenie Złota Odznaką „Zasłużony Działacz Kultury Fizycznej". Otrzymałem ją w roku 1980 za długoletnią działalność w KS „Maraton". To nasz, paxowski klub, znany np. z osiągnięć sekcji szachowej.

Wróćmy jeszcze na chwilę do wspomnianego Centralnego Ośrodka Inicjatyw Społecznych na Rzecz Ładu Moralnego. Nazwa wskazuje, że będzie on instytucją formalną wielu działań Stowarzyszenia, działań zresztą podejmowanych od lat, tkwiących korzeniami w ideowo-moralnych założeniach ruchu paxowskiego od początków jego istnienia, choć wówczas jeszcze nie posługiwaliśmy się określeniem „ład moralny".

— Najogólniej tak, choć jesteśmy ostrożni, jeśli idzie o jakąś „instytucjonalizację". Nie śpieszymy się też z rozbudowa jakichś formalnych struktur, jakiegoś aparatu etatowego itp. Ma być to ośrodek inicjatyw społecznych i należy to rozumieć dosłownie. Ośrodek myśli i działań, ale przecież nie biuro...

Myślę, że dość precyzyjnie sformułowałem cele i zadania, jakie przyświecały Stowarzyszeniu w momencie powołania Ośrodka, w wywiadzie dla „Słowa Powszechnego" i po prostu zacytuję fragment:

„Jakimi problemami będzie się zajmował ośrodek?

— Wszelkimi zagadnieniami związanymi z problematyką ideowo-wychowawczą w rodzinie, w miejscu pracy, etyką życia gospodarczego, sprawiedliwości społecznej, przeciwdziałaniu zjawiskom patologii społecznej, różnie alkoholizmowi i narkomanii. Wielkim kompleksem proble-

mów jest ochrona środowiska naturalnego człowieka — rozumiana nie tyle w kategoriach gospodarczych, technicznych czy technologicznych, lecz przede wszystkim w kategoriach — moralnych jako kształtowanie postawy człowieka wobec przyrody, wobec świata, w którym żyje. (...)

Niewątpliwie źródłem zjawisk kryzysowych w różnych dziedzinach życia jest głęboki kryzys moralny, rodzaj obezwładnienia, bierności, wynikającej rzadziej z braku systemu wartości moralnych czy z jego odrzucenia, ale — co uważam za najczęstsze zjawisko — z jedynie werbalnego uznawania systemu wartości. Jest to brak konsekwencji wobec wartości moralnych uważanych za własne, zaakceptowane. Po prostu jest to brak spójności między słowami a praktycznymi zachowaniami człowieka.

W skali społecznej występuje zachwianie poczucia wartości pracy. Częstym zjawiskiem jest np. wręcz brak chęci do pracy. Sądzę, że wynika to głównie — choć, rzecz jasna, nie wyłącznie — z kryzysu postaw ludzkich. Inne zjawiska kryzysowe są wtórne, zeń wynikają."

Dlaczego właśnie Łódź wybrano na siedzibę Ośrodka?

— Są przynajmniej trzy przyczyny, dla których zlokalizowano Ośrodek właśnie tu. Pierwsza, to piękne łódzkie tradycje, żeby przypomnieć choćby działalność społeczną i duszpasterską ks. bp. Michała Klepacza który tą problematyką szczególnie się zajmował.

Druga, to wiele inicjatyw i działań współczesnych, spore środowisko naukowe zainteresowane problematyką etyczną, wreszcie wiele prac a nawet osiągnięć Oddziału Wojewódzkiego PAX w Łodzi. Od lat intensywnie działa w omawianej dziedzinie kol. Jan Wojciechowski.

Trzecia, to szczególne potrzeby aglomeracji łódzkiej, jednej z największych na przemysłowej mapie kraju a jednocześnie posiadającej określoną specyfikę — najwyższy w Polsce wskaźnik zatrudnienia kobiet i wszystkie wynikające stąd problemy. Nie tylko gospodarczo-społeczne ale i moralne, które interesują nas szczególnie.

Na marginesie dodam, że lokalizacja Ośrodka w Łodzi jest także wyrazem konsekwentnie od lat prowadzonej działalności, którą można określić — niezbyt dosłownie — nieeleganckim słowem „deglomeracja". Staramy się, aby stołeczna centrala PAX nie skupiała wszystkiego — mamy prężne ośrodki w innych miastach, żeby poprzestać na jednym tylko przykładzie — redakcja naszego miesięcznika „Życie i Myśl" mieści się w Poznaniu.

Foto: Grzegorz Gałasiński

Brawa i gwizdy

(Protokół z pewnego zebrania przedwyborczego)

Wróćmy jednak do problematyki wyborczej. Kandyduje pan z Łodzi ze względu na funkcję dyrektora Ośrodka?

— Nie, nie tylko z tego względu. Mam z Łodzią długoletnie prywatne a nawet rodzinne związki. Śledzę pilnie to co się pisze w Łodzi i o Łodzi, często tu przyjeżdżam. To bardzo ciekawy region. I zawsze problemy ogólnopolskie mają tu nieco inną optykę, jakieś „specialite de la maison". Choćby problemy demograficzne. Prognozy na najbliższe lata przewidują bardzo znaczny skokowy spadek przyrostu naturalnego. Warto prześledzić przyczyny tego zjawiska, ale nie tylko. Wymaga ono już dziś przewidzenia wszystkich jego skutków. Np. sprawy dopływu rąk do pracy.

Z życiorysu jasno wynika, że jest Pan doświadczonym parlamentarzystą. Proszę odpowiedzieć na niełatwe pytanie: — w jakim stopniu będzie Pan — w przypadku uzyskania mandatu — „posłem z Łodzi", przedstawicielem swoich wyborców?

— Pytanie jest rzeczywiście niełatwe, choć łatwo byłoby zbyć je ogólnikowym zapewnieniem, że sprawy Łodzi i łodzian leżą mi bardzo na sercu i z największą troską będę się nimi interesował i dbał o nie. Nie byłbym uczciwy wobec swoich wyborców, gdybym jasno nie sformułował takiego poglądu, każdy poseł jest w pierwszym rzędzie reprezentantem całego narodu, jest przede wszystkim obywatelem PRL a nie województwa czy okręgu wyborczego. W następnej dopiero kolejności reprezentuje wyborców oraz organizację, która wysunęła jego kandydaturę.

Jeśli zasiądę w ławach poselskich, będę musiał w swym sumieniu i całym swym działaniu zawsze łączyć te trzy interesy, z których każdy jest przecież interesem społecznym. W okresie całej kadencji, jeśli osiągnę mandat, będę przecież członkiem Koła Poselskiego PAX oraz członkiem Wojewódzkiego Zespołu Poselskiego w Łodzi. Moje doświadczenie z obydwu kadencji poselskich mówi mi, że kontakt z wyborcami niesłychanie pomaga posłowi. Czasem wręcz „sprowadza posła na ziemię". Zawsze szukałem kontaktów z wyborcami, niekoniecznie tylko tych formalnych, ograniczonych do dyżurów na przykład. W nowej kadencji bardzo ważne będą np. kontakty z samorządami. Myślę zarówno o samorządach mieszkańców jak i samorządach pracowniczych. Bardzo istotne są kontakty z radnymi. Można na ich podstawie wyrobić sobie precyzyjną, syntetyczną ocenę potrzeb i problemów terenu. I można — we współdziałaniu z radnymi — wiele spraw załatwić.

Jeszcze jedno trudne pytanie: Zakończyła się bardzo burzliwa i pracowita kadencja Sejmu. Następna — ze swej istoty — będzie, tak czy inaczej jej kontynuacją. Zatem każdy poseł powinien mieć, choćby na swój prywatny użytek — jakąś inną jej ocenę, jakiś do niej stosunek?

— Nie czuję się upoważniony choćby z tej racji że nie posłowałem w ubiegłej kadencji — do wystawiania ocen najwyższemu organowi władzy w naszym państwie. Myślę, że bez względu na to, jak się ocenia każdą z licznych ustaw tego Sejmu, jak się ocenia poszczególne debaty czy nawet postawy poszczególnych posłów, to o jednym nie należy zapominać: na tę kadencję przypadł bardzo burzliwy okres w naszej powojennej historii, okres głębokich przemian, które wszak jeszcze się nie zakończyły, które miały, mają i jeszcze będą mieć wielorakie konsekwencje. W tej sytuacji Sejm podjął gigantyczną pracę porządkowania prawa w państwie. Przed nowym Sejmem stanie konieczność kontynuowania tej pracy. A jednocześnie nie może on zrzekać się swojej konstytucyjnej funkcji kontrolnej — musi zająć się, w najogólniejszym zakresie, kontrolowaniem procesu przemian. Przewiduje to zresztą program wyborczy PRON.

Dziękuję za wypowiedź życząc powodzenia w pierwszej fazie kampanii wyborczej i sukcesu w wyborach!

Rozmawiał:
ANDRZEJ KAROLCZAK

Spotkanie miało się zacząć o godz. 17. Już kwadrans wcześniej w sali DDK „Lutnia" nie było wolnych miejsc, wszystkie przejścia zatkane dostawionymi krzesłami, spora grupa tłoczyła się w korytarzu, przy wejściach na salę, a kilka bardziej przedsiębiorczych osób przydźwigało sobie ogrodową ławkę sprzed budynku.

Rozpoczęło się punktualnie. Część pierwsza — taka sama, jak na wszystkich zebraniach przedwyborczych, a więc omówienie deklaracji PRON i przedstawienie kandydatów — była krótka. Już po pół godzinie rozpoczęła się trwająca parę godzin dyskusja.

1. Janina Suska-Janakowska, przewodnicząca Zarządu Łódzkiego Ligi Kobiet Polskich: Chciałabym przedstawić bliższe dane o kandydatce zgłoszonej przez naszą organizację. Otóż pani docent Płaneta-Małecka ukończyła studia medyczne w Łodzi, następnie...

GŁOS Z SALI: po co nam drugi raz życiorys, szkoda czasu...

J. S.-J.: ja jednak muszę przedstawić państwu...

GŁOSY: po co nam wciskać, jak sobie nie życzymy, będą pytania, to pani docent sama odpowie...

2. Grzegorz Żyżyński: prasa źle informuje o spotkaniach, bo nie podaje nazwisk kandydatów. Powinny być znane wcześniej, żeby każdy mógł wybrać, z którymi kandydatami chce się spotkać, a z którymi nie...

3. Stanisław Jabłoński: ponieważ ktoś z tych kandydatów na pewno posłem zostanie chciałbym poruszyć dwa tematy ogólnospołeczne. Po pierwsze — praca i szacunek dla niej. Młodzi demonstrują postawę akurat odwrotną, w praktyce potwierdza się powiedzenie: bez pracy więcej kołaczy.

I druga sprawa — budżet. Jeśli pielęgniarka zarabia 12 tys., docent — 17 tys. — to każdy prywatny furman śmieje się z nich i może ich kupić. A oni sami, jeśli porównają się z zarabiającym 30 tys. tkaczem, czy nie zadadzą sobie pytania — po co było się uczyć? Taki podział dochodów — to pierwszy krok do wytworzenia w młodzieży pogardy dla wiedzy i kwalifikacji, do nieposzanowania rzetelnej pracy...

GŁOSY Z SALI: Czy to spotkanie z kandydatami, czy okazja do wygłoszenia prywatnych recitali? Krócej! Niech mówią kandydaci...

S. J. Więc już kończę. Postuluję, aby posłowie uważniej patrzyli na podział pieniędzy...

4. Ewa Pietrzak. Sejm VIII Kadencji uchwalił „tylko" 200 ustaw, a problemy jak były tak są. A przecież i wtedy wybraliśmy podobno najlepszych.

Mówi się, że posłowie powinni mieć się przebicia. Ale mają ją chyba tylko posłowie katoliccy — bo kościołów powstało w Polsce tyle, że na sto lat wystarczy, a szkół brakuje.

Proszę o jedno: nie róbcie programu, nie obiecujcie. Naprawcie tylko to, co poprzednicy schrzanili. **(BRAWA).**

5. Stanisław Nejmanowicz: co to znaczy wybierać najlepszych? Jeśli posłem zostanie dyrektor, który wyciągnął jakiś PGR (a taki człowiek właśnie gdzieś kandyduje, pokazywali w TV) z biedy, z bankructwa — to ten zakład znowu upadnie. Lepiej, aby posłem został jego zastępca. Nie trzeba wybierać najlepszych z tych, na których opiera się nasza gospodarka, bo to tylko strata dla kraju.

Sejm powinien pilnować realizacji uchwał, które wydał — konsultować się z wyborcami, usuwać posłów, którzy zostali nimi dla kariery. Amnestie — powinny obejmować tylko przestępców politycznych — nie łobuzów, złodziei, nie przestępców gospodarczych. **(BRAWA).**

6. Janiszewska: my, jako młodzież Polski lat 80-tych, nie będziemy mówić, jak było za VIII kadencji, ale jak będzie? Mam więc pytania do naszej, młodzieżowej kandydatki Elwiry Zaremby: jak będzie dążyć do realizacji planu budownictwa, do uchwalenia ustawy o młodzieży, jaki ma program?...

7. Janusz Sozdorf — nauczyciel, inwalida wojenny: Nie znam kandydatów i nie poznam ich na tym spotkaniu. O jednym tylko mogę coś powiedzieć, wszyscy znamy go z publikacji. Ujął mnie zwłaszcza publikacjami na temat zwierząt.

Kandyduja do Sejmu ludzie wykształceni, mądrzy, z głęboką wiedzą — to dobrze. Ale musimy mieć w tym samym Sejmie również i takich, którzy schodzą w życie, znają jego ciemne strony. Ludzi, którzy nie boją się — a my powinniśmy brać z nich przykład — mówić o pijaku, że jest pijakiem i publicznie wymieniać jego nazwisko, bez względu na to jak wysoką funkcję piastuje, nazywać draństwo — draństwem. Takich mamy mieć w Sejmie — nie bojących się prawdy, choćby najgorszej. **(BRAWA).**

8. Anna Fijałkiewicz, Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami: chciałbym bliżej przedstawić Edwarda Bryla, i wrócić jeszcze do sprawy zamordowania psa w przedszkolu...

NACZELNIK DZIELNICY Łódź — Bałuty: nie ma środowisk nietykalnych. Jeśli istnieją dokumenty, potwierdzające, że sprawa miała taki przebieg, jak opisany w artykule, jeśli dostanę te dowody — obiecuję, że zajmę się tym osobiście i winni zostaną pozbawieni prawa wykonywania zawodu nauczycielskiego. **(BRAWA)**

Dokumenty zostały przekazane po zebraniu.

9. Elwira Zaremba — kandydatka, zgłoszona przez ZL ZSMP: Chciałabym — jeśli zostanę wybrana — zajmować się tymi sprawami, w których mam już — mimo młodego wieku — pewne doświadczenie. Jako włókiennik — znam ciężkie warunki pracy w przemyśle lekkim. Dążenie do ich poprawy, do ułatwienia życia zatrudnionym tu kobietom to zadanie pilne i ważne. Chciałabym również podjąć i wesprzeć wszystkie sprawy z grupy socjalnej: mieszkania, przedszkola, warunki w szkolnictwie, a lokalnie, dla Łodzi — zaopatrzenie. Jeżdżąc dużo po kraju wiem, że jest ono znacznie gorsze niż w wielu innych, nawet małych i nie uprzemysłowionych, województwach.

Z działalności społecznej wynika moje zainteresowanie demokratyzacją naszego życia. Już mamy nową, lepszą, choć nie w pełni satysfakcjonującą ordynację wyborczą, szybko potrzebne są uchwały o konsultacjach, o referendum ludowym. Ustawa o młodzieży — to temat trudny. Młodzież nie ma inicjatywy ustawodawczej. Aby ją miała — potrzebnych jest 15 młodych posłów. Dlatego apeluję — głosujcie na młodych. Połączenie dojrzałości i mądrości starszych posłów z zapałem i bezkompromisowością młodych dopiero da właściwe efekty...

10. Ryszard Rydlewski: jesteśmy tu już ponad dwie godziny, a dopiero jedna kandydatka na posła przedstawiła się. Ja apeluję o poparcie dla ludzi pracujących w medycynie. Edward Bryl posiał tu trochę niepokoju, krytykował i potępiał, ale nigdy nie przedstawił obrazu z drugiej strony, nie napisał, w jakich warunkach pracujemy. Niech przyszli posłowie zajmą się warunkami, w jakich działa służba zdrowia — dla dobra jej pracowników, ale przede wszystkim dla dobra pacjentów.

Ja będę głosował na obecnego tu doktora Edwarda Fijałkowskiego, ponieważ jest on przede wszystkim lekarzem, a dopiero potem społecznikiem. Nikt w pracy nie odczuwa złych skutków jego działalności, nie musi go zastępować czy wykonywać jego obowiązków...

11. Anna Stoklewska: ci, których wybierzemy także będą popełniali błędy. Jeśli do tej pory, w pracy, radzą sobie bardzo dobrze — nie znaczy, że tak będzie i w Sejmie. **(BRAWA).**

Chciałabym pomówić o sprawach szerszych: bandyci, lenie, kanciarze nie spadli z nieba. Wyszli z nas, ze społeczeństwa. Staliśmy się bierni, godzimy się na różne negatywne zjawiska, źle wychowujemy dzieci. Stwarzając im — do czego dążą i instytucje i rodzice — rajskie dzieciństwo zapewniamy sobie tylko jedno: bardzo smutną starość. Pozwalamy, aby na naszych oczach wyrastało następne pokolenie bandytów...

GŁOSY Z SALI: dość tego! Ograniczyć czas wystąpień, bo do północy nie wyjdziemy! To nie lekcja pedagogiki dla dorosłych! Podać wnioski dla posłów, nie gadać tyle!

A.S. Powiem jeszcze tylko jedno — zamiast zastanawiać się kto winien złej przeszłości, zastanówmy się raczej, czy swoją postawą, swoim stosunkiem do młodzieży nie przyczyniamy się do wychowania tych, którzy będą winni złej przyszłości...

12. Edward Bryl — kandydat, zgłoszony przez Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami: zajmuję się służbą zdrowia od dawna i sądzę, że nie rozwiążą jej problemów sztandarowe inwestycje, jak Centrum Zdrowia Dziecka i Centrum Zdrowia Matki-Polki. Sporo jeszcze można zrobić w sferze organizacji, przy niewielkich nakładach inwestycyjnych. Źle jest, że o służbie zdrowia mówi się dużo dopiero wtedy, gdy dojdzie do tragedii — jak w Siubicach, we Włocławku. A przecież te tragedie są wynikiem czystej głupoty. Jeśli lekarzowi i pielęgniarce każe się bez przerwy oszczędzać, jeśli premiuje się ordynatorów za obniżanie kosztów dobowego pobytu pacjenta — to tragedie takie będą.

Nie mam, mówiąc uczciwie, żadnych planów działalności w Sejmie. Czuję się raczej zwykłym człowiekiem, który ma wybierać, nie być wybieranym. Mogę tylko powiedzieć, jaki ten Sejm chciałbym widzieć. Po prostu mądry.

Mamy tyle rozmaitych spotkań, konsultacji — a to w sprawie podwyżek, a to znowu rent. Mnie się zdaje, że to wszystko przypomina grę w okręty społeczeństwa z rządem. A ja chcę po prostu wierzyć, że decyzje, podjęte przez Sejm — a także i przez rząd — będą mądre, chcę mieć zaufanie do ludzi, którzy je podjęli, bo sam nie jestem w stanie znać się na wszystkim. I nikt z nas.

Moim zadaniem, tak jak je pojmuję, jest przekazywanie rzetelnego obrazu rzeczywistości. A posłowanie to ciężka, poważna praca. Chciałbym, aby Sejm ustrzegł się od posłów, którzy traktują to jak działalność społeczną, okazję do wyżycia się...

PRZEWODNICZĄCY: proszę o zaprotokołowanie głosu Edwarda Bryla w całości.

13. Urszula Adamiak, jest w Łodzi 40 tys. dzieci z różnymi schorzeniami. Brak placówek rehabilitacyjnych, przychodni specjalistycznych. Praktycznie okazuje się — że wszystko to jest, ale za pieniądze. Specjalista rehabilitant pracuje w ognisku TKKF, gdzie matka chorego dziecka musi zapłacić za zajęcia korekcyjne ponad 4 tys. zł (w przychodni miałaby je za darmo), miejsca w szpitalu nie ma — ale lekarz ze spółdzielni, pracujący także w szpitalu, pomoże je zdobyć. Niech więc posłowie zajmą się tym, aby opieka lekarska była faktycznie bezpłatna i powszechna...

PRZEWODNICZĄCY: uczestniczyłem już w wielu spotkaniach i stwierdzam, że to dzisiejsze wyjątkowo obfituje w apele do przyszłych posłów...

14. Stanisław Okrój: malujemy na pięknym papierze hasła wyborcze i inne — a książek do szkoły nie ma na czym drukować. Niech i o tym odważnie mówią posłowie.

Postuluję — obowiązek noszenia przez posłów znaczków w klapach, niech to będzie formalnym wyrazem ich odwagi w załatwianiu trudnych spraw...

15. Andrzej Wilhelmi — kandydat, zgłoszony przez ZL ZSMP: padały tu pytania o program kandydatów. A gdyby każdy z 460 posłów miał własny program — byłaby tragedia. Niewyobrażalny bałagan. Były postulaty — a na to przecież jeszcze za wcześnie, jeszcze nie jesteśmy posłami i może nikt z nas nie będzie? Moim zdaniem poseł jest od tego — i tylko od tego — żeby reprezentować interesy wyborców, społeczeństwa, które go wybiera — i nie jest to z jego strony żadna łaska. A wyborcy — nie zawsze przecież uda się wybrać tych najlepszych — powinni szeroko korzystać z możliwości odwołania posła. Nie utrzymuje kontaktów z ludźmi, działa dla własnej kariery — odwołać natychmiast, przyjdzie inny, może lepszy.

I jeszcze jedno — powinniśmy starać się wybrać dobrych posłów — nie dzielić na młodych, starych, lekarzy, robotników, czy jeszcze inaczej. Mają być dobrzy — i to tyle.

Brak mi na tym spotkaniu elementu walki wyborczej. Jakie bowiem szanse mam ja — wobec ludzi szeroko znanych wszystkim, zasłużonych? Dlaczego nie mogłem uczestniczyć wraz z nimi w jednym spotkaniu, wypowiedzieć się w tych samych sprawach? Może ktoś po takiej publicznej dyskusji właśnie moje nazwisko zostawiłby na liście?

GŁOSY Z SALI: ten dobry, tego wybrać. **(BRAWA).**

A.W. Korzystając więc z okazji apeluję po prostu o jedno: głosujcie na mnie...

16. Przybysz — popieram kandydaturę Andrzeja Wilhelmiego. Jest z naszego rejonu — a tylko na posłów, związanych z terenem będziemy mogli w przyszłości liczyć — i rozliczyć ich. A problem dla przyszłego Sejmu: mamy w Polsce 5 mln ludzi ze średnim i wyższym wykształceniem — ale i 5 mln alkoholików. Tą sprawą trzeba się zająć...

17. Otto Warno — kandydat zgłoszony przez POP Instytutu Chirurgii WAM: nie sądzę, że między kandydatami toczyć się powinna walka wyborcza. Nie ma przecież u nas partii politycznych o sprzecznych programach. A hegemonem jest i pozostanie klasa robotnicza.

Cieszę się, że kandyduję — choć trapi mnie pytanie, czy mam kwalifikacje na posła — bowiem chciałbym zająć się sprawami służby zdrowia. Prawda, że jeszcze można w tej dziedzinie wiele zrobić na drodze organizacyjnej, aby jednak osiągnąć oczekiwane przez społeczeństwo efekty potrzebne są rozwiązania systemowe.

Osobiście nurtuje mnie najbardziej problem dzieci niepełnosprawnych w stopniu uniemożliwiającym samodzielną egzystencję, pomocy im i ich rodzicom.

Ze spraw ogólnonarodowych natomiast — niejednokrotnie zastanawiałem się nad zagadnieniem jak wyeliminować z naszego życia kłótnie i swary? Tylko zjednoczeni — dokonamy tego, że wszystkim nam będzie lepiej.

18. Waldemar Trajdos: poruszaliście sprawy regionalne, terenowe, a nikt nie poruszał spraw ogólnokrajowych, kandydaci też nie. Nie dziwmy się, że ludzie piją, że nie chcą dobrze pracować, jeśli wisi nam nad głową wojna atomowa. Pierwszorzędna sprawa — to pokój i bezpieczeństwo Polski.

Obecnie trwa u nas konflikt polityczny — ale jakby nikt nie pamiętał historii ostatnich 5 lat. Na listach kandydaci partyjni i bezpartyjni. Ja uważam, że bezpartyjni są lepsi jako kandydaci — głosujcie na bezpartyjnych.

Z SALI: nikłe brawa w jednym kącie. **GŁOSY:** tak nie wolno! Nie obrażać tu wszystkich! Wyrzucić go! Wszędzie jest i wszędzie mąci!

PRZEWODNICZĄCY: proszę o spokój. Spotkanie przedwyborcze nie jest miejscem dla tego rodzaju rozgrywek. Reprezentuję PRON — organizację porozumienia ludzi o różnej przynależności i różnych światopoglądach i nie dopuszczę do tego rodzaju wystąpień. Odbieram obywatelowi głos. **(BRAWA).**

W.T. Ja właśnie do tego zmierzałem — aby zakończyć apelem o porozumienie narodowe wszystkich... **(Z SALI): GWIZDY.**

19. Henryk Krasiński: posłowie powinni zająć się zaopatrzeniem, obecnie Polska dzieli się na Śląsk pierwszej kategorii i resztę. Czy dlatego, że tam węgiel i dolary? Ale i my im dajemy. Jak by wyglądali bez naszych ubrań, tkanin? **GŁOSY Z SALI:** przerwać mu! To demagogia!)

H.K. Chcę jeszcze wyrazić słowa uznania dla Edwarda Bryla, który widzi wszystkie — nie tylko psie — problemy. Wyrażam poparcie dla jego kandydatury, a także dla kandydatur doc. Płanety-Małeckiej i Elwiry Zaremby. Nie będę natomiast popierał dr. Fijałkowskiej i dr. Warno. Nie mam do nich żadnych zastrzeżeń, ale uważam, że jako lekarze bardziej potrzebni są społeczeństwu tu, na miejscu, a do Sejmu z tego środowiska powinni kandydować tylko ci, którzy zajmują się pracą naukową.

20. Tetler: mieliśmy już w historii Sejm Czteroletni, mieliśmy Sejm Niemy, ostatni — zyskał nazwę sejmu pracującego. Chciałbym, aby ten następny zasłużył na określenie — sejm myślący...

21. Włodzimierz Stępniak: Chciałbym poprzeć dwóch kandydatów: Bryla — bo mówi o rzeczach złych, a o dobrych to przecież sami wiemy oraz Wilhelmiego, który jest zwykłym, prostym człowiekiem, a tacy też są w Sejmie potrzebni, bo taka jest większość naszego społeczeństwa. **(BRAWA).**

Nie popieram natomiast kandydatki Zaremby — jej wystąpienie było zbyt gładkie, zbyt pełne sloganów, które znamy od lat...

22. Izabela Płaneta-Małecka — kandydatka, zgłoszona przez ZL LKP: wyraziłam zgodę na kandydowanie z wdzięczności dla Łodzi — miasta, które serdecznie przyjęło mnie po wojnie, nauczyło miłości do Ojczyzny, szacunku dla pracy, umożliwiło osiągnięcie tego wszystkiego, co osiągnęłam.

Moje prace w Sejmie — jeśli zostanę wybrana — nadal oscylować będą wokół spraw związanych z zawodem: z ochroną zdrowia — rozumianą nie tylko w wąskim, medycznym zakresie — matki i dziecka. Od tego bowiem, od tych dwu istot, zależy nasza przyszłość...

PRZEDSTAWICIEL KONWENTU: zapewniam wszystkich zebranych, że wnioski i uwagi, jakie padły na tym spotkaniu i na innych spotkaniach z kandydatami na kandydatów będą jedynym kryterium przy ustalaniu listy kandydatów do Sejmu IX Kadencji...

wysłuchała i zanotowała:
TERESA JERZYKOWSKA

„Każdy stoi przed śmiercią — pisał Edward Stachura — Dwudziestoletni tak jakby nie stali przed śmiercią, albo raczej stoją lecz odwróceni do niej plecami: pogardliwie, wyzywająco bezmyślnie lub tylko bezmyślnie; czterdziestoletni stoją przed śmiercią, można by powiedzieć — profilem, już zrobili w stronę śmierci ten słynny półobrót; siedemdziesięcioletni stoją przed śmiercią twarzą w twarz, oko w oko".

Baśka, dwudziestokilkuletnia studentka Uniwersytetu Jagiellońskiego zrobiła w stronę śmierci cały obrót, zajrzała jej w oczy i już nie chciała odwrócić głowy. Nie miała czasu nawet na pożegnanie się z życiem; nawet nie chciała, po co, skoro i tak NIKT nie mógł, czy nie chciał pomóc jej żyć.

NOTATKA SŁUŻBOWA

„W dniu 13.04.1985 r. Pełniąc służbę patrolową w dyspozycji Wojewódzkiego Stanowiska Kierowania, o godzinie 9.30 udałem się z polecenia dyżurnego na ul. Malczewskiego 60, gdzie mieszkająca pod ww. adresem lokatorka zgłosiła, że koło jej okna, na daszku, leży jakaś osoba Po przyjeździe ustaliłem, że na daszku, leży kobieta. Przybyły na miejsce lekarz Pogotowia Ratunkowego stwierdził zgon i nie wykluczył udziału osób trzecich. W mieszkaniu pozostałem do czasu przybycia ekipy dochodzeniowej".

Czy chciała umierać. Na pewno nie. Nikt nie chce. Wtedy, gdy mówi że chce — kłamie.

Człowiek pragnie umrzeć, kiedy bardziej od śmierci boi się dalszego życia, bo mu się wydaje, bo przewiduje albo wie na pewno, że jego dalsze życie będzie moralną lub fizyczną męczarnią i tylko śmierć go od niej wybawi. Ale czy to jest pragnienie śmierci?

Nie. Jest to tylko chęć ucieczki od przyszłości.

Ach, gdybyż można było dowolnie kierować swoim przyszłym życiem. Móc wybierać okoliczności. Móc przynajmniej rezygnować z części cierpień, które zapowiada los, a których za wszelką cenę, nawet za cenę życia chcielibyśmy uniknąć.

Nieliczni to potrafią. Inni potrafią zaciąć się w sobie i czekać. Przeczekać, bo przecież wszystko się kończy Są jednak tacy, którzy nie potrafią znaleźć dla siebie innej szansy innego lekarstwa i wtedy wydaje im się, że śmierć jest jedynym wyjściem. Oni też chcą żyć ale nie mają innego wyjścia.

Jaką szansę, jakie lekarstwo miał zastąpić Baśce skok z IX piętra?

ARKUSZ OBLICZENIOWY DO SKALI INTELIGENCJI WECHSLER — BELLEVUE DLA MŁODZIEŻY I DOROSŁYCH

Uwagi ogólne: Zdolna do logicznego myślenia, zasób wiadomości odpowiada wykształceniu, we właściwy sposób rozumuje, myślenie analityczne i syntetyczne prawidłowe.

Wiadomości: 19 odpowiedzi prawidłowych na 25 pytań. Nie wiedziała: ile tygodni ma rok? Kto napisał „Ludzi bezdomnych"? kto napisał „Fausta"? kto wynalazł samolot? co to jest etnologia? co to jest apokryf?

Słownik: Nie potrafiła wytłumaczyć znaczenia słów: hipoteka, kalumnia, dżet, prozelita, szpiegostwo, balast, dworować.

Rozumienie: 8 odpowiedzi prawidłowych na 10 pytań. Nie wiedziała: dlaczego obuwie robi się przeważnie ze skóry? Jeśli zabłądzisz w lesie podczas dnia, jak będziesz starał się z niego wydostać?

Zagubiła się Baśka podczas dnia w lesie swojego życia i nie potrafiła odnaleźć właściwej drogi.

Nie chciała studiować ekonomii. Zdecydowała się dopiero pod wpływem rodziców. Oboje są ekonomistami, dobrze im się powodzi, zajmują wysokie stanowiska, więc przypuszczali, że dla córki ekonomia to najlepszy kredyt na przyszłe życie. Basia natomiast marzyła o szkole plastycznej, chciała rysować, chciała malować, chciała myśleć i czuć za pomocą kreski i koloru.

Wiedziała jednak, że nie ma talentu Tak się jej przynajmniej wydawało. Czy nie miała talentu naprawdę trudno powiedzieć, ale ona była pewna, że talentu nie ma. Widziała w sobie same wady i przy każdej okazji mówiła, że jest do niczego Dlatego, będąc na drugim roku ekonomii postanowiła zdawać na historię sztuki, chociaż na historię sztuki.

Była zdecydowana zrobić wszystko byle nie studiować ekonomii. Przestała się uczyć i mimo że nie była złą studentką, w połowie maja 1983 roku nie miała już możliwości zaliczenia letniej sesji egzaminacyjnej. Dostała urlop dziekański Roczny urlop od Krakowa, od akademika, od znienawidzonej ekonomii.

Nie zdała egzaminu na historię sztuki. Myślała wtedy o rzuceniu studiów w ogóle, o jakiejś pracy. Wróciła jednak do Krakowa jako studentka II roku socjologii. Początkowo była nawet zadowolona z przeniesienia. Miała ochotę do nauki. W czasie wakacji, jak stwierdziła, czuła się dobrze.

OJCIEC:

Córka była w domu 10 marca na trzy dni przed tą tragedią. Rozmawiała dość długo z żoną Uskarżała się, że jest mało oczytana że ma kłopoty z nawiązaniem kontaktów z kolegami i przez to czuje się samotna.

Basia nigdy nie przyjaźniła się z rówieśnikami. W szkole podstawowej była przez kolegów z klasy ośmieszana. Zamknęła się w sobie. Często płakała. W szkole i w domu

W Liceum Ogólnokształcącym nie próbowała odmienić swego położenia. Nie próbowała czy nie umiała. Nadal bała się ośmieszenia.

Na studiach miała chłopaka. Bardzo miły, młody człowiek. Był u nas w domu. Zerwała z nim po roku, bo — jak stwierdziła — nie spełniał jej oczekiwań.

Nie miała wrogów. Nikt jej nie groził Nigdy byśmy z żoną nie przypuścili, że targnie się na życie. Jest to dla nas cios niespodziewany. Nie wiem co powiedzieć.

Zauważyłem, że córka chodzi zamyślona, ale nie zauważyłem załamania psychicznego. Od 1977 r. leczyła się w Poradni Zdrowia Psychicznego. Miała ze sobą jakieś proszki uspokajające.

5 maja 1983 r., jeszcze przed urlopem dziekańskim, lekarz zapisał: Z powodu stanów nerwicowych nie może spać. Przez cały dzień jest zmęczona. Nie może skoncentrować uwagi. Czuje się zagrożona. Wszystkiego się boi. Przed

MAREK MAMOS

Historia śmiertelnej choroby

zaśnięciem myśli o swoich problemach, o swoich lękach i niepokojach. Brak jej wiary we własne siły i możliwości. Nie stara się pokazać w korzystnym świetle. Posługuje się mechanizmami obronnymi czy też agresji, co świadczy o niedojrzałej strukturze osobowości. W kontaktach międzyludzkich ujawnia dużą wrażliwość, drażliwość, niecierpliwość, pobudliwość.

19 lutego 1985 roku lekarz zapisał: Jest na trzecim roku socjologii. Ma kłopoty z utrzymaniem głębszych kontaktów z ludźmi Przed rokiem rzuciła chłopaka. Teraz czuje się osamotniona. Często boli ją głowa.

21 lutego 1985 roku, na trzy tygodnie przed wypadkiem lekarz napisał: Nie potrafi rozmawiać. Bardzo brakuje jej kogoś bliskiego Przyznała się, że w szkole podstawowej była ośmieszana. Boi się że nie zaśnie, więc boi się spać.

Takie było całe życie Baśki!

Nie potrafiła znaleźć swojego miejsca w narzucanym przez los porządku świata i dlatego postanowiła znaleźć je gdzie indziej, w innym czasie, w innej przestrzeni „Czyż nie jesteśmy wszyscy rzuceni na ten świat — rozmyślała Anna Karenina — tylko po to, by się wzajemnie nienawidzieć i dręczyć siebie i innych? Nie mogę wyobrazić sobie sytuacji w której życie nie byłoby męczarnią. Wszyscy jesteśmy na to stworzeni by się męczyć, wszyscy o tym wiemy i wszyscy szukamy środków by się łudzić. Ale jeśli się raz pozna prawdę, co wtedy począć? Dlaczego nie zdmuchnąć świecy skoro widok tego wszystkiego wzbudza wstręt? Wszystko jest fałszem, kłamstwem, oszustwem".

Umrzeć w ten sposób to znaczy dać się zwyciężyć.

KOLEŻANKA:

Od półtora miesiąca Basia była rozkojarzona. Sprawiała wrażenie, że jest myślami gdzieś indziej, ale o czym myślała tego nie wiem

Nie miała poczucia własnej wartości, uważała, że jest mało inteligentna. Nie było można z nią porozmawiać na żaden temat. Nic jej nie interesowało oprócz samej siebie. Potrafiła mówić tylko o własnych kłopotach.

Twierdziła, że Kraków ją przytłacza.

Łączyło nas wspólne mieszkanie w pokoju. Nie kłóciłyśmy się. Żyłyśmy na stopie koleżeńskiej, tolerując wzajemnie mimo oziębłego stosunku między nami.

Zdziwiło mnie, że nie wróciła na noc do akademika. Nie zdarzało się to nigdy wcześniej.

ŚWIADEK:

Około godziny 21.20 usłyszałem głośny łoskot za oknem stwarzający wrażenie jakiegoś upadku lub wybuchu gazu, w którymś z mieszkań na górnych piętrach. Z mieszkania nie wychodziłem ponieważ na klatce schodowej gromadzi się różny podejrzany element Piją wino, rozrabiają, zaczepiają lokatorów. Odsunąłem firankę i wyjrzałem przez okno. Z budynku wychodził jakiś młody mężczyzna i niósł coś ciężkiego, jakieś wielkie pudło, tak jakby od telewizora Niczego więcej nie zauważyłem.

Następnego dnia, około godziny 9.00, kiedy już pracowałem w swoim pokoju, wbiegła do mnie roztrzęsiona córka i krzyknęła, że na daszku pod jej oknami leży człowiek. Poszedłem zobaczyć. Początkowo nie mogłem poznać czy to mężczyzna czy kobieta. Skojarzyłem wczorajszy łoskot z leżącym ciałem. W tym czasie córka podeszła do telefonu i zadzwoniła po milicję i pogotowie ratunkowe.

Po przesłuchaniu innych świadków stwierdzono, że w jednym z mieszkań na wyższych piętrach odbywają się bardzo głośne przyjęcia o bliżej nie określonym charakterze.

Właściciel tego mieszkania od chyba dwóch lat przebywa za granicą a lokal wynajmuje. Od kilkunastu dni nikt w nim nie był — jak mówi sąsiadka i nic w nim tego wieczoru nie słyszała. Bardzo czujny pies, którego posiada też nie reagował na żadne hałasy. Natomiast inna kobieta mieszkająca na IX piętrze znalazła tej nocy na korytarzu brązową, damską torbę Były w niej dokumenty Baśki, jakieś kosmetyki i trochę pieniędzy. Wzięła ją do domu z zamiarem odniesienia następnego dnia właścicielce, której adres znalazła w legitymacji studenckiej.

Baśka umarła już wcześniej z powodu samotności. Skok z okna był tylko dopełnieniem fizycznym śmierci. Jej duszą umarła wtedy, gdy przestała liczyć na jakąkolwiek pomoc.

Myśl o tym, że jest niedostosowana do ludzi, że jest od innych gorsza prześladowała ją stale. Nikt nie chciał przeżywać razem z nią tego bólu codziennych rozterek. I wszyscy mieli tysiące naprawdę ważnych, innych, swoich spraw. Nie znalazła zrozumienia nie mówiąc już o współczuciu.

Przechodziliśmy obok niej nie wiedząc nawet, że istnieje i to ją bolało najbardziej. Będąc jedną z nas, napotykała mur obojętności, nawet nie wrogiego milczenia, lecz braku zainteresowania.

Samotność to jednak przede wszystkim utrata wiary w siebie, utrata wiary w innych, a także utrata zaufania innych. — Człowiek, który nie wierzy w siebie bezustannie stara się sprawdzać swoją wartość. Jest to tak uciążliwe dla otoczenia, że po pewnym czasie przestaje ono reagować. Reaguje niechętnie, bądź — co gorsza — przechodzi obojętnie wobec jej starań. Obojętność jest może jeszcze bardziej bolesna niż jawna dezaprobata, bo często trudno powiedzieć dlaczego tak się stało.

CHŁOPAK:

Chciała w naszej znajomości dominować. Była apodyktyczna. Nigdy nie mówiła, że mnie kocha. Wręcz odwrotnie, często powtarzała, że nie jestem w jej typie, że nie pasuję do niej, że jej ideał mężczyzny jest całkiem inny ode mnie.

Jednocześnie chciała mnie przerobić na swoją modłę. Mówiła mi jak mam się ubierać, czym mam się interesować. Czasami dochodziło na tym tle do sprzeczek między nami.

Znaliśmy się rok i przez taki okres mogliśmy uważać się za parę, to znaczy często się spotykaliśmy, chodziliśmy razem na różne imprezy, uczyliśmy się wspólnie.

Byliśmy razem na wakacjach w Zakopanem. Przez tydzień spaliśmy w jednym pokoju w Domu Turysty. Do pierwszego zbliżenia doszło jednak znacznie później, w maju 1984 r. Ona sama tego chciała. Byłem jej pierwszym chłopakiem.

Byłem w Baśce bardzo zakochany. Podobała mi się jako kobieta.

Zazdrościła mi, że mam bardzo dużo kolegów i koleżanek. Nie chodziło o to, że mógłbym ją zdradzić. O tym chyba nigdy poważnie nie myślała, bo wiedziała jak bardzo jestem do niej przywiązany. Nie podobało jej się to, że chcę i potrafię ze wszystkimi rozmawiać, czego ona nie umiała.

Miała do mnie pretensje, że tracę czas na rzeczy nieistotne. Miała na myśli grę w tenisa, w piłkę nożną. Twierdziła, że powinienem zająć się czymś poważnym.

Pewnego razu, z jakiegoś błahego powodu zerwała ze mną. Bardzo to przeżyłem. Po trzech dniach, przyszła jednak i poprosiła, bym nie traktował tego poważnie i że chce się ze mną przyjaźnić.

Nadal więc nasze kontakty były bardziej niż koleżeńskie. Wyznała mi, że już raz chciała skończyć ze sobą. Położyła głowę na torach, ale się przestraszyła.

Na II roku miałem kłopoty z filozofią. Basia, mimo że była już po sesji, przyjechała do Krakowa i pomogła mi w nauce. Dzięki temu zdałem egzamin.

Po pewnym czasie zerwała ze mną na zawsze. Zaproponowała abyśmy przeszli na stopę koleżeńsko-siostrzaną. I tak już zostało Widywaliśmy się często, czasami codziennie. Przychodziłem do niej do pokoju.

8 marca poprosiła abyśmy wyszli na korytarz, bo ma mi coś ważnego do przekazania Powiedziała, że z uwagi na nasze poprzednie bliskie kontakty prosi mnie o pomoc. Błaga, żebym ją ratował bo jest załamana, powiedział jak ma się zachowywać, znalazł jej jakieś zajęcie.

Poradziłem jej aby postarała się być mniej spięta w czasie kontaktów z ludźmi, nie tak jak teraz, żeby się rozluźniła, że nie wolno być przez całe życie napiętym bo można się szybko wykończyć.

PROTOKÓŁ OGLĘDZIN:

sporządzony 13.04.1985 r. o godz. 10.30. Znalezione zwłoki ww kobiety leżą na okapie, daszku, znajdującym się nad wejściem do posesji przy ulicy Malczewskiego Budynek jest murowany, X-piętrowy. Okap, daszek ciągnie się od frontu, załamuje się w prawym narożniku i biegnie dalej.

Zwłoki leżą głową w kierunku ściany przy oknie do mieszkania. Jest to okno trzyskrzydłowe, oszklone, nie okratowane. Zwłoki denatki ubrane są w palszcz granatowy przepasany paskiem. Spodnie z teksasu, rozprute w kroczu. Rajstopy brązowe, buty białe. Z lewej strony rozległa plama koloru ciemnoczerwonego wychodząca spod lewego ramienia denatki W miejscu rozprutych spodni widoczny jest kawałek zasinionego pośladka.

W korytarzu na ścianie IX piętra ujawniono kropelki brunatnoczerwonej substancji. Podczas przeszukiwania płaszcza denatki znaleziono trzy czyste chusteczki i paczkę 5 sztuk żyletek irydium.

Zegarek Zaria bez szkiełka zatrzymany na godz. 10.35.

Ponadto podczas oględzin ujawniono i zabezpieczono:

— gałązkę asparagusu z kępką prawdopodobnie włosów wraz z niewielkim odcinkiem nitki koloru jasnogranatowego (włosy i nitkę umieszczono w osobnych kopertach i zabezpieczono łącznie z gałązką)

— substancję koloru brunatnoczerwonego na korytarzu klatki schodowej IX piętra na ścianie przeciwległej do okna (zabezpieczono za pomocą soli fizjologicznej).

Na tym protokół zakończono stwierdzając, że istnieje możliwość wypadnięcia z okna klatki schodowej.

Jak niewiele znaczyliśmy dla Baśki. Przez tę śmierć zostaliśmy porzuceni i poniżeni Nasz sposób życia, nasze problemy, rozrywki, dokonania nie były dość ważne aby wpłynąć na jej decyzję. Nie chciała docenić nas tego co tworzymy i podziwiamy. Żyła w innym świecie.

Czujemy się winni, że nie umieliśmy obdarzyć jej swoim przekonaniem o sensie istnienia, o oczywistości, że trzeba istnieć skoro się jest.

Jej cierpienia musiały być bardzo bolesne, skoro porzuciła wspólnotę życia z gronem osób jej najbliższych.

Tragiczne jest to, że dopiero po śmierci przychodzi refleksja, na którą nie było czasu wtedy gdy żyła między nami, znosząc swoje cierpienia, przecież nie zawinione.

Czy to był bunt, przeciwko światu, który my tworzymy. Bunt przeciwko mierzeniu wszystkich jednakową miarą, przeciwko standardowi ludzkich zachowań, uczuć, myśli.

Czy była to porażka życiowa, tak wielka, że pociągnęła za sobą myśl o rozwiązaniu ostatecznym?

Czy było to przekonanie o własnej niskiej wartości, o niesprawdzeniu się w dotychczasowym życiu. Chęć zmycia tej hańby. Katharsis?

Czy był to brak życiowych sukcesów, tak dotkliwy we współczesnym świecie, gdzie każdy oceniany jest na podstawie tego co ma jaką zajmuje pozycję w społecznej hierarchii?

Czy było to rozczarowanie tym co niesie los, niespełnienie pragnień o innym lepszym życiu, o osiągnięciu szczęścia, o możliwości robienia tego co chce się robić?

Wiele osób wiedziało, że Baśka ma kłopoty, wiedziało także o jej poprzedniej nieudanej próbie skończenia ze sobą, niektórzy mogli się domyślać, że ma ten zamiar. A jednak nikt nie zareagował, a jeżeli starał się coś zrobić, to robił to bardzo nieskutecznie, nieporadnie, tak jak umiał.

Ostatecznie człowiek może się uczyć, uczęszczać do klubu, jechać na wczasy, pójść do lekarza ale wszystko to nie daje jedynej podstawowej rzeczy — dobrego samopoczucia. Dzieje się tak dlatego, że trudno wskazać instytucję, która działa chociaż poprawnie nie mówiąc już o działaniu doskonałym. Instytucjami takimi nie są, ani rodzina, ani urzędy państwowe, ani szkoły, ani kluby ani też placówki służby zdrowia.

SENTENCJA:

Mając na uwadze całość ustaleń należy przyjąć, iż śmierć nastąpiła w sposób gwałtowny poprzez wyskoczenie z okna Brak podstaw iż do zamachu samobójczego została nakłoniona.

Wszystkie imiona i nazwy instytucji zostały zmienione. W reportażu wykorzystano pewne myśli zawarte w monografii Brunona Hołysa „Samobójstwo, przypadek czy konieczność" nie zaznaczone w tekście.

■

Zamiana

RYSZARD BINKOWSKI

1.

W Kombinacie Rolnym „Stokroty" byli fizyczni pracownicy z pełnym zaangażowaniem na umysłowych, którzy przewracali papierki tylko od ósmej do piętnastej. Taka Julia Wąs na przykład, trzydziestoletnia księgowa ze średnim wykształceniem, znużona bilansami i kombinacją pod kryptonimem „Premia", co drugi dzień musiała się głęboko odprężyć, żeby jej nie wyszło manko w bykach i w główkach kapusty na pniu. Ponadto Julia na skutek ciągłego obcowania z liczydłem zaczynała odczuwać wstręt fizyczny do męża.

Jednakże drugiego sierpnia po wyjściu z pracy Julia zachowała się jak wzorowa małżonka, tzn. zrobiła zakupy w sklepie i zerwała pomidory na działce. Następnie czekała z błogą nadzieją na lekarza weterynarii, Jana Parnika, żeby jej wypisał receptę na chcicę dolnopartyjną. Umówiła się z nim w pracy, że jeśli męża nie będzie w ogródku, to Parnik podjedzie pod dom i zabierze ją na gorącą kaszankę do Zgierza.

Czterdziestopięcioletnia Zofia Parnik, brygadzistka udojowa z półwyższym wykształceniem, wracając z obory widziała, że jej młodszy o pięć lat małżonek wyjeżdża gdzieś syrenką, ale nie rzuciła się desperacko pod koła, bo po co? Dzieci nie mieli, stosunki małżeńskie układały się nie najlepiej, gdyż łóżko to nie udojnia, nie ma kogo za co pociągnąć. Zdawała sobie sprawę, że weterynarz współżyje z jakąś wymalowaną krową, ale go nie śledziła. Ważne, że wracał do stada. Ogólnie był zdrowy, żadnego tam syfa czy parcha, nie leczył się i na nic nie narzekał. Owszem, pił, jak to medyk, co potwierdza szeroka analiza doktora Edwarda Bryla, ale nie był nałogowcem, gdyż taki nie odberałby żadnego krowiego porodu.

2.

Zdenerwowana długim oczekiwaniem Wąsowa strzeliła sobie na pokrzepienie flaszkę wina własnej produkcji. A kiedy wzięła się za drugą, nadjechał weterynaryjny kochanek, Jan Parnik. Usiadła obok niego, tj. z prawej strony kierownicy, zrobiła mu minutową wymówkę i pojechali. Wyczuła, że Jaś jest pod wpływem alkoholu, ale nie po chuchu, gdyż nie doszło jeszcze do kontaktu usta-usta. Wódeczność rozpoznała po mowie. Parnik był wielce ożywiony i ciut bełkotliwy. Prowadził jednak tak, że Julia nie bała się z nim jechać. Była ekspertem, sama bowiem miała prawo jazdy i znała przepisy.

W dzień później Julia oświadczyła, że, owszem, widziała niekiedy pijanego Parnika, raz nawet zabrano mu przez wódkę prawo jazdy, ale zdał egzaminy ponownie. Był bystry, refleksu i pewności siebie nabrał przy kastracji ogierów. Julii nie martwiło więc, że małżonka już w południe zabrała Parnikowi portfel z dokumentami i pieniądze. Tym bardziej, że zdołał wyciągnąć z domu trzy tysiące zaskórniaka, a to z powodzeniem wystarczyło na gorącą kaszankę.

W drodze Parnik stwierdził, że trzeba kupić flaszkę wódki, ale nie mogli jej znaleźć, choć objechali cały Zgierz. Wtedy Parnik stwierdził, że pożyczy flachę od kolegi, potem jednak przyszło mu do głowy, że ze względu na wredną żonę kolegi lepiej kupić alkohol u znajomego na wsi...

Julia Wąs nie pamiętała, czy paliły się światła na sygnalizatorze. Zdołała jednak zapamiętać, że przed skrzyżowaniem Parnik nie hamował, wykonał natomiast gwałtowny skręt w lewo. W ostatniej chwili ujrzała dwa światła i pomyślała tylko, czy syrenka zdąży przemknąć... Nie poczuła nawet uderzenia. Ocknąwszy się w karetce pogotowia pytała ze zdumieniem, co się stało i czemu nie siedzi z nią weterynarz Parnik.

Miała wstrząśnienie mózgu i złamaną lewą nogę.

3.

O godzinie ósmej wieczorem w mieszkaniu Ryszarda Góraja, pracownika służb mundurowych, pojawił się kolega żony, niejaki Bogdan Kardas, obywatel polski zamieszkały na stałe w Austrii. Spożyto kolację zakropioną ćwiartką wódki i kilkoma puszkami piwa. Kardas nie używał, ponieważ przyjechał mercedesem. Po kolacji, około pierwszej w nocy, Góraj zaproponował przejażdżkę po mieście, chciał bowiem sprawdzić, czy takim wozem jeździ się podobnie jak syrenką. Zapuścili się na głębokie peryferie, a po drodze podrzucili do domu pewną zagubioną koleżankę Góraja. Prowadził Kardas.

W pobliżu skrzyżowania, gdy znaleźli się przed pasami dla pieszych, jadącą z naprzeciwka syrena skręciła raptownie w lewo (patrząc z mercedesa — w prawo), nie sygnalizując manewru kierunkowskazem. Góraj nie był pewien, czy syrenka miała włączone reflektory. Pamiętał jednak, że na skrzyżowaniu paliło się zielone światło, toteż mercedes jechał szybko, nic więc dziwngo, że Kardas nie zdążył zahamować i walnął w prawy bok skręcającej syrenki.

Wskutek zderzenia silnik mercedesa zgasł, ale wóz potoczył się jeszcze kilkanaście metrów i stanął. Kardas widział tylko jedną osobę leżącą na siedzeniu syrenki, ale zamiast sprawdzić, czy ofiara żyje, zatrzymał jadącą warszawę i dotarł do znajomych, skąd po naradzie zadzwonił na milicję i pogotowie. Okazało się jednak, iż te zostały już powiadomione.

Natomiast z Górajem stał się prawdziwy cud. Otóż Kardas zostawił go zapiętego pasem bezpieczeństwa, ale gdy na miejsce przybyła milicja, mercedes był pusty. Góraj nie był w stanie podać, jakich dokonywał czynności i w jaki sposób dostał się do domu.

4.

W jednym z mieszkań w pobliżu skrzyżowania odbywały się imieniny żony obywatela Zdzisława Oleckiego, czterdziestoletniego inżyniera włókiennika. Około drugiej w nocy urwała się pieśń Ariadny, gdyż biesiadnikom wytrącił z rąk kieliszki odgłos silnego uderzenia. Gospodarz będąc pewnym, iż furkoczące czółenko storpedowało jakiegoś malucha, wyjrzał przez okno, skąd nie było widać całego skrzyżowania. Olecki dostrzegł jedynie wolno jadący samochód, który w pewnej chwili zwiększył szybkość i zniknął. Jak się później okazało, była to warszawa, którą odjechał Kardas.

Olecki wyszedł z domu. Światła na skrzyżowaniu działały. Syrenka stała za przejściem dla pieszych, przodem do pasów. Prawy bok miała kompletnie zniszczony. Na lewo od strony siedzenia kierowcy leżał mężczyzna z nogami uwięzionymi w samochodzie. Bark miał oparty o słupek metalowy barierki.

Z prawej strony kierownicy część siedzenia zajmowała leżąca kobieta. Oboje dawali oznaki życia, oddychali. Kilkanaście metrów dalej stał pusty mercedes. Olecki udał się na portiernię w pobliskiej fabryce, skąd zadzwonił po milicję i pogotowie ratunkowe.

W tym czasie przy rozbitej syrence znaleźli się dwaj nowi świadkowie. Stwierdzili oni potem zgodnie, że wskutek zderzenia oba ciała zostały wyrzucone z samochodu. Według nich głowa mężczyzny leżała przy betonowym krawężniku, przy czym oba ciała zajmowały dość osobliwą pozycję. Głowa kobiety znajdowała się blisko głowy mężczyzny, którego nogi spoczywały na ciele kobiety, z tym że stopy sięgały prawego siedzenia. Nogi kobiety były zgięte w kolanach.

Świadkowie wyciągnęli oba ciała z auta i ułożyli na jezdni.

Pogotowie zabrało mężczyznę do najbliższego szpitala, gdyż jego stan był o wiele cięższy.

W godzinę po zderzeniu milicja dokonała szczegółowych oględzin miejsca wypadku. Widoczność dobra, świeciły się lampy sodowe, asfalt był suchy. Późniejsze dokładne badania wykazały, iż pojazdy były przed kolizją sprawne technicznie. Straty oszacowano na 500 tys. złotych.

5.

Wczesnym rankiem znajomy powiadomił telefonicznie Zofię Parnikową, iż jej mąż uległ nieszczęśliwemu wypadkowi. Ponieważ Jan nie nocował w domu, a Zofia nie wiedziała, gdzie mógł przebywać, zadzwoniła na milicję. O godzinie dziewiątej dowiedziała się, że mimo doznanych obrażeń Jan żyje.

Prawie w dwanaście godzin po wypadku na milicję zgłosił się Góraj oraz obywatel Kardas z paszportem konsularnym.

Wcześniej, bo o godzinie dziesiątej zero pięć weterynarz Parnik zmarł nie odzyskawszy przytomności.

W związku z tym sporządzono raport na temat stanu trzeźwości ob. Kardasa i pobrano od niego krew. Zachowywał się normalnie. Tętno sto dwadzieścia, chód pewny, poruszanie przedmiotów z ziemi też pewne. Obajw Romberga — ujemny, próba „palec — nos" — ujemna, zapach alkoholu z ust niewyczuwalny.

Tak więc w dwanaście godzin po wypadku Kardas nie był pod wpływem alkoholu. A tego, czy w nocy faktycznie on prowadził mercedesa, nie dało się ustalić.

Według metody Widmarka we krwi denata znajdowały się 1,22 promille alkoholu. Oprócz licznych obrażeń, jak m. in. stłuczenie mózgu i złamanie kości miednicy, Parnik doznał również złamania kości skroniowej prawej i dwukrotnego złamania dziesięciu żeber po prawej stronie.

Ponieważ pijany sprawca wypadku nie żył, prokurator umorzył dochodzenie. Natenczas wdowa Parnikowa pragnąc dociec prawdy i zemścić się na kochance swego zmarłego męża, napisała zażalenie do prokuratury wojewódzkiej. Twierdziła, że Julia Wąs nie może być jedynie świadkiem w tej sprawie, gdyż to właśnie ona prowadziła syrenę i spowodowała wypadek. Parnikowa sugerowała, że kierujący pojazdem nie mógł zginąć, skoro pasażerka siedząca po prawej stronie doznała tylko stłuczenia głowy i złamania nogi.

No cóż, świadkowie wywlekli ciała z auta, toteż milicji trudno było ustalić ich położenie tuż po wypadku. Poza tym syrenka została uderzona w prawy bok, a więc tam, gdzie siedział pasażer. Złamana prawa kość skroniowa i zgruchotanie dziesięciu żeber po prawej stronie wskazywały, że pasażerem był jednak rozwiązły, świętej pamięci, weterynarz Parnik. Kiedy Julia dowiedziała się, że Parnik nie żyje, postanowiła zwalić winę na nieboszczyka.

Ale wobec logicznie brzmiących dowodów Wąsowa przyznała się do kierowania syreną. Należało jednak udowodnić, że spowodowała wypadek w stanie nietrzeźwym. Zachowały się na szczęście (dla milicji) dwie próbki krwi, którą po raz pierwszy pobrano w osiem godzin po wypadku.

O godz. 10.00 — 0,30 promille.
O godz. 11.00 — 0,10 promille.

W ciągu godziny uległo więc eliminacji w organizmie Juli Wąs dokładnie 0,20 promille. Ponieważ minęło osiem godzin, wynika z tego, że w chwili wypadku Julia mogła mieć we krwi 1,60 promille alkoholu.

Z tej smutnej historii można by wyciągnąć jakiś dowcipny morał, chociaż tak naprawdę to płakać się chce, proszę słomianych wdowców. No bo taka praworządna żona, choćby nawet zdradzana, broni dzielnie honoru męża, kupi mu trumnę, zapłacze na pogrzebie, a wredna kochanka nawet po śmierci chciałaby go wsadzić do więzienia. Taka zamiast wieńca zarzuciłaby ci jeszcze pętlę na szyję.

Strzeż nas, dobry Panie Boże, od kochanek w nieszczęściu.

Bracia dłużnicy

EUGENIUSZ IWANICKI

PREZENTACJA

Józef B., rocznik 1963, pracował w Komendzie Wojewódzkiej Straży Pożarnej. Opinia przełożonych jest znakomita. Piszą w niej m.in.: *„W okresie służby stwierdzono następujące cechy osobowe: Józef B. jest posłuszny, spokojny i pracowity, koleżeński — chętny do pracy"*. Te cechy zadecydowały, że powołano go do pełnienia funkcji kierowcy w służbie bojowej.

Także opinia z miejsca zamieszkania jest dobra. Józef B. nie chuliganił, nie upijał się i nie wszczynał awantur, nigdy go nie spotykano w grupie „urodzonych w niedzielę". Znany był ze spokojnego trybu życia, a także z tego, że po śmierci ojca przejął po nim gospodarstwo rolne.

Jego brat Piotr B., rocznik 1967, uczył się w III klasie Zasadniczej Szkoły Zawodowej w Łodzi. Opinia nauczycieli jest więcej niż dobra. Piszą oni: *„W ciągu trzech lat pobytu w szkole osiągał pozytywne wyniki w nauce, wywiązywał się ze swoich obowiązków, nigdy nie naruszał regulaminu szkolnego, był zdyscyplinowany, obowiązkowy i koleżeński... Na praktycznej nauce zawodu osiągał dobre oceny, nigdy instruktorzy nie informowali o niewłaściwej postawie do pracy, złym zachowaniu czy niszczeniu materiałów, narzędzi lub urządzeń. Uczeń chętnie włączał się do prac społecznych na terenie szkoły"*.

Opinia z miejsca zamieszkania jest równie dobra.

Mimo to obaj zostali osadzeni w areszcie i czeka ich wieloletni wyrok i młodość za kratami.

Pochodzą z wielodzietnej rodziny — 8 dzieci — w której głowa, czyli ojciec, uległ grzesznej a występnej miłosci do alkoholu, zupełnie zapominając o ojcowskich obowiązkach. Tata był człowiekiem twardym, krótko trzymającym swoją trzódkę przy pomocy pięści, pasa i tego wszystkiego, co w danej chwili nawinęło się pod rękę. Przy tym zupełnie zapomniał, że dzieci muszą jeść i w coś się ubierać. Kiedy po którejś z rzędu awanturze sprawa trafiła do sądu i prokurator postawił tatusiowi zarzut, że znęca się nad rodziną i nie płaci alimentów, ten zrozumiał, że żarty się skończyły. I niechybnie poszedłby siedzieć, gdyby nagle rodzina nie skorzystała z prawa odmowy zeznań. W tej sytuacji akta wróciły do Prokuratury Rejonowej w Pabianicach w celu uzupełnienia materiału dowodowego. Rozprawa, o której mowa, odbyła się wiosną 1982 r., a w grudniu tegoż samego roku tata się powiesił.

Wydawać by się mogło, że sprawa umarła wraz z niefortunnym tatusiem. Niestety, nie. Pozostały nie zapłacone długi, które stały się powodem, że obaj bracia B. znaleźli się za kratkami.

NIEFORTUNNY SKOK

Wieczorem 10 kwietnia br. kierowniczka sklepu RTV nr 10 w Andrespolu została powiadomiona przez milicjantów, że jej sklep został ogołocony z towaru przez nieznanych sprawców. Od strony zaplecza wyłamali kawałek deski w ścianie i wynieśli co się dało.

Ponieważ było późno i milicjanci byli na miejscu przestępstwa, kierowniczka położyła się spać i dopiero nazajutrz mogła stwierdzić co naprawdę zginęło. Już pobieżne oględziny potwierdziły przypuszczenie, że „skok" musiał być przygotowany, a towar zabrano samochodem. Brakowało bowiem wzmacniaczy, radioodbiorników, magnetofonów, radiomagnetofonów, kolumn głośnikowych. Po podliczeniu okazało się, że złodzieje wynieśli wszelakiego dobra na 350.000 zł.

Jak zwykle w takich przypadkach zostaje natychmiast uruchomiona machina dochodzeniowa. Jej tryby nabierają rozpędu, obracają się coraz szybciej. Czasem praca trwa dłużej, innym razem krotko, choć zdarza się, że nie udaje się ustalić sprawcy przestępstwa. W tym przypadku jednak wszystko poszło nadzwyczaj sprawnie. Milicjanci, sobie tylko znanymi sposobami, dotarli do zabudowań braci B. i gdy otworzyli drzwi do domu, stało się wszystko jasne: niemal cały zrabowany towar leżał w mieszkaniu.

Bracia B. mieli wyraźnego pecha. Tacy spokojni i dobrzy chłopcy, tak pozytywnie oceniani przez swoich przełożonych i nauczycieli, w obecności przedstawicieli prawa i porządku musieli wiele rzeczy wyjaśnić, opowiedzieć i podać powody, dla których trafili na drogę przestępstwa. Bowiem okazało się, że wbrew opiniom i ocenom, bracia B. od dawna dokonywali kradzieży, zabierali cudzą własność, trudnili się handlem przedmiotami pochodzącymi z kradzieży.

W czasie przeszukiwania domu i przylegających doń zabudowań, znaleziono zdemontowany fiat 126p wraz z tablicami rejestracyjnymi i dowodem rejestracyjnym. Ponadto zabezpieczono dwa inne dowody rejestracyjne samochodów, choć samych pojazdów już nie było. Natomiast odkryto sporo części do motocykla marki „Jawa", który to motocykl został przez braci B. skradziony i zdemontowany. Przy okazji natrafiono na sporo przedmiotów nie pochodzących ze sklepu w Andrespolu, choć ich ilość i wartość rynkowa sugerowała, że znalazły się w tym pomieszczeniu nie drogą kupna lub darowizny. Były to m.in. generator jonów ujemnych powietrza, kolumny głośnikowe, akumulator, plandeki z wagonów kolejowych, aparaty fotograficzne, części do samochodów itp.

MOTYWACJE

Śledztwo w tej sprawie prowadzi Rejonowa Prokuratura w Pabianicach, a całość sprawy nadzoruje i przygotowuje akt oskarżenia pani prokurator Grażyna Stanisławska, która udostępniła mi teczki zawierające dokumenty obciążające obu braci B.

Starszy, Józef B., przyznaje się do postawionych mu zarzutów i niczego nie stara się ukryć lub zaciemnić. Owszem, mówi, musiałem kraść, gdyż ciąży na nas nie zapłacony dług ojca w wysokości 60 tys. złotych. Z czego niby mieliśmy go oddać? Dlatego trzeba było zrobić dobry „skok", nabrać towaru tyle, by starczyło i na spłatę długu, i na drobne wydatki.

Do sklepu RTV w Andrespolu pojechali w trójkę: Józef, Piotr i Grzegorz, co prawda szesnastolatek, ale już wprawiający się w trudne dorosłe życie. Pojechali własnym „maluchem" z wyjętym tylnym siedzeniem. Ponieważ od frontu budynku nie udało się wejść do środka, spróbowali od zaplecza. Tu wyrwali jedną z desek i Józef B. wszedł do wewnątrz, skąd podawał Piotrowi co cenniejsze rzeczy. Najmłodszy siedział w samochodzie i to wszystko układał.

Niestety, samochód fiat 126p nie jest pojemny. A tu tyle dobra wszelakiego czeka na zabranie. Więc szybciutko odwieźli pierwszą partię do domu i wrócili ponownie, by wyładować po sufit „malucha" radiami i magnetofonami. To był naprawdę dobry połów. Niestety, nie zdążyli nic sprzedać, a tym samym bodaj w części zapłacić ów nieszczęsny dług.

Co do znalezionego u nich samochodu fiat 126p nr rej. LDO 1910, to Józef B. znalazł go przypadkowo w lesie na rogatkach Łodzi, jakieś pięćset metrów od swojego domu. Było to w lutym, około ósmej rano, kiedy właśnie wracał z pracy. Józef B. od razu pomyślał, że ktoś ten samochód musiał porzucić, gdyż były w nim nawet kluczyki. Tak pomyślał, bo w Polsce porzucanie samochodów jest na porządku dziennym, co przysparza tylko kłopotu służbom drogowym. Więc powiedział braciom w domu, że jest samochód do wzięcia. No to go wzięli. Wzięli i rozebrali na części, bo mogły się przydać do ich własnego fiacika.

Z motocyklem „Jawa" było trochę inaczej. Otóż w październiku ubiegłego roku wracał właśnie od siostry mieszkającej na Widzewie-Wschodzie, a był to późny wieczór i Józef B. wypił co nieco. A tu stoi „Jawa"! I nikogo w pobliżu! Tak się składa, że zawsze nosi przy sobie kluczyki od motocykla. Włożył do stacyjki. Pasowały. No to kopnął dźwignię rozrusznika i przez nikogo nie zatrzymywany odjechał do domu. Szkoda mu było oddawać taki dobry motor, więc rozebrał go na części, które sprzedał na łódzkim bazarze za 30 tys. zł.

A z pędzeniem bimbru, to nie jest całkiem tak, jak się go posądza. Owszem próbował ale nie miał cierpliwości. W marcu przygotował zacier i otrzymał z niego zaledwie 5 litrów bimbru. Ale to idzie bardzo powoli, a tu czekała robota. Więc poniechał. No, może jeszcze kiedyś tam coś pędził, ale nie więcej niż litr.

Natomiast Piotr B., który w tym roku miał składać egzaminy końcowe w Zasadniczej Szkole Zawodowej, niezupełnie zgadza się z tym co mówi Józef. Owszem, sklep RTV w Andrespolu „załatwili" w trójkę, bo pieniądze trzeba było oddać dłużnikom. To wszystko prawda. Natomiast z porzuconym „maluchem" było trochę inaczej. Od razu wiedzieli czyj jest, gdyż był w nim dowód rejestracyjny i książeczka gwarancyjna. Wcale nie jest prawdą, że Józef znalazł go w lesie. Owszem, znaleźli go, ale w trójkę, razem z Grzegorzem. I wcale nie dlatego go zabrali, by wymienić zużyte podzespoły we własnym „maluchu". Plany były zupełnie inne. Otóż w tym czasie on, Piotr, „robił" prawo jazdy i chciał mieć własny środek lokomocji. Więc wpadli na pomysł, by własnym sumptem zmontować składaka i tylko dokupić do niego nowy korpus z fabrycznie wytłoczonym numerem. Taki składak można byłoby bez obawy o wpadkę zarejestrować w wydziale komunikacji.

Z „Jawą" także było nieco inaczej. Od siostry wracali w trójkę, a motocykl stał na parkingu. Przydał się.

Bimber gotowali, owszem, także w trójkę. Pili go potem z kolegami.

Na tym można niniejszą opowieść o braciach dłużnikach zakończyć. Nie jest ona ani rewelacyjna, ani sensacyjna. Na łamach „Odgłosów" prezentowaliśmy dużo smaczniejsze kąski kryminalne. Ale napisałem o braciach B. dlatego, że w ich zeznaniach nieustannie — jako okoliczność łagodząca czy wyjaśniająca — przewija się ów nieszczęsny dług ich tragicznie zmarłego ojca. Być może ten motyw ma wzruszyć organa sprawiedliwości ludowej, a co za tym idzie, mieć wpływ na wysokość kary.

DARIUSZ OSIŃSKI

Pod gołym niebem

Samochód już czekał. W dyrekcji Mozolnemu powiedziano:

— Dwa dni temu leśniczego Pokrzywę zabrano prosto ze zrębu do szpitala. Miał wypadek. Trzeba jak najszybciej jechać na zrąb. Ludzie nie mogą tak długo pracować bez nadzoru.

— Dwa dni temu — zdziwił się Mozolny — a teraz dopiero mi mówią... Jak ja zdążę się przygotować do wyjazdu.

W dyrekcji był ruch, wszyscy się śpieszyli, bo miała się zacząć jakaś narada. Z gromady ludzi wyłonił się nagle główny księgowy.

— To jedzie pan, jedzie... — raczej stwierdzał fakt, niż pytał. Stał jak na szpilkach kręcąc się na wszystkie strony.

Już go wołano, bo były jakieś „ważne sprawy" i narada. Wszystkich objęła zwykła w tych razach gorączka.

— Nie potrzebuje pan jechać pociągiem, tyle przesiadek — dowodził główny księgowy — po co te żmudne rozliczenia. Niedużo, ale przedsiębiorstwo zawsze na tym zaoszczędzi — dodał na koniec i chrząknął znacząco, po czym zakręcił się na pięcie i szybko odszedł. — Ale... ale... — zatrzymał się jeszcze w odległości kilku metrów — hotelu robotniczego tam jeszcze nie ma — prawie wykrzyknął w stronę Mozolnego — to może się pan zatrzymać gdzieś prywatnie. Tylko niech dadzą panu rachunek za kwaterę.

Sąsiadka, zaniepokojona jego pojawieniem się o tak wczesnej porze z pracy, bo wracał zwykle o piątej, już czuwała.

— Gdzie to pan, panie Mozolny? — stanęła wychylając się daleko za próg. Na jej opasłej twarzy z trzema poodbródkami zastygł wyraz zdumienia.

— Pani Frędzlowa, ja wyjeżdżam na jakiś czas, w takie jedno miejsce... I gdy już zamykał drzwi, Frędzlowa zaczęła się zaśmiewać trochę zachrypłym, starczym głosem:

— Pewnie jedzie się pan gdzieś tam ożenić.

— Pani Frędzlowa, co pani... — obruszył się Mozolny i wyszedł z Dobrodusznym do samochodu.

— Oj, moja pomyśli, że się coś może w trasie zmieniło, i nie będzie jej w domu — przejął się nagle tamten. — A ja tak nie mogę w trasę się puszczać, jak mnie nie oporządzi.

— Mnie tam nikt nie oporządza, jak widzisz, i dobrze — odparł skwapliwie, beztrosko Mozolny i nagle urwał, jakby się zbytnio zagalapował w tej „niby wyższości". Po chwili powiedział jakimś zagasłym głosem: — Taak... taak...

Dobroduszny wlepił w niego oczy i aż wyciągnął szyję, żeby mu się lepiej przyjrzeć.

— Co ty?... — wymamrotał.

Mozolny pomyślał: Pal licho, będzie mi lżej.

— Raz się tylko człowiek zakropi — zaczął mówić. — Ale tylko w jednej dziewoi. — Wyciągnął znacząco wskazujący palec przed oczyma Dobrodusznego. — Co zrobić, taki już jestem, nie mogę być inny — dodał z rezygnacją, jakby był przez to sam zły na siebie. Po czym ciągnął dalej: — Patrzysz na sosny, wszystkie smukłe, jedna w drugą, zdają się być jednakowe. Ale kiedy się przyjrzysz uważnie, to każda jest inna. Niepowtarzalna. I tylko ta, którą wybierzesz, w wyobraźnię ci zapada. Pewnie podobnie jest z dziewczyną. — Mozolny spojrzał pytająco. — I chociaż spotykaliśmy się tylko przez półtora roku, bo tyle akurat po leśnictwie w biurze na praktyce u nas była, to do dziś nie mogę się z tego wyplątać. Taki już jestem. „Z gruba ciosany", mówiła mi ona.

— I ja jej nie znam? — uniósł pytająco brwi Dobroduszny.

— Ho, ho, ty wtedy jeszcze tutaj nie pracowałeś — mruknął Mozolny i kontynuował: — Rodzice jej, których bardzo kochała, wiedzieli o wszystkim, była jedynaczką, oczkiem w głowie dla nich, rozumiesz?...

— Oo, jedynaczką — gwizdnął przeciągle Dobroduszny.

— Prosili mnie, żebym miał na to wzgląd — powiedział bezradnie Mozolny — aż wkrótce wyjechali za granicę, a ona potem, gdy tu praktykę skończyła, miała za nimi jechać, bo na nią tam czekali. I ciągle telefonowali, słali depesze, listy do niej. W końcu już i do mnie, znów z prośbami. Dziewczyna chodziła tak tym skołowana, że powiedziałem jej „jedź", bo już na to nie mogłem patrzeć. I tak się stało. Potem zrozumiałem swój błąd. Teraz już nie mam nic do stracenia... I tak się stało — powtórzył.

— Co się stało, to się nie odstanie — podsumował Dobroduszny. I nagle zreflektował się: — Ojej, zagadaliśmy się! Przecież dawno mieliśmy już jechać.

Kiedy ruszył, zaczął zaraz brać wiraże, raz po raz, aż gwizdały opony, a na zakrętach dwa razy ich zarzuciło.

— Tam dopiero zacznie się dla ciebie życie.

— Cholera wie, jakie to będzie życie — skwitował ponurym mruknięciem Mozolny.

Dobroduszny spoważniał i odezwał się jakimś tajemniczym tonem:

— Tam na pewno spotkasz Dzikiego.

— Kto to? — zainteresował się Mozolny.

— Czy ty rzeczywiście tak się wgryzłeś do reszty w to swoje drzewo w tym biurze, że żadne nowe wieści, ani sprawy już do ciebie nie docierają? Przecież tam od dobrych dwóch, czy trzech lat grasuje Dziki.

— Tego nie wiem — zdziwił się Mozolny.

— A widzisz — mruknął tamten. — On, rozumiesz, poprzednio miał inne okręgi, a teraz spodobał mu się Świszczysad.

— Niebywałe — pokręcił głową Mozolny — no i co?

— No co, podobno, jak w Wólkowej kuźni kiedyś stary Anzelm nie mógł przypasować żadnej podkowy, bo mu przyprowadzili konia wyścigowego, a miał tylko jedną, która by pasowała, ale ta była znów niesamowicie wygięta, to wyobraź sobie, poprosił Dzikiego, bo wtedy w pobliżu gdzieś był... to mu przygiął z powrotem tę podkowę.

— To zupełnie jak August Mocny — pokręcił w zdumieniu głową Mozolny.

— Może niezupełnie, ale mocny to on bardzo jest. A wieści takie tam o Dzikim chodzą, że podobno chciał skończyć taką szkołę, po której miał zostać jakimś bardzo ważnym.

— Jakim ważnym? — spytał Mozolny.

— No, ważnym — obruszył się Dobroduszny. — Ja tam wiem...

— Sporo mi nagadałeś o nim.

— No, chyba sporo.

Na tym utknęła na dłuższy czas rozmowa. Za miastem, zima zaczęła dawać znać o sobie z nieodpartą siłą, nie tak, jak w mieście, gdzie jej prawie nie widać. Rozsiadła się biała na polach, zasypała drogi wiejskie śniegiem, całe lasy wzięła w posiadanie, połyskując w igłach drzew lodem. Mozolnemu zmarzły już porządnie nogi. Raptem stał się na wszystko obojętny i wtedy dopiero usnął. Śniło mu się biuro. Gdy już było widno, nagle poczuł, że szarpią go jakieś psy. Otworzył oczy i zobaczył obok zniecierpliwionego Dobrodusznego.

— Budzę cię i budzę. Stoimy już długo.

— Tak, tak — powiedział zaspany jeszcze Mozolny.

— Świszczysad — oznajmił głośno kolega.

— Rzeczywiście.

— No, to do zobaczenia z Dzikim. — Dobroduszny uśmiechnął się i podał mu dwie paczki: kurtkę watowaną ze spodniami i tę białą koszulę. Mozolny wziął to pod pachę i wysiadł. Kierowca pomachał mu jeszcze przez szybkę i ruszył. Przed Mozolnym rozciągał się bardzo wielki sosnowy las. Szedł wśród zielonych, śniegiem poznaczonych drzew, aż zatrzymał się dopiero przy jednej z dróg leśnych, gdzie na obłodzonej drewnianej tablicy widniał napis: Uwaga! Wstęp wzbroniony. Ścinanie i Obalanie Drzew. Nadleśnictwo.

Mikry odrzucił czym prędzej motorową piłę i oznajmił:

— Jakiś się zaczaił i za drzewem stoi.

— Mozolny! Czy mnie oko nie myli? — wyrwało mu się po chwili. — Po tylu latach...

— Stary! — zawołał Mozolny z przejęciem. — Po tylu latach jeszcze tu jesteś — i pokiwał głową.

— Jeszcze tu jestem — powtórzył stary pilarz — ale niewielu od tamtego czasu nas zostało. Nowi teraz są, ale porządne chłopy — mówił stary podekscytowany niespodziewaną wizytą.

Wyszedł im naprzeciw Karpina.

— A niech cię! — zawołał — Mozolny!

Podeszli zaraz co żywo i inni. Wszyscy go witali na zrębie. Więc był tu Powała i był Celestyn, dalej Walek, który najpotężniej z nich się prezentował, i Waligóra, szerszy niż wyższy. Wicek, i ten, co go przezwano Zagrycha, i jeszcze Bartnik. Z nowych: Zalotny i Bestseller, który, gdy pewnego razu przywiózł z miasta dziesięć słoików najnowszej produkcji gołąbków z kapustą, uraczył wielu poczęstunkiem mówiąc:

— Spożywejta, bo to tera bestseller.

Był jeszcze August, bystry jak rzadko który, no i Bajadera, najmłodszy, który za każdym razem, gdy był na jakimś wiejskim weselu, oznajmiał, że znów ma nastrój, bo coś poderwał, i wtedy śpiewał, jak brał piłę motorową do ręki: „O Bajadero, ptaszku ty mój...". A słuchano go nawet, bo głos miał ładny. I było wielu, wielu jeszcze innych.

Karpina podsunął się najbliżej Mozolnego i powiedział:

— Wiesz chyba już, co się stało z naszym Pokrzywą.

— Dokładnie nie wiem — rzekł Mozolny. I w tej chwili jakby prysł gdzieś ten uroczysty nastrój powitania, bo z Pokrzywą była przecież „sprawa smutna". Niektórzy nawet trochę się zafrasowali.

— Pokrzywa, trzeba ci wiedzieć, chciał sam przesunąć ciężką dłużycę — padły słowa Karpiny. — No i coś trzasło mu w brzuchu.

— No tak... — współczuł Mozolny. Powoli popatrzył po obecnych i dziwne uczucia w nim się odezwały. — Będę tu teraz na miejscu Pokrzywy.

Ucieszyli się. Niejeden uśmiechnął się do swoich myśli, wspominając jak to było, gdy prawie okrągłe sześć lat temu Mozolny był tu z nimi.

— No, to co — powiedział Karpina — przerwiemy na chwilę robotę i zaprowadzimy Mozolnego. Trzeba go ugościć — i zapraszającym gestem wyciągnął przed nim poodmrażane ręce o fioletowoczerwonej skórze.

W chwilę potem Mozolny przekroczył próg Powałów. Duże drewniane łóżko, pokój niewielki, pomalowany na kolor ultramaryna, z belkami wystającym u sufitu, przylegający do kuchni, która za dnia zamieniała się w wielką gotowalnię jadła dla świń.

Mozolny czuł się tu dobrze. Patrzył sobie przez zamarznięte okno, za którym ciemnił się z pióropuszami śniegu las. Rozpakował zaraz białą koszulę i schował do ogromnej dębowej szafy. Spodnie i kurtka watowana musiały leżeć na krześle, tuż przy łóżku, potrzebne na co dzień, przypominały o pracy w lesie.

Gdy usiadł na łóżku, zatrzeszczało, aż myślał, że jakaś deska odpadnie, ale nic się nie stało. Ciągnęło go do drzemki.

Powałowa akurat głośno dojadała z garnka zupę. Od zamiatania w nim łyżką aż ranty dzwoniły. Widocznie nie domknęła drzwi od kuchni — pomyślał sobie — bo tak słychać.

— To będzie teraz miał na ciebie oko — zaczęła mówić o Mozolnym.

— Co będzie? — skrzywił się na to Powała, nasilając głos.

— No, będzie miał baczenie na ciebie — powtórzyła, jakby myślała, że jej nie zrozumiał.

— Nie potrzeba mi żadnego baczenia ani oka — zezłościł się Powała. — Przecież go znasz, jaki to jest człowiek.

— No niby znam — odchrząknęła zaraz, jakby ją coś zatknęło.

Widocznie wpadł jej do gardła jakiś grubszy kartofel — pomyślał Mozolny. Nie mógł przez to jej gadanie usunąć. Jeszcze brzęknęła łyżka rzucona z całą siłą do garnka i na piecu powstał teraz jazgot energicznie przesuwanych hakiem fajerek.

Następnego dnia, gdy pilarze szli grupami do ścinki, wiedzieli, że z nimi już jest Mozolny, chociaż wyglądało że wszystko jest po dawnemu, bo przecież Karpina też z nimi szedł.

— Róbcie robotę jak dotychczas, a co się da zmienić na lepsze, to zmienię.

Z ust do ust poszły szepty:

— Na lepsze...? Co by tu miało być lepsze...?

Niejednemu rozjaśniła się na moment twarz, a jeszcze inny zastanowił się dłużej nad tym.

— No, obalajta, obalajta dalej — Karpina zawołał jakby z nawyku. Na to oni zawahali się na moment, ale Mozolny uśmiechnął się wskazując stojące drzewa.

Zagrały piły. Więc grał swoją dwuosobową piłą motorowy Celestyn wraz z pomocnikiem, motorowy Waligóra z jakimś nowym, wykwalifikowany pilarz o skupionej twarzy, zwany Zagrychą, również ze swoim pomocnikiem Wicek też w parze z jakimś początkującym przy pile, no i Apolinary we dwójkę z kimś, potem Socha z Bartnikiem, grał też swoją jednoosobową piłą Mikry, a także Karpina, który w tej nowej sytuacji także włączył się do chóru muzycznego pił, ale z wielkim namaszczeniem i skupieniem na twarzy, wyróżniający się spośród nich wszystkich, jak solista w tej orkiestrze pracy mechanizmów tnących. A muzyka wrzynającego się w drzewo metalu wibrowała aż pod śnieżne, szare niebo i dalej w głąb lasu.

W tej pracy było coś jakby z obrzędu czy ceremonii. Pilarze, pochyleni przed drzewem, jakby oddają mu cześć przed śmiercią. I dopóki dokonują rzazu podcinającego, ono jeszcze znajduje się w postawie pionowej. Kiedy przechodzą na drugą stronę drzewa i dokonują rzazu obalającego, dopiero wtedy ono się kłania, najpierw z dostojeństwem, a potem zwycięzone pada z trzaskiem na ziemię swoim czołem zielonym.

Mozolny uległ na moment złudzeniu, że to gromada olbrzymów przewraca las, a nie zwykli ludzie. Dopiero kiedy drzewa już leżały, a Karpina, Apolinary, Bartnik i wielu jeszcze pilarzy przystępowało do okrzesywania drzew z gałęzi, które zaraz wynosili inni na skraj zrębu do drogi wywozowej; dopiero wtedy zauważył również całą przeciętność tej pracy. Ci „inni", nie pilarze, wynosili do drogi wałki i szczapy, żeby je tam układać w stosy, taszczyli gałęzie. A żaden z nich nie tknął się piły. Byli tu jakby mniej ważni. I gdy przed Mozolnym przeciągał z gałęziami Bajadera, podśpiewując sobie beztrosko: „Siedziała na zrębie i dłubała w gębie", a w ślad za Bajaderą przeciągali i inni, zdawało mu się, jakby przyjmował defiladę gałęziarzy.

Niebo tymczasem stawało się coraz ciemniejsze, ale Mozolny zapomniał już o tym, bo uwagę jego zaprzątnęło zaczepione drzewo. W końcu odwiedzono je, a nowi znowu z zapałem pracowali piłami, a piły grały na cały las, tak samo jak w rękach rutynowanych pilarzy. I wydawało się, jakby chcieli prześcignąć zbliżającą się śnieżycę.

Wtem odezwał się Zalotny do Augusta:

— Człowiek dopiero teraz wie, po co tu jest.

— To jasne — odparł August. — Bo coś się wali pod rękami.

— No, las się przewraca — powiedział Zalotny.

— Nie odejdę od piły — zwierzył się August — chyba, że mnie siłą od niej oderwą.

Pewnego dnia, kiedy rozmach jakiego nabrali najmłodsi, udzielił się i innym, nagle ściemniło się i zaczął padać bardzo gęsty śnieg. Skryli się do szałasu. Wszyscy mieli ponure twarze, a śnieg, który zdążył po drodze oblepić im ubrania, zaczął intensywnie parować. Nikt jakoś nie zdobył się na dowcip, widocznie każdemu ciążyło bezużyteczne trawienie czasu na wyczekiwaniu. Wtedy ktoś wspomniał:

— Gdzie może być teraz Dziki, jak tak pada?

— Dość długo już się u nas nie pokazywał — zauważył zagadkowo inny.

— Żeby go tylko gdzieś śnieg nie zasypał — dodał jeszcze któryś.

— No tak, bo on jak idzie, to idzie. Dla niego zawierucha czy zadymka, to wszystko jedno. I w ogóle niepojęty to człowiek, taki jak żaden.

I znów cisza nastała, a wyobraźnia podsuwała różne obrazy i dziwne zapytania.

Na zrębie szeptali do siebie:

— Jakiś spokojniejszy zrobił się teraz nasz Mozolny.

— To może po tych książkach z normami i przepisami, co mu przysłali z biura, jest taki.

A on myślał: Dużo tu jest zdrowej sosny, chyba się uda. Czasem jednak niepokoił się.

Myślał właśnie, że pojawić się może niespodziewanie ktoś na inspekcję, gdy nagle usłyszał:

— Patrzcie! Idzie! Poznajecie naszego starego znajomego?

Ktoś zapytał:

— Z której strony nadchodzi? Nie widzę!

Spośród drzew wyłoniła się postać. Człowiek szedł szybko i energicznie, płaszcz miał długi, czarny, rozpięty.

Mozolny spytał:

— Kto to? Po co on tu? — Wydało mu się, że to człowiek z jakiegoś innego świata, niebezpieczny. Czyżby to był ten Dziki... — przemknęła mu myśl.

Przybyły, jakby wyczuwając jego nieprzychylność, popatrzył mu głęboko w oczy. Mozolny pomyślał, że ten człowiek potrzebuje pomocy. Chciał mu powiedzieć coś życzliwego, ale nic nie przychodziło mu do głowy.

Tamten usiadł swobodnie na obalonej sośnie. I Karpina przedstawił go Mozolnemu:

— To jest Dziki, nasz stary druh. Zjawia się zawsze niespodziewanie, jak błyskawica.

Ktoś powiedział:

— No, zobaczymy, ile teraz drzew zetnie.

Ludzie otoczyli ich kołem, a Dziki zsunął z ramion swój czarny, na mankietach przetarty płaszcz i położył go niedbale obok.

— Piłę mi dajcie do rąk, dobrą piłę! — powiedział. Rozprostował muskularne ramiona i wstał. Wszyscy się rozstąpili, a Wicek pierwszy skoczył, żeby podać piłę.

Mozolny chciał zaprotestować. Może ten człowiek nie ma żadnych kwalifikacji — pomyślał — jeszcze się coś stanie. Karpina wyczuł jego obawy, zmrużył tylko chytrze oko i powiedział:

— Polegaj na mnie, zobaczysz popisową pracę piłą.

Gdy Wicek podał jednoosobową piłę, Mozolny rzekł:

— Może by mu dać na wszelki wypadek dwuosobową, żeby z kimś ciął.

Karpina machnął tylko ręką.

Gdy Dziki przyłożył do drzewa piłę, wszyscy wstrzymali oddech. I wtedy rozległ się przyjemny dla ucha dźwięk.

— Ładnie gra — rzekł z podziwem Bajadera do Bestsellera, który aż otworzył usta, a hełm ochronny zjechał mu na tył głowy.

— Kiedy jak tak będę... — westchnął zazdrośnie Bestseller.

— Umrzesz i nie będziesz tak ciął — mruknął krótko Bajadera.

Gdy Dziki ściął sosnę, Mozolny powiedział:

— Tak, to była klasa.

Karpina jak echo przywtórzył jego słowa.

— Gdzie się pan tego nauczył? — spytał zaciekawiony Mozolny.

— To trzeba mieć... — odparł Dziki, a wszyscy zrozumieli, że we krwi.

Chciał zabrać się do następnej sosny, ale Mozolny dał znak, żeby się na razie wstrzymał, i spytał:

— Czy pan... nie chciałby zostać tu u nas, w brygadzie?

Tamten wzruszył tak jakoś ramionami, że wydał się Mozolnemu bezradny.

— Daj spokój — trącił Mozolnego Karpina, a wynikało z tego, że nie tędy droga do Dzikiego.

— Dlaczego daj spokój!

— Dziki do czegoś stałego to się nie nadaje — wyjaśnił Karpina. — Czy mam wziąć płaszcz i iść? — Dziki poczuł się dotknięty.

— Ale, kochany — powiedział Karpina przepraszając — nasz Mozolny jeszcze nic o tobie nie wie. Ale ja przecież znam cię od lat.

— Gdybyś ty tak całe życie raz tu, raz tam..., to też by cię potem tak gdzieś ciągnęło — odparł Dziki.

— Zrozumiałe, zrozumiałe — mruknął Karpina.

Mozolny powiedział do Karpiny:

— No, zabieramy się do roboty, bo szkoda każdej chwili.

I wtedy Dziki krzyknął, trzymając kurczowo piłę:

— Dajcie mi pracę, dajcie mi ciąć dużo drzew!

Wyglądał jak człowiek głodny, lub spragniony. Co tu z nim począć? — zastanawiał się bezradnie Mozolny.

— Żebyś, Mozolny, wiedział — zaczął Karpina — jak pięknie śpiewa Dziki na różnych weselach. Do każdej orkiestry go tu ciągną. Każde towarzystwo rozweseli. A jakie sztuki potrafi robić! Prawie jak artysta. Przeważnie z wesel żyje.

— Ale takie życie, to nie życie — powiedział Dziki.

— Nie widzę innego wyjścia, jak zostać tu w końcu z nami — Mozolny rzucił propozycję jeszcze raz i zobaczył na jego twarzy wahanie. — Na razie przez kilka dni, na próbę. Jak będzie pan codziennie, o tej samej porze, ze wszystkimi rano przychodził do piły...

Tego samego dnia Mozolny zdumiał się, gdy zobaczył, jak bez niczyjej pomocy Dziki usunął z drogi leśnej cztery dłużyce.

Przez dwa tygodnie Dziki przychodził punktualnie na zrąb. Mieszkał w swojej walącej się prawie, do połowy rozebranej ruderze, gdzie zamiast szyb była dykta i tektura, i przez nie komin wychodził krzywo na świat oknem. Z tego komina, co rano o tej samej porze, wydobywał się dym. To Dziki przed pójściem na zrąb gotował sobie strawę.

Któregoś ranka dym nie pojawił się i Dziki nie przyszedł na zrąb.

Mijały dni. Praca szła normalnie. Rudera wciąż była pusta. Spoglądano ukradkiem na Mozolnego, który stał się małomówny, patrzył gdzieś w bok, więc go o nic nie pytano.

Tylko jednego człowieka zabrakło na zrębie, a coś się zmieniło.

Po dziesięciu dniach pojawił się. Przesadził kilka bezładnie leżących drzew i stanął wśród nich.

Przerwali pracę, a on, jakby chcąc zebrać myśli, pochylił głowę i powoli zaczął mówić:

— Jak przychodziłem do was i dawaliście mi piłę motorową do ręki, wydawało mi się, że mogę być taki jak wy. I cieszyłem się. Tak było jeszcze na drugi dzień, trzeci, i czwarty... A potem... W drugim tygodniu zaczynałem się już nudzić, zaciskałem zęby, żeby jakoś dotrwać do końca każdego dnia. Nie mogłem wytrzymać, aż zrozumiałem, że muszę odejść! — Krótki, zły błysk pojawił się w jego oczach. Wyglądał tak, jakby chciał zaatakować. — Wtedy zrozumiałem, że nie pozostanę z wami. — Spojrzał na Mozolnego, ale nie... w tym spojrzeniu była rezygnacja. — Pan wyciągnął do mnie rękę — zaczął. — Tego się nie zapomina. Przykro mi, że spowodowałem tyle zamętu.

Nie czekając na odpowiedź odszedł szybko, jakby chciał, żeby o nim zapomniano jak najprędzej.

Zapanowała cisza, tylko ogromny, rozrośnięty świerk trzasnął nagle głośno i pękł.

Wtedy Karpina odezwał się:

— To pewnie od mrozu.

A Mozolny machnął ręką i powiedział:

— Już nic z niego nie będzie.

Ktoś nieśmiało zakaszlał.

— No widzisz — odezwał się po chwili Karpina — mówiłem ci, że z Dzikim to... — spojrzał z wyrzutem na Mozolnego i nie dokończył.

Znów zapanowała cisza, a pilarze bacznie obserwowali zwierzchnika.

Mozolny powiedział do Karpiny:

— No, bierzemy się do ścinki.

— Bierzemy się — odparł tamten.

Bigos hultajski

Mieszanka firmowa literacko – obyczajowa

X. B. W. IMPROWIZUJE

Trzy krótkie wiersze X. B. W., czyli Ignacego Krasickiego, księdza biskupa warmińskiego, przytoczył Adam Amilkar Kosiński w dziełku „Miasta, wsie i zamki polskie. (T. 3. Warszawa 1851):

Pewnego razu, gdy nad brzegami Skierniewki przechadzał się z Gurowskim, synem czy siostrzeńcem marszałka, a ten skarżył się, że stracił względy monarchy pruskiego, Krasicki, wskazując na młyn przyrzeczny, bez przygotowania następujący dwuwiersz powiedział:

Łaska u dworu, jak woda we młynie,
Wzrasta, wznosi się, opada i ginie.

Drugi raz, gdy z jednym z młodych poetów, podobno z Tańskim, przechadzał się po parku, a ten przeczytawszy mu jakiś lichy wierszyk pytał o zdanie, dał je rymami:

Jak śpiewam? zapytał się gil młody starego.
Ten rzeknie: Miły bracie, według zdania mego,
Nie puszczajmy się oba z słowikiem w zawody,
Ja jestem nazbyt stary, a tyś nadto młody.

Zmniejszone dochody prymasów nie pozwalały Krasickiemu żyć jak nawykł wystawnie, robił też ciągle długi i z tego powodu nieraz znajdował się w przykrych kłopotach; gdy mu pewnego dnia jeden z sekretarzy przedstawiał konieczność oszczędności, a przynajmniej niestosowne wydatki, odpowiedział:

Chcesz tedy bym na starość zmienił się w młodzika,
Książęca Mość w Mospana, Prymas w Kanonika?

Kosiński nie wiedział zapewne, że początkowy dwuwiersz Krasickiego był już wcześniej drukowany i to dwukrotnie, choć w różniących się między sobą wersjach. Po raz pierwszy stał się poetycką ilustracją artykułu szambelana Chłapowskiego „Myśli ku ulepszeniu ogrodów do rolnictwa zastosowanych" („Weteran Poznański" 1825):

Życie na świecie jak woda we młynie:
Szumi, obraca, upływa i ginie.

Kolejną wersję ogłosił Włodzimierz Drucki-Lubecki w wydawanym własnym nakładem czasopiśmie „Motyl" (1828, nr 1):

Szczęście u dworu jak woda przy młynie:
Szumi, obraca, upada i ginie.

Obydwie wersje przypomniał Juliusz W. Gomulicki w swoich „Podróżach po Szpargalii" („Nowe Książki" 1957, nr 19).

POSŁUSZNY SYN

Rozmyślanie, czytanie i pisanie są to rzeczy bardzo pożyteczne dla rozwinienia sił umysłowych i nadania im hartu doskonałości — mówił Hilary do syna swego Kubusia. Synek podziękował za naukę i przyrzekł z niej korzystać. Patrzył ojciec na postępowanie syna i dostrzegł, że Kuba wstawszy z rana o godzinie 10, palił lulkę do 12, potem poszedł na przechadzkę, powracał punktualnie na obiad, po którym siedział na przemian to w oknie, to w kącie, a zawsze milczał.

— Cóż to, *synu — rzekł ojciec — ty próżnujesz? Takiż to skutek mej nauki?*

— *Owszem, papo, najpierwszej trzymam się: zawsze rozmyślam.*

„Wiadomości Brukowe" 1819, nr 129

POŚMIERTNA WĘDRÓWKA DZIENNIKARZA

Podobno była to ulubiona anegdota Tuwima, którą powtarzam tu za „Kurierem Literacko-Naukowym" (1929, nr 5):

Umarł pewien dziennikarz. Wychudzony, zbiedniały, pełen zaniepokojenia i obawy puka do bram nieba.

— *Kto tam? — pyta św. Piotr.*

— *Jestem nieboszczyk.*

— *A kim byłeś za życia?*

— *Dziennikarzem.*

Porwał miotłę św. Piotr i przepędził go.

— *Nie ma w niebie miejsca dla dziennikarzy.*

Ze zmartwioną miną i oczyma, z których wyzierała czarna rozpacz, podążył dziennikarz do piekła. Tam przyjęto go jednak jeszcze gorzej. W piekle na samą wieść, że u bram stoi dziennikarz, powstał popłoch. Wyrzucono go sromotnie.

Długo biedził się nieszczęśliwy, długo się namyślał, aż wreszcie wpadł na pomysł; założył na księżycu dziennik.

I co? I oto już w drugim tygodniu otrzymał paszport i do piekła i do nieba.

PŁACZLIWY WIERSZ

Każdy płacze, gdy się rodzi,
Płacze, kiedy z świata schodzi.
Lecz kto po śmierci łzy leje,
Na wieki się nie roześmieje.

Nowy Kalendarz... na Rok Pański 1704, przez M. Stanisława Pecherzyńskiego.

Opracował:
ANDRZEJ KEMPA

Powrót wabiszczura

Kiedy przed dziesięcioma prawie laty pojawiło się pierwsze wydanie powieści Andrzeja Makowieckiego „Powrót wabiszczura", miałem okazję zapoznać się z przejawami gwałtownej reakcji czytelników. Do wydawnictwa napływały listy, w których oskarżano autora o najrozmaitsze sprawy: że deprawuje młodzież, szerzy pornografię, fascynuje się gwałtem i przemocą, że opisywany przezeń świat jest ponury i okaleczony. Ktoś nawet groził, że odda tę powieść i jej autora w ręce prokuratora. Aż dziw bierze, że przy tak nieobojętnych reakcjach książka Andrzeja Makowieckiego dopiero teraz doczekała się wznowienia.

Podejrzewam, że „Powrót wabiszczura" powstał z myślą o filmie. Makowiecki zazwyczaj pisze obrazowo, tu jednak OBRAZ jest równie istotny co postacie, a może nawet ważniejszy. W obrazie, w panoramie, znajdujemy wszystko, co potrzebne do określenia sensu i bezsensu ludzkiej egzystencji, dosłowność miesza się z symboliką, wymowa szczegółu urasta do rangi metafory. Człowiek i otaczający go świat stanowią jedno, niepodobna ich rozdzielić — jak nie można rozdzielić w człowieku dobra i zła. Tak rysuje się filozoficzna przesłanka przypowieści Andrzeja Makowieckiego. „Powrót wabiszczura" rozgrywa się w iście westernowej scenerii — rekwizyty znane z kowbojskich i przygodowych filmów, pełnią określoną rolę, podkreślają dynamiczny charakter ludzkiej egzystencji, eksponują ścieranie się postaw i dążeń. W pustynnym miasteczku żyją (w miarę zgodnie) przedstawiciele wszystkich bez mała narodowości. Każdy z nich coś już przeżył, doświadczył dobrego i złego, nikt nie ma czystego sumienia, wobec siebie zachowują jednak minimum lojalności. Chcą przeżyć. Tę pozorną sielankę salonu zakłóca nagłe nadejście dzieci-kwiatów. Ich pozornie bierna kontestacja okazuje się śmiertelnym zagrożeniem dla miasteczka, ponieważ w zaciekłości swej potrafią dorównać szczurom. Dochodzi zatem do KONFRONTACJI, świat zamienia się w piekło, padają zabici i ranni. Biblijne miasta Sodoma i Gomora zdają się być oazą spokoju i wzorem dobrych obyczajów w porównaniu z tym wszystkim, co rozszalało się w pustynnym miasteczku. Makowiecki nie szczędzi drastycznych obrazów. Owe APOKALIPTYCZNE WIZJE wyzwalają wyobraźnię.

Nie w tym jednak rzecz. Zastanówmy się raczej nad wymową „Powrotu wabiszczura". Oddajmy na chwilę głos autorowi: *„Gdzie sens, który wynika zawsze z bajek i powieści? Powinno być tak, że miasteczko, owszem, robaczywe jest od środka, lecz na zewnątrz lśni czystością — żadnych domów publicznych, bandytów, narkotyków; ciche zdrady najwyżej, pokątne knowania. Owi z gór natomiast, mimo pozornego niechlujstwa, są burzycielami starych porządków: przyszli zbawić świat w imię ludzkości. Jednak życie nie chce być powieścią. Nieraz zło trafia na zło. Granica między Czarnym i Białym zaciera się, wykoślawia..."*.

Tak więc w „Powrocie wabiszczura" ZŁO TRAFIŁO NA ZŁO. Ostrze na ostrze. Zrozumiałe, że w takiej sytuacji nie może być zwycięzców i zwyciężonych. Przegrywają wszyscy. Pesymizmu przypowieści Andrzeja Makowieckiego nie łagodzi nawet monumentalna postać Płowego, muzyka-czarodzieja, międzynarodowego idola, którego nadzwyczajne umiejętności pozwalają uratować miasto przed inwazją obcych. Autor „Powrotu wabiszczura" zna siłę muzyki z autopsji, nie darmo też nazwano go „ostatnim pisarzem pokolenia jazzu". Własne obserwacje połączył z prastarą legendą o grajku, który przeczystym tonem swego fletu ocalał miasta przed epidemią wędrujących szczurów. Powstał utwór, którego lektura przyprawia o DRESZCZ GROZY.

„Powrót wabiszczura" to niesamowita opowieść o tym, co w człowieku najgorsze: o agresji i strachu, o podłości i przebiegłości, o chciwości i oszustwie, o bierności i rezygnacji. Autor świadomie nagromadził mnóstwo cech negatywnych. Tylko w ten bowem sposób mógł pokazać zagrożenie, jakie stanowi człowiek dla samego siebie i dla drugiego człowieka. Andrzej Makowiecki pisze zresztą o tym od dawna. Czytajmy Makowieckiego!

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

Andrzej Makowiecki: „Powrót wabiszczura" Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1985, s. 98, nakład 49.650+350 egz., cena zł 75,—

Sopot bez diet i kosztów przejazdu

Nie przesadzę, jeśli powiem, że po raz pierwszy od kilkunastu lat — nie licząc paroletniej przerwy, kiedy to festiwal sopocki nie odbywał się — zamiast spędzić cztery wieczory w Operze Leśnej, postanowiłem pozostać w domu i obejrzeć tegoroczny Międzynarodowy Festiwal Piosenki w telewizji. W momencie podejmowania tej decyzji nie mogłem jeszcze wiedzieć, że szefostwo z Woronicza, nareszcie po wielu latach uporczywego domagania się, zrobi mnie (i innym, rzecz jasna, telewidzom również) niezwykle miłą — jak na koniec XX wieku — niespodziankę w postaci pokazania transmisji z koncertów „na żywo", a nie — jak dotąd — poszatkowanych fragmentów z mniejszym lub większym poślizgiem. Wszystkie osoby od lat będące abonentami telewizyjnymi wreszcie doczekały się jakiejś tam rewaloryzacji swych comiesięcznych wkładów — w miejsce marnego programu obejrzeć można było bez fałszu i opóźnień to wszystko, na co karnet do Opery Leśnej kosztował grube tysiące.

Przyzwyczajony raczej do siedzenia na twardej ławce amfiteatru podczas prezentacji piosenek, zacząłem teraz — zagłębiony we własnym fotelu — porównywać odbiór festiwalowych produkcji bezpośrednio i za pośrednictwem małego ekranu. W poprzednich latach, ze względu na poślizg i montaż, panorama imprezy była z pewnością niepełna. Tym razem odniosłem wrażenie, że pozostając telewidzem, mam jakby bardziej sterylny obraz festiwalu, który w tym wypadku — bez możliwości wejścia za kulisy, bez konferencji prasowych i plotek, bez telecentrum, bez imprez towarzyszących, bez towarzyskich spotkań i powrotów do hotelu, wreszcie — ograniczony zostaje siłą rzeczy do tego, co jest udziałem przeciętnego odbiorcy na widowni.

To prawda, że mając zaliczonych kilkadziesiąt festiwali piosenkarskich można odczuwać w takiej chwili pewien niedosyt, ale — o czym się przekonałem w tym roku na własnej skórze — tego typu oglądanie „Sopotu" posiada także swoje dobre strony. Przede wszystkim jest się niezależnym od pogodowych wahań, humoru bramkarzy sprawdzających po wielekroć bilety i wolnych miejsc na parkingach w pobliżu Opery Leśnej. Ponadto najbardziej denerwujące dla parotysięcznej widowni podczas koncertów są liczne przerwy niezbędne ze względów technicznych. Przedeptuje się z nogi na nogę i czeka, lub pali papierosa wydmuchując dym wprost w nozdrza niepalącego sąsiada, albo stoi w tasiemcowej kolejce po butelkę zimnego płynu. A w domu, zamiast czytać w każdej przerwie te same pokazywane do upojenia plansze z nazwiskami realizatorów (przesada, a kto za nią odpowiada?) i słuchać granego na okrągło sygnału festiwalowego (niezbyt trudne, ale nudne), można spokojnie wyjść do kuchni i przygotować herbatę, czy nawet — jak kto lubi — drinka z lodem. Ja zresztą podczas jednej z takich przerw postanowiłem po prostu przyrządzić kolację i wtedy okazało się, że w lodówce są pustki. Ponieważ byłem głodny, wyskoczyłem do pobliskiej restauracji, aby jednak nie uronić niczego z rzeczy dziejących się na sopockiej estradzie, włączyłem magnetowid i resztę obejrzałem po powrocie. Knajpa była z dancingiem — a co tam grali? Oczywiście — „Daj mi tę noc", „Chałupy Welcome To" i raz to nawet „Acapulco". Ale to już zupełnie osobna historia.

Wróćmy jednak do początku. Już na inauguracji zaczęli popisywać się panowie dźwiękowcy. Jak była blacha, to nie było sekcji, gdy dał się słyszeć bas, zabrakło smyczków, ale w końcu jakoś sygnał dograno do ostatniego akordu. Od razu może parę słów o konferansjerach. Wszystkie koncerty prowadziła ta sama para. Byłej łodziance pani Wander ulatywały czasem z pamięci nazwiska, co świadczyło o tym, że nie siedzi ona zbyt mocno w muzycznych realiach. Krzysiek Materna zmieniał się podczas zapowiedzi niczym kameleon: od dowcipu do powagi, od luzu do skrępowania. Całość byłaby niezła, gdyby nie obecność innego byłego łodzianina — Marka Niedźwiedzkiego z Szadku. Na szczęście prawie nie było go widać zza konsolety, jednak to, co mówił, pozbawione było jakiejkolwiek lotności, a sposób podawania wiadomości raził monotonią. Poza tym jeżeli jest się już cały czas obecnym na scenie wypadałoby tłumaczyć skrótowo publiczności, co do niej mówią piosenkarze w obcych językach. Niech więc pan Marek lepiej prowadzi tę swoją listę przebojów.

Całość otworzyła — któż by inny — ubiegłoroczna laureatka Grand Prix, Krystyna Giżowska, przypominając piosenkę „Blue box" i śpiewając następnie jakiś żałośnie żenujący kicz. Na szczęście wkrótce po niej wystąpił Hans Vermuelen, przedstawiciel Holandii. Kompozytor, aranżer, autor tekstów, wokalista, pianista, gitarzysta — w jednej osobie, był bezsprzecznie największą indywidualnością wśród uczestników koncertów konkursowych. Inną — przynajmniej dla mnie — rewelacją XXII Międzynarodowego Festiwalu Piosenki w Sopocie była Katia Surżikowa ze Związku Radzieckiego. Nie chodzi mi wyłącznie o to, że dziewczyna dosłownie... stanęła na głowie, by zdobyć nagrodę. Mimo młodego wieku, widać u niej kształtującą się osobowość artystyczną — posiada już duże umiejętności estradowe, dobrze opanowany warsztat piosenkarski, mocny, brzmiący głos. Piosenki w jej wykonaniu były małym estradowym show, którego z pewnością nie powstydziłaby się sama Alla Pugaczowa, jednakowoż starsza od Katii o co najmniej kilkanaście lat. Uroda i wewnętrzny luz pomagają talentowi. Myślę, że o tej piosenkarce jeszcze usłyszymy. Kudy do niej naszej Annie Jurksztowicz, która jest w zdecydowanie gorszej formie, niż podczas festiwalu opolskiego, a przyznanie wyróżnienia „Diamentowemu kolczykowi" zakrawa po trosze na gest kurtuazyjny ze strony jury pod przewodnictwem — uwaga — Romana Waschko (największe brawa otrzymał juror z Chińskiej Republiki Ludowej). Pełne amatorstwo zaprezentowała urodzona w Grudziądzu reprezentantka RFN — Dorota, ale śpiewała i tak lepiej niż Brygida Bziukiewicz, wicemiss Polonia'85, w Opolu. W dodatku zaśpiewała jedną piosenkę po polsku, podczas gdy Jurek Grunwald (przyjechał ze Szwecji z własnym zespołem) do tego stopnia zapomniał rodzinnej mowy, że na koniec krzyknął publice gromkie „thank you".

Dwa pierwsze dni festiwalu były wyścigiem do Grand Prix. Nagroda ta przypadła trochę przereklamowanemu męskiemu trio ze Szwecji — „Herrey's". To, co pokazali, było zgrabne i sprawnie wykonane, więc potrafili zdobyć sobie publiczność, ale mam sporo wątpliwości, czy rzeczywiście zasłużyli na standing ovation rozbawionej podczas koncertu galowego widowni. Przynajmniej ja bym nie wstał.

Podobnie dyskusyjny werdykt zapadł w konkursie o „Bursztynowego Słowika" za najlepsze wykonanie polskiej piosenki przez zagranicznych piosenkarzy i zespoły. Czy faktycznie Czeszka była najlepsza? Nagrodę telewizji (kryształowy puchar od prezesa Wojciechowskiego z Radiokomitetu) otrzymała bułgarska grupa wokalna „Domino" w wyniku głosowania ośmiu ośrodków telewizyjnych w Polsce. Taka sobie — „Minieurowizja". Bułgarzy zaśpiewali po... angielsku „Dziwny jest ten świat" Niemena. Doskonale pamiętam, jak owacyjnie przyjmowano samego Niemena z tą piosenką w Operze Leśnej w 1967 roku. Jak ten czas leci. Zresztą Niemen podoba się Bułgarom — dziewięć lat temu za wykonanie jego piosenki „Jednego serca" nagrodzona została w Sopocie Katia Filipova. Przypomnijmy jeszcze, iż w tym roku widownia świetnie bawiła się podczas występu Rumunki, która śpiewała... „Jak się masz kochanie".

Wiele mówiło się w tym roku o wyjątkowo wyrównanej stawce konkurentów. Cóż z tego — a to pytanie do Rady Artystycznej — że wyrównana, skoro poza kilkoma rodzynkami, poziom wykonawców mniej niż średni. Dlaczego tak słabo obsadziły nasz festiwal zaprzyjaźnione kraje: Czechosłowacja, NRD, Rumunia, Węgry...? Na tym tle nawet urocza Japonka robiła wrażenie dobrej wokalistki. Ze zgłoszonymi do konkursu piosenkami sytuacja była podobna. Dość powiedzieć — co było znakomicie widać podczas transmisji telewizyjnej — że jedynym powszechnie nucopym utworem była kompozycja... Stevie Wondera w aranżacji Aleksandra Maliszewskiego. Ta sama, która — jak głosi dowcip — spowodowała, że czarnoskóry piosenkarz bliski był samobójstwa, gdy otrzymał w parę miesięcy później rachunek za telefon. „I Just Call To Say I Love You"...

Niektóre z zaproszonych „gwiazd" (cudzysłów mój) również pominąć trzeba milczeniem. Zrobiłbym tak również w przypadku „Lady Pank", ale mam jeszcze jedno pytanie do Rady Artystycznej tegorocznego festiwalu: czy widzą różnicę pomiędzy festiwalowym show zaproszonych gości, a rozbudowanym recitalem i to w większości starych utworów? Rzecz jasna, klasą dla siebie była Shirley Basey, choć jej gwiazda nie błyszczy już tak jasno, jak przed dwudziestu, a zwłaszcza przed dziesięciu laty. Stąd też uważam wszystkie owe kaprysy za przesadzone, a przedstawicieli PAGART-u prowadzących rozmowy w sprawie kontraktu, za zbyt spolegliwych. Tym bardziej, że na zachodnich rynkach akcje „gwiazdy gwiazd" — jak pisały „Odgłosy" — nie mają ostatnio tendencji zwyżkowej. Zupełnie zawiódł Sal Solo z zespołem „Classix Nouveaux" — całe szczęście, iż prawie w ogóle nie było go słychać z powodu złego nagłośnienia. Awaryjnie — w miejsce Mikisa Theodorakisa — sprowadzono sympatyczną grupę „Secret Service" ze Szwecji (znaną z melodyjnych przebojów, które jednak wykonywała w Sopocie z playbacku — kiedy będą miały kres te praktyki?), a na zakończenie wystąpił angielski gitarzysta Danny Lane z zespołem.

Cztery wieczory spędzone przed telewizorem nie okazały się na tyle męczące, co w innych latach festiwalowe sopockie noce. Drażniła jedynie pozostawiająca wiele do życzenia realizacja telewizyjna wizji (rażące błędy w pokazywaniu poszczególnych zdarzeń, przerwy w przekazywaniu obrazu) i fonii (tylko niekiedy poprawnie słyszalny „Alex Band", brak odsłuchu na scenie, co dało się zauważyć u kilku piosenkarzy). Kamery pokazały jednak — poza napisami, z których wynikało, że cały jest w gruzach — fakt wejścia do opery, za sprawą scenografów, autentycznego lasu. Pisałem o tym już w ubiegłym roku. Ważne jednak, aby nauka nie poszła w las.

KRZYSZTOF DRZEWIECKI

BOHDAN GADOMSKI

Smutny Sopot (1)

POWITANIE

Z Łodzi do Sopotu można latem dostać się szybko i wygodnie. „Pomorzanin" jedzie w expresowym tempie tylko 6 godzin. Na wszystkich głównych stacjach pociągowy spiker wita przez głośniki coraz to nowych podróżnych i żegna na stacji końcowej. Szkoda tylko, że w sposób tak wymuszony i przy zakłóceniach na „łączach" co niekiedy powoduje, że co bardziej senni pasażerowie budzą się wystraszeni kolejnym harkotem z głośnika. Stacja „SOPOT" wita przybyłych mniej elegancko, jest brudno, szaro i smutno. Co zapewne w dużym stopniu wiąże się z pogodą, która podobny „wystrój" nadaje każdemu kurortowi, bez względu na wielkość i renomę. Ale już po kilkunastu minutach spędzonych na postoju taxi, widać, że Sopot żyje festiwalem piosenki. Liczne plakaty (szarożółte) na szarobrudnych słupach ogłoszeniowych, przybrudzone transparenty i chorągiewki z napisami XXII Międzynarodowy Festiwal Piosenki „SOPOT 85", informują gdzie jesteśmy...

Taksówkarz wiozący mnie do Centrum Festiwalowego, tym razem zlokalizowanego w nowym, luksusowym hotelu „MARINA" w Jelitkowie, żalił się, że nie może dostać biletów na festiwal, a przecież skrócił urlop, aby wrócić do rodzinnego miasta i być na festiwalu. Jego żal i gniew wzmogły się, gdy nie mógł podjechać pod wejście do hotelu „Marina", bo służby porządkowe już z daleka wymachiwały rękoma, aby nie zbliżał się dalej niż wyznaczona dla taksówek odległość. Aby dostać się do Centrum Festiwalowego (przemienionego w prawdziwą twierdzę) trzeba mieć kartę akredytacyjną z nazwiskiem, stanowiskiem i pieczęcią festiwalu. Każdy uczestnik: wykonawca, obserwator, dziennikarz, gość, organizator itp., musiał mieć ją przypiętą do ubrania w widocznym miejscu, bowiem kordony służb porządkowych były na każdym kroku, przed każdą windą, drzwiami. Po „Marinie" mogły się poruszać osoby wyłącznie akredytowane i oznakowane.

Biuro Organizacyjne w dniu 20 sierpnia, o godz. 21.35 funkcjonowało na bardzo wolnych obrotach. Panie organizatorki były już wtedy tak zmęczone swoją pracą, że nie wyobrażałem sobie jak biedne dotrwają do końca festiwalu. Każdy gość festiwalu otrzymywał torbę reklamową z nadrukiem „MFP „Sopot 85", program, reklamówki, bilety na koncerty i skierowanie do hotelu. Co prawda panie z biura myliły się często i nie zawsze mogły przytomnie trafić palcem w miejsce na podręcznym planie amfiteatru Opery Leśnej, ale wspólnie z interesantem jakoś się to udawało.

„MARINA" z pewnością jest hotelem doskonale nadającym się na Centrum Festiwalowe międzynarodowej imprezy. I tu zakwaterowano wszystkich piosenkarzy, jurorów i najbardziej znaczących gości. Dziennikarzy umieszczono w pobliskim hotelu „Posejdon", obserwatorów w pozostałych hotelach na terenie Sopotu. Gdyni i Gdańska istotną rolę odgrywał transport na trasie Jelitkowo—Sopot, autokary kursowały o wyznaczonych godzinach i w miarę dodatkowych potrzeb akredytowanych. Miejscem nieoficjalnych spotkań był hall w recepcji „Mariny" a oficjalnym sala klubowa (kawiarnia).

Pierwsza konferencja prasowa to spotkanie organizatorów czyli przedstawicieli Bałtyckiej Agencji Artystycznej „BART" PAGARTU, Urzędu Wojewódzkiego w Gdańsku, MKiS, Komitetu ds. Radia i Telewizji, Rady Artystycznej, którzy opowiadali co będzie, kto będzie, jak, po co i dlaczego, uchylając rąbka kulis, które często są ciekawsze niż to co oglądamy w bezpośrednim lub telewizyjno-radiowym przekazie.

KULISY

Z wrodzonej ciekawości, dziennikarskiej wnikliwości, starałem się być wszędzie, nawet tam gdzie wstęp był zabroniony, a uzyskanie pożądanych informacji niemożliwe.

Nie było tajemnicą, że Rada Artystyczna XXII MFP, działająca pod przewodnictwem Dariusza Michalskiego, zakwalifikowała uczestników festiwalu sopockiego spośród stu kandydatów zgłoszonych przez wytwórnie fonograficzne i rozgłośnie telewizyjno-radiowe. Piosenkarzom zaproponowano 36 polskich piosenek, z czego wybór padł na 13 utworów, wśród których utwór Jarosława Kukulskiego „Muzyka twoje imię ma" z repertuaru Eleni był wykonywany aż 4 razy, spoza zestawu piosenkarze wybrali 3 stare przeboje: „Dziwny jest ten świat", „Remedium", „Jak się masz kochanie" i dopuszczono je ze względu na dobry poziom opracowania do konkursu. Skoro już o tym kto śpiewał, a kto nie śpiewał i dlaczego, warto przytoczyć dwie ciekawostki ze strony polskiej.

I tak: organizatorzy prowadzili rozmowy wstępne na temat udziału w festiwalu Edyty Geppert, a właściwie obfitą korespondencję z jej menedżerem (prywatnie mężem) Piotrem Loretzem. Ci pierwsi zapewniali, że dołożyli wszelkich starań, aby pani Geppert zgodziła się wystąpić w Sopocie, ale ostatecznie odmówiła. W przeddzień festiwalu wystąpiła z dwoma recitalami w Teatrze Muzycznym w Gdyni. Inne imprezy towarzyszące festiwalowi to koncert zespołu „TSA JAGUAR", „Wałów Jagiellońskich" w Teatrze Letnim w Sopocie. Promocyjny koncert GAYGI, zaplanowany z okazji ukazania się w czasie festiwalu jej longplaya, został w ostatniej chwili odwołany (niedowład organizacyjny BART). Tegoroczny festiwal miała otworzyć Maryla Rodowicz z nową, premierową piosenką. Ale jej pomysł nie był możliwy do zrealizowania, gdyż zaproszenie do chóru kilkunastu polskich piosenkarzy, którzy mieliby czas zaśpiewać wraz z Rodowicz w pierwszym dniu festiwalu uzależnione było od kosztów ich występu i pobytu w Sopocie. Organizatorzy doszli do wniosku, że tylko ta jedna piosenka kosztowałaby ich więcej niż wszyscy zagraniczni wykonawcy w konkursie razem wzięci. Maryla Rodowicz nie wystąpiła.

W przyszłym roku podstawą do kwalifikacji wykonawców do udziału w festiwalu będą ich videoklipsy, a nie same nagrania i notki reklamowe. W tym roku goście w hotelu „Marina" mogli oglądać na 100 zamontowanych w hollu telewizorach videoklipsy z najlepszymi światowymi wykonawcami a także powtórzenie wieczornych koncertów. Nie wydano płyty festiwalowej, bo planowany nakład 300 egzemplarzy był nieopłacalny, za to w drugim dniu festiwalu ukazała się kaseta Shirley Bassey „Jestem jaka jestem" (wydana przez „Merimpex") a na niej 11 piosenk z jej ostatniego albumu. Na festiwalowym stoisku były polskie płyty dostępne w całym kraju i plakaty z podobiznami najmodniejszych gwiazd światowej muzyki młodzieżowej. Zagranicznym piosenkarzom przygotowano bardzo skromną reklamę w postaci zdjęcia (często antyreklamowego), ulotki (notatki odbitej na ksero), tylko nieliczni mieli plakat lub małą płytę. A wszystko to w niewielkich ilościach, które nie wystarczały nawet dla zainteresowanych dziennikarzy. Polka Anna Jurkstowicz nie miała dosłownie nic, bo opiekujący się nią Jacek Cygan, zamiast do Sopotu pojechał na wczasy nad Balaton.

Konferencje prasowe z gwiazdami były nudne i mdłe, bo o co mieli pytać dziennikarze owe „gwiazdy", gdy mało kto je słyszał, a prawie nikt nie widział. Najlepiej wspominam konferencję prasową z reprezentantem Holandii Hansem Vermuelenem, który napisał na ulotce swój życiorys i zafundował dziennikarzom to na co mieli ochotę (ja wybrałem lody płonące) ...Szwedzki zespół „Herrey's" rozdawał zdjęcia, płyty, a „Bobbysocks" wydały coctail, na którym nie tylko dużo mówiły, pięknie się uśmiechały, pozowały do zdjęć, ale i śpiewały a'capella (bez podkładów orkiestrowych z taśmy, co miało miejsce na estradzie). Do Sopotu przyleciały specjalnym samolotem, na scenę zażyczyły sobie różowego radioodbiornika, który wprowadzono, choć był on tylko rekwizytem.

Piosenkarze mieli swoich osobistych pilotów, a jednocześnie tłumaczy, którzy byli odpowiedzialni za ich sprawne poruszanie się po amfiteatrze i nie tylko. Nie dojechali Iveta Bartosova i Peter Sepesi z Czechosłowacji, gdyż zginęli w wypadku samochodowym. W ostatniej chwili zastąpiła ich Marcela Kralova, która o tym, że jedzie do Spotu dowiedziała się przypadkowo, podczas podlewania kwiatów w przerwie urlopu spędzanego w górskiej chacie. Dorota z RFN, urodzona w Grudziądzu, została nazwana na konferencji prasowej przez Janusza Atlasa „prowokacją polityczną", a przez innych „skandalem", co Dariusz Michalski skomentował łaskawiej, licząc in plus dla Doroty, że chce zaistnieć w RFN jako piosenkarka śpiewająca po polsku. Tylko, że ten jej „polski" jest słaby i kaleczony. Dana Gillespie spacerowała krokiem kulturystki lub mistrzyni w nartach wodnych i narciarstwie alpejskim, którą była w wielu lat 16. Zespół „Coincidence" z Belgii powstał zbiegiem okoliczności („coincidence" znaczy po polsku „zbieg okoliczności"). Mayumi Ichihara z Japonii była modelką i dyskdżokejem, nie rozumiała nic z tego, co się do niej mówiło, ale profilaktycznie uśmiechała się do wszystkich, nawet windziarzy i pani z wc. Jacqui z Irlandii z wykształcenia prawnik, na estradzie czuła się tak nieporadnie, że poprosiła o krzesło, na wszelki wypadek. Krzysztof Materna (jako drugi reżyser) nie chciał dopuścić do udziału w koncercie Cornelii Pop z Rumunii, uważając ją za amatorkę, choć ona ukończyła wyższą szkołę muzyczną (fortepian i skrzypce) i ma kilka nagród na rumuńskich festiwalach piosenki i jest solistką Teatru Muzycznego z Constanzy. Katia Surżikowa z ZSRR, tak bardzo chciała powtórzyć u nas sukces Ałły Pugaczowej, że postanowiła stanąć na głowie i w tej pozycji śpiewać swoją „Kukłę". Incydent różnie komentowano, ale Katia się nie przestraszyła. Xiomara Laugart z Kuby szczególnie lubi grać w piłkę nożną ze swoim dwuletnim synkiem. Krystyna Giżowska rozstała się ze swoim mężem Januszem Sławińskim, który ją stworzył i skomponował większość jej piosenek. Do Sopotu przyjechała z przyjacielem, którego mi przedstawiła jako muzyka i swojego menedżera. Pan Sławiński był w Sopocie i do niego adresowana była nowa piosenka Giżowskiej „Przeżyłam z tobą tyle lat" w odpowiedzi na piosenkę „Nie było ciebie tyle lat". Grupa „Secret Service" ze Szwecji występująca w drugim dniu festiwalu w charakterze gwiazdy, znalazła się w Sopocie w ostatniej chwili. W Polsce po raz pierwszy i szalenie zdziwieni, że ktokolwiek ich tu zna. Mało kto zauważył, że ich występ szedł z playbacku, bo wszyscy patrzyli, na bose nogi solisty. Sal Solo tak bardzo przejął się występem w Sopocie, że postanowił wystąpić z własnym mikrofonem (bez kabla), przez który był prawie niesłyszalny na miejscu, w TV, nie wiadomo w jaki sposób usłyszeli go radiosłuchacze II programu PR. Biegał po estradzie i bardzo się tym męczył, bo wciąż wycierał twarz ręcznikiem. Poza tym nic nowego nie zaprezentował. Reżyser festiwalu Jerzy Gruza, dyrektor Teatru Muzycznego w Gdyni zaprosił do swego teatru grupę zagranicznych dziennikarzy, przedstawicieli radia i TV, aby zobaczyli na video wyreżyserowane przez niego musicale „Skrzypek na dachu" i „Czarna dusza". Festiwalem niewiele się interesował i na próbach nie zauważyłem, aby cokolwiek reżyserował, może robił to dopiero za kulisami? Danny Lane (gwiazda kończąca festiwal) to gitarzysta angielski, założyciel i członek znanej grupy „The Moody Blues", w świecie znany z okresu współpracy z Paulem Mc Cartneyem w zespole „The Wings", przyjechał z nowym zespołem, z którym zaczął współpracę tydzień przed festiwalem i występ w Sopocie traktowany był jako próba generalna przed tournee po USA.

KOSZTY

Dla zdobywcy nagrody Grand Prix przydzielono 250 tysięcy złotych, I nagroda — 120 tys., II — 80 tys., III — 50 tys. złotych, ale z podziałem między kompozytora, autora tekstu, aranżera i wykonawcę. Wewnętrznego podziału nagrody dokonuje przedstawiciel organizacji zgłaszającej wykonawcę. W konkursie o nagrodę „Bursztynowego Słowika" nagrodę główną stanowił „Bursztynowy Słowik" oraz suma 150 tysięcy złotych. Koszt sprowadzenia Shirley Bassey przekraczał sumę 16 milionów 665 tysięcy złotych, ale dyrektor PAGARTU odmówił informacji i komentarzy na ten temat. Menedżer Mireille Mathieu zażądał jeszcze więcej (30 tysięcy dolarów), więc PAGART zmuszony był zrezygnować z jej występu. Z tych samych powodów, choć przy zupełnie innych sumach nie doszło do występu w Sopocie takich gwiazd jak: Gilbert Becaud, Demis Russos, Diana Ross, Julio Iglesias, Al Bano z Rominą Power, Adam Ant, Kime Wilde, z którymi prowadzono rozmowy wstępne, mniej lub bardziej zaawansowane.

SUPERGWIAZDA „SOPOTU-85"

SHIRLEY BASSEY czyli „Diamonds Are Forever" („Diamenty są wieczne") jak napisał o niej tuż przed Sopotem Dariusz Michalski na łamach „Sztandaru Młodych", to talent wokalny (wspaniały głos), elegancja (bajeczne kreacje) i czar (z tym było różnie, na estradzie też), owiana legendą i obsypana nagrodami plasującymi ją swego czasu w rzędzie trzech najlepszych piosenkarek świata. Do Sopotu przyjechała w pierwszym dniu festiwalu. Na warszawskim Okęciu oczekiwały 4 Mercedesy, zgodnie z klauzulą w kontrakcie, który zawierał 29 punktów do ścisłego i bezwzględnego zastosowania przez kontrahentów. Przyjechała z dyrygentem perkusistą, menedżerem, córką i wnuczkiem. Przedstawiciele PAGARTU wręczyli jej na stopniach samolotu stosy kwiatów (w koszach i wiązankach), rozładowanie bagażu trwało pół godziny.

Do Gdańska supergwiazda z Wielkiej Brytanii zostanie przetransportowana samolotem, a stąd Mercedesem do Grand Hotelu w Sopocie. Zajęła połowę pierwszego piętra czyli apartamenty w których mieszkał ongiś generał De Gaulle. Przed wejściem na I piętro ustawiono strażników (kulturystów i rugbistów), których zadaniem było strzec dostępu do Basey w dzień i w nocy. Shirley Bassey cierpiąca na klimakterium, nie wychodziła z apartamentu, przeważnie spała, przed występem odbyła dwie próby z orkiestrą, obie zamknięte dla publiczności, a szczególnie dla dziennikarzy i fotoreporterów.

Gwiazda zażądała przebudowy sceny przed swoim występem, co wiązano z jej zwyczajem wjeżdżania na nią w Mercedesie, co zwykle robi podczas swoich recitali na ekskluzywnych scenach luksusowych hoteli w Las Vegas. Warto zaznaczyć, że w ostatnich latach specjalnością Shirley Bassey stała się wielka, wspaniała rewia, w której ta niezwykła artystka wymaga niekonwencjonalnej oprawy. Jeśli potężny Rolls-Royce podjeżdżający pod samą scenę może budzić zgorszenie tradycyjnej publiczności, to nic takiego nie dzieje się, kiedy oczom zaskoczonych widzów ukazuje się wysiadająca z eleganckiej limuzyny Lady Bassey w szynszylowym futrze, pod którym kryje się oszołamiająca suknia wysadzana brylantami. Taki jest jej styl i artystyczny image. Po recitalach w nowojorskiej „Carnegie Hall", paryskiej „Olimpii", londyńskiej „Royal Albert Hall", po występach przed angielską królową i amerykańskimi prezydentami, przyjechała na występ przed sopocką publicznością do Opery Leśnej i ogólnopolską oraz interwizyjną (transmisje telewizyjne).

Bassey bez słowa wyjaśnienia odwołała konferencję prasową. Jej menedżer przypomniał tylko poprzez organizatorów o warunkach umowy, wśród których jest punkt o niefotografowaniu Bassey, jedynie, przy pierwszym wejściu przez 10 sekund pierwszej piosenki. Kamery telewizyjne mogły filmować jej występ tylko z wyznaczonej odległości i bez zbliżeń twarzy. W dniu występu Bassey, tuż przed jej wyjściem na scenę, rozpadał się deszcz. Bassey zagroziła, że musi odwołać występ, bo nie może pokazać się w mokrych włosach, które fryzjerki tapirowały i lakierowały przez prawie dwa dni, nawet gdy spadnie jedna kropla deszczu. Nie było tak wielkiego parasola, który należycie zabezpieczałby fryzurę Shirley Bassey, ale wymyślono baldachim z koców, które nieśli jej goryle w drodze z garderoby na scenę. Kropla deszczu nie spadła, Shirley Bassey wystąpiła w Sopocie. Tuż przed występem jej obstawa omal nie pobiła operatora z TV za to, że chciał wejść na scenę po ręczną kamerę, którą miał filmować Bassey z wyznaczonego miejsca na dole. Koledzy kamerzyści omal nie odmówili rejestrowania występu Bassey. Fotoreporterów nie wyproszono lecz wyrzucono ze stanowisk pracy, choć nie uruchomili swoich aparatów. Na konferencji prasowej wyrazili swoje oburzenie nazywając zachowanie goryli z ochrony Bassey chamskim i skandalicznym, a tuż przed jej występem ostentacyjnie opuścili amfiteatr na znak protestu.

Shirley Bassey nie dokończyła swego występu, schodząc z estrady, choć miała w programie jeszcze jedną piosenkę, ale w sumie zmieściła się w czasie wyznaczonym umową. Przyczyną zejścia było niewłaściwe (zbyt chłodne) przyjęcie jej przez sopocką publiczność, która nie powitała Bassey na stojąco huraganem braw i nie wstała gdy wyszła do finału, do czego jest przyzwyczajona wszędzie tam gdzie od 30 lat występuje.

Dlaczego się tak zachowywała?

W karierze Shirley Bassey wystąpiła pewna przerwa, patrząc na wykaz jej przebojów, można łatwo zauważyć, że ostatnie miała w 1973 roku, a co robiła przez 12 lat? W tym czasie przeżyła kryzys nerwowy spowodowany m.in. przeżyciami osobistymi, wpadła w alkoholizm, z którego długo się leczyła. Pozostały stany lękowe i różnego rodzaju fobie, powracające, gdy np. zła pogoda, taka jak w Sopocie. Ponadto Bassey zdaje sobie sprawę, że jej kariera, choć obecnie przeżywająca renesans, zbliża się ku końcowi. Wydana ostatnio płyta to tylko nowe wersje starych przebojów, a więc niejako przypomnienie siebie z dawnych, najlepszych lat. Trzeba było wielkiej odwagi, aby zmierzyć się z samą sobą — z głosem, stylem, manierą oraz... młodością. Najstarszy z przypomnianych na płycie przebojów ma przecież 27 lat (!), podczas gdy w muzyce zmieniły się wielokrotnie mody, epoki i szkoły muzyczne. Teraz polscy miłośnicy wciąż fascynującego głosu będą mogli posłuchać go na kasecie, która ukaże się w sprzedaży na terenie kraju.

A jednak udało mi się spotkać z Shirley Bassey, chociaż trwało to 3 minuty, bo spieszyła się na próbę. Skorzystałem z uprzejmości dyr. Henryka Debicha, który mieszkał po drugiej stronie jej apartamentu w Grand Hotelu i poznał mnie z nią osobiście. Była zadowolona z moich publikacji prasowych, które ukazywały się w Polsce w ciągu 7 ostatnich lat, a szczególnie z tej ostatniej na łamach „Odgłosów". Prywatnie jest miła, bezpośrednia i zwyczajna. Fobie i wymagania wielkiej gwiazdy zdają się być wyreżyserowane i zaaranżowane przez jej demonicznego impresaria zgodnie z wymogami obowiązującymi przy zachowaniu się wielkich gwiazd na Zachodzie. Bassey zwierzyła się, że bardzo lubi polską żytnią wódkę i często ją popija. Ponadto zauważyłem, że lubi się śmiać szczerze i głośno. Obecnie wybiera się na podbój Europy wschodniej, wystąpi jako supergwiazda MFP „Intertalent" w Gotwaldowie i MFP „Złoty Orfeusz" w Słonecznym Brzegu.

C.D.N.

Grupa „Ice Band" i Jerzy Grunwald *Foto: Leonard Szmaglik*

Polemiki • Listy • Opinie

„Kamikadze"

ODPOWIEDŹ PAWŁA TOMASZEWSKIEGO NA LIST STANISŁAWA CISAKA

I oto znów „wyrwany zostałem do tablicy" zamieszczonym tydzień temu listem Stanisława Cisaka. Staję więc kornie na „środku klasy" i odpowiadam, że — przede wszystkim — nie bardzo rozumiem przeciwko czemu Stanisław Cisak protestuje. Jeżeli miał na myśli sam fakt opublikowania mojego reportażu pt. „Kamikadze", to jego protest jest oczywistym nieporozumieniem, gdyż to redakcja decyduje, co publikować, czego zaś nie, a prawo prasy do krytyki nie ulega już dziś chyba wątpliwości. Nieporozumieniem wydaje mi się też protest z tego powodu, że „...podawane informacje w znacznej części były błędne, złośliwe, nieprawdziwe i obrażające...", a to dlatego, że:

1) konflikt w Zespole Szkół Mechanizacji Rolnictwa w Piątku przedstawiłem na podstawie dokumentów i relacji obu zwaśnionych stron, a także — nie zaangażowanych w niego obserwatorów (np. uczniów), żadnego z tych głosów nie pomijając;

2) w rozmowach ze Stanisławem Cisakiem nie kryłem, iż zamierzam przedstawić nie tylko jego punkt widzenia, ale również i — Mieczysława Rykały, który — jak łatwo się było domyślić — nie miał powodu, aby prawić o swym adwersarzu komplementów;

3) prywatnie mam do Stanisława Cisaka stosunek obojętny, nie istniały więc żadne przyczyny silenia się przeze mnie na złośliwość.

Co z tego wynika?

Ponieważ relacje Stanisława Cisaka i Mieczysława Rykały tudzież innych osób w wielu punktach przeczyły sobie wzajemnie (podkreślałem to w reportażu wielokrotnie!), nie było innego sposobu przedstawienia piątkowskiego konfliktu jak tylko poprzez zaprezentowanie obok siebie owych sprzecznych relacji, co — nie przesądzając z góry, kto mówi prawdę, a kto nie — uczyniłem. Takie samo prawo ma Stanisław Cisak do niezgadzania się z prawdziwością relacji Mieczysława Rykały, jak ten drugi — do kwestionowania jego prawdomówności. Słowem, Mieczysław Rykała również powinien chyba poczuć się moim reportażem obrażony (choćby dlatego, iż przedstawiłem w nim poglądy Stanisława Cisaka) i zaprotestować. Co należałoby zrobić, aby nikt nie poczuł się obrażony i nie protestował? W przypadku podjętego przeze mnie tematu odpowiedź może być tylko jedna: NIE PISAĆ! Ale jak tu nie pisać, skoro otrzymałem redakcyjne polecenie zajęcia się tą właśnie sprawą, a wydawca nie chce płacić dziennikarzom za milczenie? Jak nie pisać, skoro trwający od dwóch lat konflikt budził żywe zainteresowanie społeczne? Jak wreszcie nie pisać, skoro Stanisław Cisak sam wyrażał swe zadowolenie, iż jako pierwszy przedstawię na łamach prasy również jego punkt widzenia na sprawę, czego nie zrobiły: „Zarzewie", „Karuzela" oraz „Tu i Teraz"?

Tyle uwag ogólnych. Wyjaśnienia i zarzuty szczegółowe pomieszczone w liście Stanisława Cisaka, pozwolę sobie podzielić na dwie grupy: dotyczące informacji udzielanych mi przez Mieczysława Rykałę i inne osoby oraz — informacji i opinii, jakie wyraziłem we własnym imieniu. Do pierwszej grupy wyjaśnień i zarzutów ustosunkowywać się nie będę, ponieważ:

1) w świetle tego, o czym powyżej, powinny być one skierowane nie tyle do mnie, czy redakcji, co do informatorów, którym bez wyjątku, tak, jak Stanisławowi Cisakowi, wolno mieć swoje własne zdanie;

2) w większości nie wnoszą one niczego nowego do sprawy, jako że poglądy i wersję wydarzeń według Stanisława Cisaka zaprezentowałem już wcześniej w samym reportażu, a zatem nie ma powodu, aby to powtarzać;

3) doprawdy, chwilami zupełnie nie wiem, komu wierzyć: Stanisławowi Cisakowi, który pisze np.: „Zaprzeczam jakoby Bronisław Kępiński był przez dyrekcję szykowany", czy też — prawie trzydziestu (sic!) nauczycielom ZSMR w Piątku, którzy także pisemnie oświadczyli, iż Bronisław Kępiński jednak był szykanowany?

Odnośnie drugiej grupy chciałbym zaś stwierdzić, że:

1) nie widzę absolutnie żadnych podstaw do posądzania mnie, ani całej redakcji „Odgłosów" o „Celowe urabianie na łamach prasy ujemnych opinii ludziom oddanym oświacie, państwu, młodzieży i rodzicom...";

2) podtrzymuję swoje zdanie o złej atmosferze panującej od lat w ZSMR w Piątku, a przez to — i o niewłaściwym wywiązywaniu się szkoły ze swych obowiązków wychowawczych, czego potwierdzeniem może być chociażby list grupy nauczycieli z tejże placówki, opublikowany w nr 32 „Odgłosów";

3) wcale nie napisałem, iż „...w szkole fałszowano dokumenty, wyrywano kartki, przydzielano niewłaściwie encyklopedie i mieszkania...", a jedynie — że do kuratorium wpłynął list podnoszący te i inne sprawy. A to przecież różnica.

Nie kwestionowałem natomiast i kwestionować nie będę osiągnięć szkoły w systematycznym rozwijaniu swej bazy lokalowej, nawiązywaniu współpracy z zakładami pracy, udziale jej uczniów w czynach społecznych, itp., gdyż są to fakty bezsporne. Obawiam się jednak, że na ich podstawie trudno raczej dowieść, iż w ZSMR w Piątku panuje bezkonfliktowa atmosfera, nauczyciele nie są podzieleni i skłóceni, a młodzież nic nie wie o różnych pożałowania godnych incydentach, do jakich dochodziło, o wzajemnym pisaniu na siebie oświadczeń przez wychowawców, o różnych sporach i składanych skargach. Jedno wszak wcale nie przeczy drugiemu.

W tej sytuacji byłoby chyba dobrze, gdyby dla ostatecznego rozwiązania konfliktu powołana została jakaś niezależna komisja (np. przez Ministerstwo Oświaty i Wychowania), która na miejscu w Piątku zbadałaby gruntownie sytuację panującą w ZSMR, wysłuchując wszystkich zainteresowanych, po czym podjęto by stosowne decyzje, zmierzające do poprawienia atmosfery w szkole. Jeżeli tak się stanie, z prawdziwą satysfakcją poinformuję o tym naszych czytelników.

PAWEŁ TOMASZEWSKI

P.S. Czy nie szkoda było dyrektorowi Stanisławowi Cisakowi papieru aż na sześć kopii swego listu, skoro każdy może przeczytać go na łamach „Odgłosów"?

„M" — dla córeczki

REFLEKSJE PROTOKOLANTA

Mój naczelny „ustawił" mnie w dość osobliwej roli: na spotkaniu z Radą Nadzorczą SM „Zarzew", poszerzoną o przedstawicieli organizacji społecznych i politycznych działających w Spółdzielni byłem kimś w rodzaju protokolanta, autora swoistego „protokołu rozbieżności".

Że wywiązałem się z tej funkcji rzetelnie i byłem obiektywny, świadczy parafa przewodniczącego Rady.

Skoro spełniłem obowiązek służbowy, pora na przyjemność, co w tym przypadku oznacza obowiązek moralny. Mam bowiem od początku nieco inne spojrzenie na fakty opisane przez Edwarda Bryla.

Sądzę mianowicie, że sprawa mieszkania dla córeczki prezesa spółdzielni ma co najmniej trzy szczeble winnych, a sam prezes, według mnie, winny jest najmniej. Otóż sprawa w błyskawicznym tempie zostaje przez wojewódzki organ spółdzielczości mieszkaniowej skierowana do realizacji. Jasne, wpływy prezesa tam sięgają, koledzy poszli mu na rękę. To pierwszy szczebel.

Drugi, to organa kierownicze spółdzielni — Zarząd i Rada Nadzorcza. Podpisują papierki, podejmują uchwały. Albo mechanicznie, w pełnej niewiedzy, o kogo chodzi, albo — co wydaje się bardziej prawdopodobne — z całą świadomością robią przysługę swemu prezesowi. To szczebel drugi.

Wreszcie szczebel trzeci — prezes Edward Pastwiński. Czy ktoś mu zarzuca, że np. wziął łapówkę? Absurd — od własnej córki? Czy może „pochachmęcił" w papierach, załatwił sprawę bez wiedzy Zarządu i Rady? Takie rzeczy się zdarzały w chlubnej historii spółdzielczości mieszkaniowej PRL — niestety, są na to sądowe dokumenty. Też nie.

Co zatem zbroił Edward Pastwiński? Starał się o mieszkanie dla córki. Jak miliony obywateli PRL, którzy piszą skargi i podania, szukają znajomości i poparcia, wydeptują wszelkie możliwe ścieżki. Różnica jest taka, że ścieżka E. Pastwińskiego była jakby krótsza i mniej cierniowa... No cóż, pracował w spółdzielczości...

Ale przecież był także ojcem! Zatroskanym o warunki życiowe swej latorośli. Przepraszam za osobisty ton, ale ja to rozumiem i tak samo bym postąpił...

Żeby tylko takie grzechy mieli na sumieniu dysponenci mieszkań, mebli, samochodów i czego tam jeszcze, co w PRL jest dobrem luksusowym, bo niedoścignionym prawie...

W całym swoim — legalnym przecież! — działaniu powinien się prezes nadziać na zaporę nie do przebycia. Na prawdziwie społecznikowski, demokratyczny, samorządny i niezależny Zarząd Spółdzielni, na surową, bezlitosną i bezkompromisową Radę Nadzorczą. To oni, właśnie oni powinni rzec sprawiedliwym basem: NIE, drogi towarzyszu prezesie! I nie byłoby całej sprawy!

Na spotkanie do „Zarzewa" szedłem w przekonaniu, że usłyszę coś w tym rodzaju: — prawda, prezes nawalił, ale my nie byliśmy do końca zorientowani, działaliśmy w dobrej wierze. A tymczasem Edward Bryl podrywa nasze dobre imię, dezawuuje nasze zasługi, robi z nas winowajców!

Tymczasem usłyszałem zdecydowaną, stanowczą obronę prezesa. Prezesa? Nie, to nie o niego chodzi. Rada Nadzorcza zdecydowanie — mimo wyroku sądu, co prawdą zaskarżonego — usiłuje wmówić wszystkim, że decyzja była słuszna, bo zgodna z przepisami. Chyba rzeczywiście wszystko to się w przepisach mieściło. Tylko nie może się pomieścić w głowach tysięcy rodzin, czekających w piętnastoletnich kolejkach.

Cóż, sprawa mieszkania dla córki prezesa się skończy. Tak, czy inaczej — zadecyduje sąd. A cień zostanie. Słusznie powiedział jeden z członków Rady na spotkaniu: — dobre imię zepsuć bardzo łatwo, dużo trudniej je przywrócić. Tylko czy to Edward Bryl zepsuł działaczom z „Zarzewa" dobre imię? Pamiętam takie dziennikarskie porzekadło z lat siedemdziesiątych: — źle się stało, że Kowalski nabroił. Ale jeszcze gorzej, że redaktor Iksiński to opisał!

I jeszcze jedna refleksja. „Ksiądz z kościoła żyje" — mówi ludowe przysłowie. Tramwajarz i jego rodzina jeździ za darmo tramwajami, pracownik kinematografii ma darmowe bilety do kina, górnik przydział węgla itp itd.

Wprawdzie mieszkanie, to dobro, które trudno porównać do biletu tramwajowego, niemniej sądzę, że jak Polska długa i szeroka nie znajdzie się córka prezesa spółdzielni mieszkaniowej bez mieszkania... Gdyby tak tę sprawę unormować prawnie? Wyznaczyć jakiś limit mieszkań — malutki limit, to zrozumiałe — na załatwienie takich „ojcowskich" interwencji? Ludzka sprawa...

ANDRZEJ KAROLCZAK

Redakcja — Czytelnicy

SZTUKA I PORNOGRAFIA

Z Kancelarii I sekretarza Komitetu Łódzkiego PZPR otrzymałem list. Był on adresowany do I sekretarza KŁ PZPR — Tadeusza Czechowicza. List ten w zasadzie dotyczy „Odgłosów" i dlatego został przekazany mnie, z prośbą o ustosunkowanie się.

A oto treść listu:

„Szanowny Panie Sekretarzu

Pozwalam sobie przesłać zdjęcie z Odgłosów tygodnika kulturalnego — czy aby??

Pornografię, jeżeli chcę mieć to nie w takim piśmie.

Czy red. naczelny nie odpowiada za nic. Czy po prostu to lubi i szerzy niezdrowe zgorszenie wśród młodzieży.

Co Pan na to?

Łączę wyrazy szacunku".

List, którego interpunkcję wiernie zachowałem, napisany został 6 sierpnia 1985 roku i podpisany przez Dorotę Mikiciuk z Łodzi. List dotyczy rysunku Janusza Szymańskiego-Glanca, który to rysunek znalazł się w 31 numerze „Odgłosów", jako ilustracja do „Inicjacji" Andrzeja Yorka. Rysunek przedstawia nagą parę w niedwuznacznej sytuacji. Jest to zatem nie zdjęcie, a rysunek-grafika, co w pewnym sensie zmienia zarzut postawiony nam przez Dorotę Mikiciuk.

Nim przejdę do spraw zasadniczych, związanych z zarzutem *„szerzenia niezdrowego zgorszenia wśród młodzieży"* chciałbym wyjaśnić sprawę pozornie marginesową. Otóż Dorota Mikiciuk mogła z powodzeniem skierować te zarzuty bezpośrednio do mnie i doczekałaby się również publicznej odpowiedzi. Droga do tego celu nie musi wcale prowadzić przez Kancelarię I sekretarza KŁ PZPR, a szef łódzkiej organizacji partyjnej ma większe kłopoty, niż zastanawianie się nad tym, czy „Odgłosy" akurat *„szerzą niezdrowe zgorszenie wśród młodzieży"*, czy też nie. Ale stało się. Wróćmy więc do samej sprawy.

W krótkim liście Doroty Mikiciuk dotknięte zostało kilka różnych spraw.

Po pierwsze słowo *„kulturalny"*. Otóż pełna nazwa tygodnika brzmi: *„społeczno-kulturalny"*, a przez to sygnalizuje, że pismo zajmuje się sprawami dotyczącymi życia społecznego ze szczególnym uwzględnieniem kultury. Ponieważ słowo *„kulturalny"* ma kilka znaczeń, obawiam się, że część naszych czytelników słowo to rozumie nie jako zajmujący się kulturą, ale jako *„dobrze wychowany, ułożony, grzeczny"*, stąd też biorą się często nieporozumienia co do charakteru tygodnika.

Nie chcę wdawać się w zbyt szczegółowe rozważania, ale muszę zwrócić uwagę na fakt, że dziś kształtuje się model nowego typu pisma społeczno-kulturalnego, a te które pozostają przy tradycyjnym mają kłopoty z nakładem, czyli ze sprzedażą. A dziś, gdy realizujemy reformę gospodarczą we wszystkich dziedzinach życia, sprzedaż pisma przestała być sprawą bagatelną.

Po drugie — sprawa kultury i erotyki. Jeżeli przez kulturę będziemy rozumieli całokształt duchowego i materialnego dorobku ludzkości, to mieści się w tym również erotyka. O miłości, o wzajemnym stosunku kobiety i mężczyzny, o ich miłosnym zbliżeniu pisano już, rysowano, rzeźbiono i malowano w starożytności. Wymienię tylko „Pieśń nad pieśniami Salomona", która jak wiadomo znajduje się w „Biblii". Wymienię „Kamasutrę", liryki i erotyki wielu poetów i pisarzy od starożytności począwszy, a na współczesnych skończywszy. Czy była to tylko miłość wzniosła, tak zwana duchowa? Nie była to miłość jak najbardziej cielesna, a często pisarze i malarze lubowali się wręcz we frywolności, która zawsze pozostawała w ich wykonaniu wielką sztuką. Czymże innym były sceny miłosne Ledy z łabędziem, jak nie pokazaniem intymnej sytuacji kobiety i ptaka, pod postacią którego ukrył się wprawdzie Zeus, ale samego aktu miłosnego dokonał ptak jednak, a nie mężczyzna. A malowano je w czasach Renesansu dość powszechnie. Jakoś dziś nikogo nie gorszy „Śniadanie na trawie" Edwarda Maneta, ani „Pocałunek" Augusta Rodina, choć prezentują sytuacje dość dwuznaczne. Nie wspomnę już o rysunkach erotycznych Pabla Picassa.

Przy rozpatrywaniu cienkiej i czasami bardzo nikłej granicy między sztuką, a pornografią zawsze warto mieć na uwadze cel, [illegible] Czy chodziło o wzbogacenie naszej wiedzy o człowieku, o piękno jego ciała, czy też chodzi li tylko o epatowanie nagością i seksem? Odpowiedź na to pytanie pozwoli nam zaliczyć dane dzieło, czy utwór albo do pornografii, albo do sztuki. Ważna przy tym też jest jego wartość artystyczna.

Po trzecie — nie wszystko co gołe i co traktuje o miłości musi być zaraz pornografią. Rozumiem, że wiele osób uważa, że sytuacje intymne powinny być okryte tajemnicą, ale dziś dokonują się tak gwałtowne przemiany w obyczajowości, w koncepcji człowieka współczesnego, w sposobach widzenia świata, że trudno tego nie dostrzegać i tym się nie zajmować. Zbigniew Nienacki — którego książki budzą kontrowersje, ale niemniej szybko znikają z księgarni — uważa, że dla literatury staroświeckiej istnieje tylko człowiek jako *„istota społeczna"*, a zatem jego postępowanie uwarunkowane jest jedynie życiem społecznym. Natomiast literatura nowoczesna, która powoli zaczyna kształtować się i w Polsce, uznaje, że człowiek jest *„istotą biologiczno-społeczną"*, a zatem w jego postępowaniu należy doszukiwać się zarówno uwarunkowań społecznych, jak i biologicznych szeroko rozumianych. Współczesny człowiek ma właśnie taką koncepcję jednostki ludzkiej i literatura, piśmiennictwo nie może tego nie dostrzegać.

Rozpowszechnianie pornografii jest w Polsce zakazane i karane. W jakich zatem pismach chce Dorota Mikiciuk oglądać pornografię — nie wiem. „Odgłosy" nie mają zamiaru uprawiać pornografii, natomiast trudno nie dostrzegać faktu dokonujących się zmian w obyczajowości współczesnych Polaków, jak też w innym widzeniu dziś człowieka. I tym się staramy zajmować. Czy robimy to dobrze? To już inna sprawa. Wolałbym raczej na ten temat dyskutować.

Po czwarte — rysunki Janusza Szymańskiego-Glanca. Można oczywiście mieć do tych rysunków różny stosunek, jak do wszystkiego, co jest publicznie pokazywane. Jest natomiast faktem, że zarówno Zbigniew Nienacki, jak i Andrzej York wyraźnie sobie życzyli, aby ich teksty były ilustrowane przez Janusza Szymańskiego-Glanca. Ostatnio jeden z czytelników przysłał list do JSG z prośbą, aby nasz grafik rysowanym kobietom dawał ładniejsze twarze. Mam, nadzieję, że grafik prośbę tę spełni. Z krytyką też spotkał się rysunek JSG przedstawiający jeźdźca na koniu, co świadczy, że Czytelnicy z uwagą oglądają prezentowaną na łamach „Odgłosów" grafikę.

Po piąte — odpowiedzialność naczelnego redaktora określa „Prawo prasowe" Artykuł 25. I mogę zapewnić, że nie jest to wcale takie lekkie i łatwe. Natomiast: *„czy ja to lubię?"*. Redaktorowi naczelnemu nic co ludzkie nie powinno być obce, a poza tym nikt z żadnego zespołu nie może mieć ani przez chwilę takiego mniemania, że pismo wydaje tylko dla zaspokojenia własnych zachcianek, oczekiwań i gustów, bo natychmiast da się to odczuć w odbiorze tego pisma. Dziennikarz może nawet czegoś nie lubić, ale jeśli lubią to czytelnicy, to jego obowiązkiem jest im to dać. Tak więc nie moje gusta tu się liczą i nie dla ich zaspokojenia podjąłem się redagowania pisma.

Bardzo chętnie podjąłbym się kolejnej takiej rozmowy na łamach pisma o piśmie, jeśli przyjdzie ze strony Czytelników zamówienie na jakiś konkretny temat. Proszę bardzo! Zapraszam!

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

„MILOWY SŁUP"

Celem konkursu jest popularyzacja młodej twórczości, rozbudzanie talentów, stworzenie warunków do publicznych kontaktów i konfrontacji.

1. Konkurs jest imprezą otwartą, w którym udział mogą wziąć poeci niezależnie od miejsca zamieszkania, nie będący członkami ZLP.

2. Należy nadesłać zestaw trzech wierszy w czterech egzemplarzach. Utwory nie mogą być nigdzie publikowane. Liczba zestawów dowolna.

3. Każdy utwór winien być opatrzony godłem, do zestawu prac należy dołączyć zaklejoną kopertę opatrzoną tym samym godłem, zawierającą imię i nazwisko, dokładny adres autora.

4. Ostateczny termin nadsyłania prac upływa z dniem 30 września 1985 r.

5. Oceny nadsyłanych prac dokona jury, w skład którego wejdą krytycy i poeci — członkowie Związku Literatów Polskich oraz przedstawicieli organizatorów.

6. Organizatorzy nie zwracają nadesłanych na konkurs prac.

7. Ogłoszenie wyników konkursu i wręczenie nagród nastąpi w październiku, o czym nagrodzeni autorzy zostaną pisemnie poinformowani i zaproszeni na koszt organizatorów.

8. Prace nagrodzone będą opublikowane w „Nurcie" i honorowane obowiązującymi stawkami autorskimi.

9. Organizatorzy przewidują następujące nagrody:
I nagroda — 12 tysięcy złotych
II nagroda — 10 tysięcy złotych
III nagroda — 8 tysięcy złotych
ponadto
— dwa wyróżnienia (nagrody rzeczowe)
— nagrodę za najlepszy wiersz autora debiutującego. Wiersze pretendujące do takiej nagrody winny mieć obok godła dodatkowy napis „Debiut".

Każdy ponadto z laureatów otrzyma miniaturkę „Milowego Słupa".

10. Organizatorzy zastrzegają sobie prawo innego podziału nagród.

11. Dodatkowych informacji udziela główny organizator konkursu ZW ZSMP w Koninie, Aleje 1 Maja 15, tel. 213-94. Pod ten adres należy nadsyłać prace konkursowe.

POLSKIE TOWARZYSTWO DEMOGRAFICZNE RÓWNIEŻ W ŁODZI

Do rejestru działających w Łodzi organizacji naukowych wpisane zostało ostatnio POLSKIE TOWARZYSTWO DEMOGRAFICZNE. Statutowym celem Towarzystwa jest m.in upowszechnianie w społeczeństwie wiedzy o rozwoju ludności poprzez popularyzowanie osiągnięć badań naukowych w tym zakresie oraz sygnalizowanie obecnych i potencjalnych zagrożeń rozwoju demograficznego w naszym kraju. Zadaniem Oddziału Łódzkiego PTD jest ponadto inicjowanie i koordynowanie badań dotyczących sytuacji demograficznej Łodzi i Regionu.

Na pierwszym walnym zebraniu członków Oddziału Łódzkiego Polskiego Towarzystwa Demograficznego wybrano zarząd Oddziału, którego przewodniczącym został dr **Włodzimierz Okoniak** z Instytutu Ekonometrii i Statystyki Uniwersytetu Łódzkiego.

Foto: Grzegorz Gałasiński

Uwierzmy w czary

Najbardziej pracowite są ręce, a właściwie same dłonie. Porusza nimi cały czas, być może bezwiednie, być może jest to rodzaj zakorzenionego głęboko w umyśle treningu. Wywija, przeplata, bębni palcami o blat stolika, masuje delikatnie każdą dłoń po kolei. Obie są niesamowicie sprawne. Tak w wywiązywaniu wytwornej muszki jak i w prozaicznym zapalaniu zapałki, co zresztą czyni dwoma palcami jednej ręki, w której cały czas trzyma pudełeczko. Wyrafinowany mistrz iluzji czy tylko pospolity kuglarz? Pogranicze magii czy mamiące oczy przypadkowego widza estradowe rzemiosło?...

— Ale o czym chciał pan właściwie ze mną rozmawiać? Co potrafię — to widział pan na scenie. Czy może wykonać coś gratis? — mój rozmówca niezbyt jest zadowolony, iż nachodzę go tuż po zakończonym rzęsistymi brawami występie. Jednak marsowe oblicze powoli łagodnieje, na moich oczach opada zeń napięcie, skupienie tak potrzebne w czasie prezentacji swych umiejętności. W kącikach ust przez sekundę zamajaczył cień uśmiechu. „— Jeśli mnie jeszcze nie wyrzucił — nie jest źle..." — przemyka mi przez głowę, gdy on powolnym ruchem ściąga swój reprezentacyjny frak, długi biały szal. Sięga po wystygłą kawę. Pije powoli jakby zastanawiając się co uczynić z intruzem. Wreszcie popycha w moim kierunku po stoliku paczkę „caro". I pstryka z dłoni ognikiem zapałki; pierwsze lody zostały przełamane.

— No dobrze, mamy prawie pół godziny czasu, możemy sobie pogawędzić? Ale cóż chciałby pan opisać? Mnie, moją iluzję czy podać receptę na łupanie kamienia filozoficznego?

Wiem że już mnie nie spławi, więc brnę jak mogę, na ile pozwala mi skąpy zasób wiedzy o magii, iluzji i „czarnoksiężnikach". Uśmiecha się z wyczuwalną ironią, gdy coś wspominam o roli magii w Egipcie, uznaniu jakim cieszyli się jego protoplaści nawet u faraonów.

— Taaak, czytał pan widzę w szkole sporo — zaciąga się smakowicie papierosem i po chwili namysłu sięga do małej, czarnej teczki. — Coś panu pokażę...

Podsuwa mi niewielką, pożółkłą ze starości książeczkę. Ostrożnie, by nie rozsypały się poszczególne stronice, zerkam do środka. „Czarnoksiężnik Polski czyli Tajemnice Czarnej Marii", wydanie z roku 1911. Bije w oczy spory śródtytuł: „Jak stać się niewidzialnym?!" Zaczynam szybko czytać niecodzienny tekst, a on jakby wyczuwając moje zainteresowanie, recytuje zapatrzony w zwiewne pasma dymu:

— Musisz wyhodować całkiem czarnego koguta, tak, aby ani jednego pióra innej barwy nie miał w upierzeniu. Gdy dorośnie 7 miesięcy i 7 tygodni zaduś go w najbliższą, pogodną pełnię księżyca w ciemnym miejscu i bez świadków. Na drugi dzień o północy rozkraj jego żołądek. Znajdziesz w nim mały kamyk czarny, zwany „malaryt". Oczyść go, umyj w bieżącej wodzie i zachowaj. Ma on tę szczególną właściwość, że wzięty pod język sprawia, iż dotycząca osoba staje się niewidzialną...

— Zgadza się mistrzu, bez jednego błędu czy przestawienia słowa. — Niech się pan przyzna — hoduje pan takiego całkiem czarnego koguta?

— Nie, boję się...

Pytam o początki jego kariery, o niezbędne predyspozycje, czy decyduje powołanie, czy zwykły przypadek. Zamyślony, nie od razu decyduje się na odpowiedź. I tylko dłonie cały czas ćwiczą. Po pewnym czasie przyzwyczaję się do tego, ale na razie robi to dość niesamowite wrażenie. Akurat teraz „ćwiczy" talię kart. Prawa dłoń bezwiednie tasuje w powietrzu, przekłada, rozwija w wachlarz i znów tasuje granatowe „Piatniki". Ciąg dalszy estradowego popisu, czy tylko ćwiczenia?

— Pyta pan o moje pierwsze kroki. Cóż, zadecydował raczej przypadek, ale — zanim opowiem: zna pan to? Proszę sobie podejrzeć jakąkolwiek kartę z talii ja się odwracam.

Rzeczywiście, odwrócił się, a przede mną spoczywał na stole granatowy wachlarz. Odruchowo podejrzałem jedną — waleta karo. Wciąż siedział tyłem.

— Proszę o lewą rękę. — I niech pan intensywnie myśli o wybranej karcie.

Delikatnie dotykał mojej lewej dłoni. A po sekundzie skarcił mnie:

— Chce mnie pan sprowadzić na fałszywy ślad, zmylić? Ale tamta karta to był walet karowy?...

Nic się nie odzywałem, bo całe zdarzenie rozegrało się zbyt szybko. I nawet nie powiedział „Hokus-pokus" czy coś w tym rodzaju. Nie mogłem się zdecydować czy molestować o początki pracy czy usiłować rozwikłać zagadkę z nieszczęsnym waletem. On sam wybrał.

— To było wiele lat temu. Przyjechałem do Łodzi z Tarnowa, jako świeżo upieczony student filologii germańskiej. I od razu uprzedzę pańskie pytanie: nie grałem w karty. Do dziś nie umiem. Gdybyśmy zagrali teraz w „durnia" — z pewnością bym nim został... Będąc kiedyś w „empiku" zauważyłem na półce książkę, która mnie zaintrygowała, jakby niespodziewanie otwarła się jakaś szufladka w mózgu! wiedziałem że muszę ją kupić. To był „Podręcznik magii", w oryginalnym, niemieckim wydaniu, Jochena Zmecka.

— Który, łamiąc wielowiekowe zasady, wyjaśniał tajniki wielu „fokusów"?

— Inaczej: wyjaśniał między innymi i komentował kilka prostych sztuk z kartami, piłeczkami, ze sznurkiem. I nie łamał żadnych zasad. Te podstawowe historie są niemal ogólnie dostępne. Czy jest panu wiadomym, że istnieje między innymi opasły, czterotomowy zbiór wszystkich tricków z kartami, wydany parę lat temu w Stanach Zjednoczonych. Autorzy opisali i „odczarowali" tam wszystko, co wymyślono z kartami jako rekwizytem na przestrzeni ostatniego wieku.

— Ale przecież dojrzały iluzjonista, zawodowiec może wymyśleć coś własnego, niepowtarzalnego...

— To niemal niemożliwe. Opanowanie kilku podstawowych technik — co niewątpliwie jest szalenie żmudne — wyklucza praktycznie zaskoczenie przez konkurenta nieznanym gagiem. Można jakieś tricki nieznacznie zmienić udoskonalić, wykorzystać nieco inny rekwizyt, ale wymyśleć od początku do końca — to, jak rzekłem, niemożliwe.

— Ale ten numer z waletem...

— ...Jest stary jak świat, zapewniam.

— Ale jakim cudem...

— Mieliśmy mówić o moich początkach? — przerwał mistrz dość obcesowo, jakby wyczuwał, że za chwilę zacznę go molestować o wyjawienie zagadki waleta. — Napijemy się mocnej kawy — zadecydował również za mnie. Podniósł z ustawionej na podłodze maszynki parujący imbryk; stary, odrapany, jakoś dziwnie nie pasujący do unoszącej się w powietrzu atmosfery magii, do rękawiczek, szala i wytwornego fraka.

— No więc wciągnęło mnie strasznie — pil drobnymi łyczkami, obejmując oburącz gorącą szklankę. — Ćwiczyłem godzinami, głównie dla własnej satysfakcji, z chęci popisania się przed kumplami, studentami. Wtedy też nauczyłem się pierwszej zasady wszystkich iluzjonistów: dopóki nie wyćwiczysz jakiegoś numeru do absolutnej perfekcji — nie pokazuj go.

— A zasada numer dwa? — wpadłem mu w słowo.

— Nigdy nie pokazuj danego tricku dwa razy. Ale do rzeczy — w rodzinnym Tarnowie bodaj rok później dowiedziałem się, że w Łodzi, gdzie już wówczas studiowałem równolegle kolejny fakultet, anglistykę, istnieje... Klub Iluzjonistów! Zostałem jego członkiem, no i w iluzję bawię się już osiem lat.

— Wspomniany Klub powstał jeszcze w latach siedemdziesiątych.

— Owszem, tyle że wówczas był to Klub Iluzjonistów Amatorów, a zawodowcy skupieni byli w Krajowej Sekcji Artystów Iluzji przy Związku Zawodowym Pracowników Kultury i Sztuki. Dziś wszyscy wspólnie należymy do Krajowego Klubu Iluzjonistów.

— Wielu jest was w kraju, czardziejów?

— Zawodowców — około 30, a z 250 osób zrzeszonych wielu to jeszcze amatorzy, jest też sporo członków-sympatyków.

— Klub ma charakter wyraźnie elitarny...

— I nic dziwnego. Iluzjonista to nie szewc czy lastrykarz, nic nie ujmując przedstawicielom tamtych zawodów. Chęci i tysiące godzin ćwiczeń — to jeszcze nic, liczy się ta iskra, talent, powołanie, czy jak to będzie wygodnie panu nazwać. Trzeba być po trosze aktorem, psychologiem, mieć tak zwaną żyłkę sceniczną, umieć...

— Zręcznie pokazać parę numerów z kartami i widowni to wystarczy...

— To nie jest tak! Jeśli stwierdzę, że na nic nowego, lepszego już mnie nie stać, że jestem estradowym rzemieślnikiem, takim właśnie pokazywaczem tricków — zrezygnuję, wezmę się za strzyżenie trawników choćby. Pan tego nie zrozumie co to znaczy porwać widownię, zachwycić, zaszokować, wyczuć osobowość każdego z osobna, zaczarować.

— ...w króliki choćby.

— Pan sobie żartuje, niepotrzebnie zgoła. Głupi węzełek na sznurku, który znika też pięknie można wygrać. Oczywiście, im bardziej wyrafinowany gag — tym większy splendor i satysfakcja.

Co mówiąc sięgnął do kieszeni po chusteczkę. Rozłożył na dłoni i w środku umieścił palącego się papierosa. Miął przez chwilę chustkę w rękach, po czym niespodziewanie ją rozwinął. Była wciąż czysta, bez najmniejszego śladu popiołu. Niedopałek zniknął!... Siedziałem w odległości może jednego metra, patrzyłem uważnie na ręce — gdzie się do cholery ten papieros rozpłynął?!...

— Mistrzu, może ja pójdę po gaśnicę, bardzo to było ładne, ale za chwilę zacznie się tu coś kopcić — próbowałem żartować, choć wrażenie było rzeczywiście silne.

— Może pan być spokojny, nic się nie zapali — roześmiał się iluzjonista — on się zdematerializował. — I nie ma sensu liczyć „pety" w popielniczce ani zaglądać pod stół.

— Czy pana też kiedyś konkurent zaskoczył na tyle udanym trickiem że nie udało się go rozgryźć? — wylazłem spod stolika i szybko zmieniłem temat.

— Na początku wszystkie, nawet najprostsze numery fascynują, z czasem odgaduje się zasadę działania na odległość, po kilku ruchach rąk. Oczywiście, jeden wykonuje to bardziej zręcznie, drugi — niemal na granicy wpadki przed widzem. Ale chyba trzy lata temu, na którymś z kongresów iluzjonistycznych kolega z Wiednia pokazał niecodzienny program. Dysponował tylko zwykłą, metalową kulką, którą dał najpierw kilku osobom do obejrzenia. Potem położył ją na pustym blacie stołu i po chwili skupienia, wskazując w powietrzu palcem kierunek — „sterował" kulką, która posłusznie turlała się w daną stronę. Ale to jeszcze nic. Patrzymy, a on bierze kartę, ustawia ją na stoliku pionowo. Karta stoi. Pstryka palcami i kulka.. zaczyna wędrować po karcie po jednym kancie, wraca, po obu płaszczyznach. W kulminacyjnym momencie zawisa w powietrzu nad stołem, po wyciągnięciu spod niej karty. To był niesamowity popis.

— I nie udało się gościa rozszyfrować, wam, profesjonalistom?

— Ano nie, mimo że wypiliśmy wspólnie nieco koniaku, do białego rana — nie przyznał się. Jego patent...

— Mówimy ciągle o tak zwanej mikroiluzji, ale przecież i u was występuje wiele kategorii magii...

— Oczywiście, ta mikro jest najbardziej widowiskowa, używa się zwykle kart, piłeczek, żetonów, chustek. No, jest jeszcze tak zwana duża iluzja, którą na zachodzie demonstruje się zwykle na dużych scenach, w rewiach, cyrkach; duże rekwizyty, asystentki, partnerki, często zwierzęta. U nas raczej niespotykana, głównie ze względu na ogromne koszta specjalistycznych rekwizytów.

— Rzeczywiście są to duże kwoty?

— Dla nas często niebotyczne. O, proszę takie zwykłe piłeczki do manipulacji, podstawowy rekwizyt, kosztują ponad 10 dolarów.

Mistrz sięgnął do kieszeni fraka i wyczarował cztery czerwone piłeczki, które na moich oczach zaczęły mu się przeplatać między palcami, znikać, pojawiać się powtórnie, wreszcie wszystkie cztery zamieniły się w większą nieco kostkę. Błyskawicznie wyciągnąłem rękę, ale dłoń iluzjonisty była już pusta...

— Z refleksem u pana nie najgorzej — kpił w żywe oczy. — Wróćmy do iluzji. Jest jeszcze tak zwana sceniczna, kiedy iluzjonista używa często oprócz kart, czy chust obręczy, papug, gołębi. Oczywiście królową iluzji jest manipulacja. Nawiasem mówiąc w tych dwóch ostatnich dziedzinach magii bardzo dobry jest mój przyjaciel — Sławek Piestrzeniewicz, który na tegorocznym światowym kongresie w Madrycie, w lipcu, wystąpił w programie galowym, natomiast na przedostatnim, w 1982 roku, w Lozannie, w kategorii właśnie manipulacji zdobył tytuł wicemistrza świata.

— A cóż to takiego iluzja mentalna, spotkałem się kiedyś z tym określeniem?

— Najkrócej mówiąc wykorzystuje się w niej elementy telepatii, sugestii, decyduje pamięć, umiejętność odgadywania czyichś myśli.

— Mocne, mocne; daj mnie pan dowód i sto złotych, a powiem jak się nazywasz...

— Pan powinien specjalizować się w iluzji komicznej; kto wie, po latach ćwiczeń? Bo, już poważnie, mamy i taką kategorię. Szalenie trudną zresztą, trzeba widza nie tylko oczarować, ale rozbawić. I nie opowiadaniem dowcipów.

W drzwiach garderoby pokazała się siwa głowa. Mężczyzna obrzucił mnie niezbyt przyjaznym spojrzeniem i z uwielbieniem w głosie zwrócił się do mego rozmówcy: — Mistrzu, za kwadrans pański występ...

— Tak mamy swój klub, mamy wielu doskonałych magów, jak choćby kapitalnego Salvano, cieszącego się światową renomą, utrzymujemy ścisłe kontakty z organizacjami iluzjonistycznymi w krajach Europy i nie tylko, a nie dorobiliśmy się choćby sklepów z podstawowymi rekwizytami A są takie choćby za miedzą, w NRD. Kolejny paradoks: aby zostać profesjonalistą trzeba zdać bardzo trudny egzamin teoretyczny i praktyczny przed specjalną komisją, której szefem jest zwykle profesor Bardini. Że wysoki poziom musi kandydat reprezentować — to i dobrze, by w kraju nie namnożyło się średniej klasy iluzjonistów, ale dlaczego ustalony jest limit wieku — 35 lat? Można mieć doskonały program, 36 lat i do śmierci występować jako amator. A wówczas są określone konsekwencje: do znanych lokali i na duże imprezy agencje mogą zatrudniać wyłącznie profesjonalistów. Amator za występ, powiedzmy, w Domu Kultury otrzymać może maksimum 400 złotych. Gdy uszycie porządnego fraka kosztuje w granicach 40—50 tysięcy złotych...

— Pewnie ze względu na te sekretne kieszenie...

— Nie, takie są ceny. Ja występuję na szczęście także jako konferensjer-piosenkarz, gdyż muzyka, obok iluzji jest moją drugą miłością.

— Też samouk? Wiadomości z książek...

— Niezupełnie. Dziewięć lat szkoły muzycznej — siedem lat fortepian, dwa lata — śpiew solowy. Niedawno zacząłem komponować, gram również na gitarze i organach, mam już za sobą debiut w radio i telewizji, gdzie w maju występowałem w programie o amatorach. Muszę się pochwalić, że dwa lata temu napisałem muzykę do tekstu przyjaciela — Waldka Gajewskiego, jest to taka piosenka iluzjonisty, coś jakby nasz mały hymn. Okazała się na tyle udana, że gdy wysłaliśmy ją wraz z pozdrowieniami na wspomniany kongres w Madrycie, umieszczono ją w oficjalnym katalogu imprezy i transmitowana była na pokazach w wersji angielskiej.

— Teraz się pewnie okaże, że trzecią miłością są języki obce...

— Mówiłem, że ma pan talent — roześmiał się iluzjonista-piosenkarz — trafił pan w dziesiątkę. Oprócz niemieckiego jeszcze na studiach opanowałem szwedzki, za zgodą rektora równolegle studiowałem filologię angielską. Nie ukończyłem, gdyż przypominano mi na trzecim roku o obowiązku podjęcia pracy. Obecnie intensywnie ciągnę naukę francuskiego...

— Przepraszam, nie rozmieni się pan całkiem na drobne?

— Nie, i myślę że w każdej dziedzinie uda mi się utrzymać, dobry, wysoki poziom. Aktualnie pracuję intensywnie nad programem estradowym, jakiego jeszcze u nas nie oglądano. Nie chcę ludzi bawić wyłącznie iluzją, będzie więc w nim przeplatała się dobra muzyka, śpiew, taniec z groteską, seriami nowych gagów. Tak jak prezentują to w zagranicznych programach prawdziwi mistrzowie rozrywki.

— Cieszę się i już dziś wpraszam na wasz kolejny, międzynarodowy kongres iluzjonistyczny w Łodzi, w listopadzie. Ale niech pan zdradzi Czytelnikom i mnie ten numer z niedopałkiem..

— Niech mnie pan nie namawia, naprawdę. Mógłbym panu wyjaśnić zasady kilku sztuk z kartami i wówczas miałbym gwarancję, że nie zapamięta pan żadnego. Ale nie o to chodzi. Myślę, że dla dobra publiczności, w świecie komputerów, doskonałej techniki, miniaturyzacji — nie powinniśmy zbyt często odkrywać kart.

Mistrz zaczął powoli przywdziewać swój wyjściowy frak, szykując się do kolejnego wyjścia na scenę. Jeszcze szal, cylinder, czarodziejska laska. Jeszcze łyk ożywczej kawy.

— Nie wolno naszych występów obdzierać z otoczki niecodzienności, uroku magii, udziału sił nadprzyrodzonych. Właśnie dziś tęsknota za czymś tajemniczym, nieodgadnionym jest o wiele większa niż dawniej. I dlatego uwierzmy w czary...

Zawinął szalem i... zniknął. Nie wyszedł, ale właśnie zniknął. I tylko dobiegający z oddali szmer podekscytowanej publiczności był dowodem, że nie zdematerializował się całkiem. Niczym niedopałek papierosa...

Z JERZYM STANKIEM
rozmawiał DARIUSZ DOROŻYŃSKI

JAN BĄBIŃSKI

Szampańskie dziewczęta

Szef finansowy kabaretu „Nana" w Genewie monsieur Velvet podszedł kocim krokiem do Karine i oświadczył.

— Od dzisiaj królewno, pokazujesz „tes ballons" Tych skarbów nie chowasz chyba tylko dla siebie?

— O, nie, na to nie pójdę.

— Wbij sobie do głowy, aniołeczku — w głosie szefa zabrzmiała nuta pogróżki — że albo słuchasz poleceń i błyśniesz piersiątkami albo fora ze dwora. Możesz wtedy od razu iść do kasy po pobory i adieu, dziecinko...

No i nieoczekiwanie, Karine, dziewczyna raczej łagodna, zrobiła awanturę na cały kabaret.

— Więc to tak traktuje się w Genewie artystki.

— Zastanów się.

Karine, smukła apetyczna blondynka z Zurychu, wyglądała w szykownej sukni niezmiernie pociągająco.

— Nie i już, może mam służyć tym grubym mamutom jako „Sexmaschine", co, źle pan trafił, jestem przyzwoitą kobietą, jeśli zwolni się mnie, złożę skargę do sądu. Nie dam się przyszpilić do tych tłustych i sprośnych szejków, słyszał pan?

No proszę, kto by się tego spodziewał, to już nie w kij dmuchał, a prawdziwy skandal. Przecież kabaret uchodził za ekskluzywny, o lustrach na ścianach, żyrandolach u sufitu i szybach w ołów pooprawianych. Schodzili się tu goście o kieszeni ze złota i hojnym zawsze geście. I raptem taka niepotrzebna awantura. Cóż, smrodek rozszedł się szybko, wszczęto badania i dochodzenia. Nocne życie w kraju Helwetów, jak z tym jest właściwie? Czy porno-biznes nie podniósł głowy aby za wysoko nie grozi zalewem moralnej gangreny?

Uderzono na alarm.. Sodoma i Gomora nad Lemanem.

Niegdyś Genewa słynęła z niezliczonych lokalików typu „bistro". Wszędzie wpadały w oczy maleńkie lokaliki szybkiej obsługi i taniej dość konsumpcji. To już historia. Lokale zmieniły charakter. Dziś to „Bars a champ", co oznacza, że dominuje w nich szampan. Tu się mało je, dużo pije, a gazet nie czyta na pewno. Usługi innego są rodzaju. Poznikały dyskoteki, wyparowały „bistra", za to wyskoczyło jak spod ziemi kilkadziesiąt barów z szampanem.

Do stolika podchodzi lekkim krokiem podkasana kelnereczka z ujmującym uśmiechem na młodziutkiej twarzy.

— Pan życzy sobie jedną, czy może od razu dwie?

Dziewczę miało oczywiście na myśli butelki szampana.

— Jedną poproszę.

— Do usług, monsieur.

To „do usług" należało brać dosłownie. Oficjalnie dziewczyna wynajmowała się do podawania klientom szczelnie obłożonego lodem alkoholu w firmowych flaszkach z dalekiej Szampanii. Cena? Zależy, 150—250 franków za butelkę, tyle to musi kosztować. Rychło szampan doda werwy i animuszu no i rozpoczną się rozmowy już bardziej intymnej natury. Ile, pyta klient, za drobiazgi 300 franków, odpowiada kelnereczka, a jak kogo bierze ochota na łóżko, 500 franków.

— Idziemy? — pyta szampańska dziewczyna i wdzięcznym ruchem głowy wskazuje na korytarz, wiodący do „chambre separae".

Jednak w „Bars a champ" też nie obeszło się bez awantur i skandalu. Za Karine poszło blisko 200 dziewcząt z rozrywkowej dzielnicy Paquis w Genewie. Dość już tego, nie pozwolą sobą pomiatać, zrób to, zrób tamto, jeszcze by czego, obraża się ich godność osobistą i poniewiera na każdym kroku. No i w cały ten interes wkroczyła „La Justice", czyli prawo ujęło sprawę w swe ręce. Wtedy zahuczało po drugiej znów stronie, wśród menedżerów nocnego biznesu.

Po co tyle wrzasku o nic? Czy policja nie ma innych zmartwień? Nie takie rzeczy dzieją się na tym świecie. Zresztą poniżej pępka żadnego nie ma miejsca dla religii i wiary, cóż dopiero mówić o sprawiedliwości. Tam, na dole rządzą inne całkiem prawa. Panowie sędziowie tylko się zbłaźnią, jak sięgną zbyt głęboko. W rejonach Mont Veneris „La Justice" nie ma najmniejszego pola do popisu. Starożytni pomniki stawiali marmurowe „phallusowi". I słusznie. Bo nikt jeszcze świętej wojny z fallusem nie wygrał.

Emanuel Kant mógł sobie pokpiwać, głosząc, że uprawianie miłości jest „als Bewegung zu komisch, als Vergnuegung zu kurz". Może te ruchy były dla niego zbyt komiczne, a przyjemność krótkotrwała. Jego strata, za duży był widocznie filozof w łóżku. Szkoda, że nie mógł sobie w domowym zaciszu poczytać „Emanuelle", bo nieco by się podkształcił.

W Lozannie czynne są cztery nocne lokale, o przyćmionej scence, na której popisuje się kilkanaście wybitnie ładnych tancerek. Zobowiązane kontraktem rozbierają się do Ewy, czyli „au naturel". Każdego wieczoru robią 3 striptizy. Biorą za to 160 franków. Nadto wpada im 15 proc. prowizji od każdej sprzedanej butelki szampana. To one podają do stolików „Veuve Cliquot".

— Ile? — pyta rzeczowo grubas w czarnych okularach. Już mu trunek lekko do głowy uderzył.

— 500 franków za 20 minut — odpowiada tancereczka ściszonym nieco głosem.

— Dobra, jest, idziemy.

— Ależ nie, proszę pana, po co ten pośpiech? Wpierw muszę swoje odrobić w tym lokalu, a pan zaraz by chciał nie wiadomo co. Proszę zaczekać przy stoliku, lub w swoim aucie przed lokalem. Wyjdę stąd przed pierwszą, au revoir monsieur...

Mamut zaczekał przy stoliku, obciągając całego „Heidsiecka". Po godzinie stał się lżejszy o 1200 franków, więc było nie było, o 500 dolarów właśnie. Kręgla dosyć sumka uleciała z wiatrem z szerokiej szampanki.

Przed czterema laty krążyłem po starym mieście w Bernie. Czyste, schludne i z mieszczańską bardzo zamożne miasto. Wypolerowane na wysoki połysk. Cóż, stolica Helwetów- „noblesse oblige". Patrzę, a tu za wielką Zegarową Wieżą, wywalił na mnie w zaułku duże witrynowe gały porno-shop, błyszcząc zachęcające kryształową szybą. I ten potężny napis na wystawie — „Protezy kauczukowe gwarantowanej jakości", służymy katalogiem.

Z boku lśniły chromem i niklowym okuciem masywne drzwi dębowe. Co za elegancja. I ten mosiężny szyldzik... Sandria, Sonia, Gabriela... i trzy guziczki pionowo ustawione. Naciśniesz, a dama twego wyboru zejdzie gibkim kroczkiem i zaprosi z uśmiechem na pięterko. Przypiliło pana? Ach ci mężczyźni, jacy oni są nieszczęśliwi. Cena do uzgodnienia, przecież pan wie, bywa że z jednym mężczyzną bardziej się trzeba napracować niż z tuzinem innych.

Starszy jakiś mężczyzna popatrzył i zrobił duże oko.

— Radzę dać najpierw mała zaliczkę, a dopiero po wszystkim, całą resztę. Wtedy te cwaniary dużo lepiej się starają.

Przygnało mnie do Berna także w tym roku. Patrzę, a tu porno-shop zniknął, nie ma go Teraz kwiaty się tutaj sprzedaje. Czyżby zarazę przegnano z miasta na cztery wiatry?

„Nie wie pan, że cenzura się dobrała do tego towarzystwa? Nie czytał pan dzisiejszych gazet? W samym tylko Zurychu policja skonfiskowała wczoraj 6 ton tych różnych świństw rynsztokowych.

Cenzura? I ta w Szwajcarii gdzie zawsze wolno było więcej niż gdziekolwiek indziej?

W Lozannie też przetarłem oczy. A więc do tego już doszło. Kioski z „hard-porno" pozamykano. Nie wolno i już. Na jednym z tych dużych sklepików gazetowych tuż przy moście widnieje pełen żalu napis — „Bardzo nam przykro, ale cały towar został skonfiskowany". Te inne stoiska zostały. Są nadal pełne czasopism i magazynów. Lecz wstydliwe miejsca magazynowych pięknotek pozalepiano białymi skrawkami papieru. Więc sprawy przybrały taki obrót? Czyżby zamierzano łeb hydrze urwać?

Zdania są podzielone, odczucia mieszane.

Ci, którzy są za cenzurą, powołują się na przykłady z innych krajów, gdzie już dawno wprowadzono cenzurę represyjną. W Londynie wszystko wolno, no tak, ale nie wszędzie, wolno w prywatnych klubach, gdzie przy wejściu sprawdza się kartę członkowską. W Stanach Zjednoczonych wiele książek wypożycza się wyłącznie dorosłym. A i to dopiero po sondującej w bibliotece rozmowie w cztery oczy. Cały ten interes ogranicza się do pewnej dzielnicy i pewnych tylko ulic. Jak już chce się ktoś smażyć, to niech smaży się we własnym sosie.

Kiedyś zniesiono przecież w Szwajcarii krwawe walki niedźwiedzi, psów i kogutów. Nie tyle z miłości do zwierząt ustanowiono te zakazy, ile z szacunku dla ludzi i w imię człowieczeństwa. Obserwowanie rozszarpujących się bezlitośnie zwierząt wyzwala drzemiące w przepastnych odmętach ludzkiej psychiki, najpierwotniejsze i najdziksze instynkty. Chrońmy przeto człowieka przed zezwierzęceniem. Czy chcemy, by ludzkie istoty jak bydlęta kopulowały na otwartej przestrzeni ku zabawie prymitywnej widowni?

Inni znów wołają:

Może mamy się cofnąć do czasów ponurego ciemnogrodu i świętej inkwizycji? Od bez mała stu lat co bardziej znaczący intelektualiści krajów ogłaszają wszystkich domagają się zniesienia cenzury w dziedzinie sztuki i twórczości Żadnym to nie grozi zanikiem hamulców, gdy każdy dostaje, czego sobie zażyczy. Jeszcze nigdy zła książka nie zepsuła dobrego człowieka, a dobry film nie naprawił człeka złego. Zawsze byli ludzie i ludziska. I zawsze będą. Ślepiec nigdy nie zobaczy Venus z Milo, głuchy nigdy nie usłyszy symfonii Beethovena. Sadysta zostanie sadystą, a podglądacz wiele odda, żeby znowu sobie popodglądać. Natura chodzi koło tej bryły z własnym dłutkiem i rylcem kreśli charaktery wedle własnego tylko wzoru. Niech to płynie, życie wie najlepiej, gdzie jakie korytko pożłobić.

Ponownie replika:

Cóż ma wspólnego ze sztuką gwałt na teatralnej scenie, tortury i brutalne wyuzdanie? A takie dzieła nie schodzą z afisza. Komuż to wulgarna pornografia aż tak smakuje i jakim artystycznym celom niby służy? Ciągłe oglądanie scen drastycznych z pogranicza zezwierzęcenia musi z biegiem czasu odbić się niezmywalną pieczęcią na osobowości i charakterze. Masturbacja jest to wyobraźni, której następstwem staje się potworne spustoszenie w psychice. Co znów prosta jest drogą do nerwic, odchyleń i zmian nawet funkcjonalnych w mózgu.

Karine swego dopięła.

Prokuratura wszczęła śledztwo, stręczycielstwo to zarzut poważny, więc zatrzymano trzech dżentelmenów z kierownictwa kabaretu „Nana". Na drzwiach lokalu przybito urzędowe pieczęcie. I w ten sposób zgaszono działalność nadzwyczaj pomyślnie prosperującego kabaretu. Na jak długo?

Karine tak dołożyła szefowi finansowemu, że poszło nie tylko jemu w pięty.

— Koleżanki zmuszano do prostytucji, tak jest, niczego nie zmyślam. Nie miały odwagi, żeby o tym donieść, ale ja postanowiłam mówić i nic mnie od tego nie powstrzyma. Wieczorem podjeżdżały pod kabaret limuzyny. Wysiadał szofer, wsuwał szefowi tysiąc franków w rączkę, a szef wzywał dziewczynę i polecał, zabieraj się pięknotko, ale szybko, auto czeka już na dole Zdarzało się, że „cadillaki" zabierały po kilka moich koleżanek do prywatnych willi i pałacyków nad jeziorem.

Pan Bolek z Yverdomu młody, żywy i sympatyczny, zatrudniony przy miejskiej kanalizacji, wybuchnął śmiechem.

— O czym tu gadać, Genewa to oaza niewinności i dobrych obyczajów w porównaniu choćby do Zurychu. Tam dopiero się dzieje. Był pan może kiedy na Brauerstrasse?

Potrząsnąłem głową.

— Głupie pytanie, prawda, przecież was z Polski nie stać tutaj na kabarety i dziewczynki, za drogi gips, za wysokie progi, szkoda dolców, ha, ha, niech pan słucha, przy Brauerstrasse wynajmuje się pokoje na godziny. W każdym prawie domu jest „Stuetzli-sex" dla podglądaczy na parterze i „salony masażu" dla facetów z biglem. Tych salonów jest ponad 300, słyszy pan, do końca życia tego się nie obskoczy, bo damski personel ciągle się zmienia i dopływ świeżych ciał jest duży.

Już wsiadał do używanego citroena za 6 tysięcy franków.

— Co pan tak patrzy? Przecież muszę coś, do cholery zrobić z moim wolnym czasem Zapomniał pan, że dziś sobota? Nigdzie człowiek tak się nie zabawi jak w Zurychu. Dziewczęta sprowadza się z Tajlandii, choć Wietnamek też nie brakuje. Dla młodej i ładnej Tajlandki każde morze jest dziś spokojne i wszystkie wiatry przychylne. Dobije do portu, bądź pan spokojny, wszędzie ją miłe powitają. Oglądał pan może rybki w akwarium? Przepraszam, znowu głupie pytanie, więc niech pan słucha, siedzi się w lokalu przy stoliku, a nad głową pływają panu w ogromnym akwarium brązowe rybki prosto z Tajlandii, to czego jeszcze komu trzeba. Każdej chwili może pan sobie wybrać jedną na deser po kolacji. Niech pan słucha, nie ma lepszych dziewcząt do roboty. Konfucjusz wykształcił je w uległości i posłuszeństwie. Są ciche, potulne, zawsze uśmiechnięte, same panu zdejmą obuwie i podadzą papierosa już zapalonego. Urocze są te Azjatki, nigdy się nie złoszczą i nigdy nie podnoszą głosu na mężczyznę. To gdzie pan znajdzie takie kobitki, no gdzie?

— Przecież od pewnego czasu zwalcza się tu pornografię i prostytucję — wtrąciłem.

— A tak, zwalcza się, wywozi się różne takie wydawnictwa z „sex-shopów", to prawda, ale co to daje? Dzisiaj policja zabiera, a jutro nadchodzi nowy transport jeszcze lepszych rzeczy. Walka z wiatrakami, niech pan mi wierzy. Dwie połóweczki jędrnego tyłeczka wszędzie więcej mogą niż wszyscy politycy i filozofowie. Więc z czym chce się tu walczyć? A ile jest porno-kin przy Seefeld w Zurychu, szkoda mówić, a trzeba korzystać, póki najlepszych chwil życia nie ma się już za sobą. Bo potem, to już tylko do lodówki, mój panie.

Pan Bolek należał do tych, co wybrali Zachód z pobudek innych niż ekonomiczne. Szukał wolności, fakt, lecz wolności wśród porno-shopów. Ten haczyk, połknął, a nie 'nny. Tego typu „uciekinierow" jest więcej, niż się na ogół przypuszcza. Ci młodzi ludzie chcą się wyżyć i wyszumieć. Po jakimś czasie mają golizny po dziurki w uszach. Już po roku przychodzi nieuniknione znużenie, potem obrzydzenie.

Pan Bolek gestem niemal miłosnym włożył kluczyk i przekręcił. Silnik cicho zaszumiał. Wkrótce chłopak się ustatkuje, pomyślałem, to jasne. Zamiast dziwkom zacznie wręczać ciężko zapracowane franki kasjerom w banku Zacznie odkładać. Niepostrzeżenie przeobrazi się w Szwajcara, który z reguły mniej wydaje, niż zarabia. Przekroczy próg, który wiedzie w rejony ludzi nowoczesnych w pełnym tego słowa znaczeniu. Z utracjusza stanie się dusigroszem. Dopiero wtedy otoczenie przyjmie go bez zastrzeżeń.

A może to istotnie walka z wiatrakami?

Przecież porno wdziera się wprost do mieszkań w formie „video cassette". Kto tego chce, ma gwałt, zboczenia i orgie niebywałe w cichej samotności, to jest u siebie w domu.

Zagrzmiał pastor w lozańskiej świątyni.

„...albowiem powiadam wam, że jeśli oknem wejdzie do naszych domów wyuzdana pornografia w celofanowym opakowaniu „cassette", to drzwiami raz na zawsze odejdzie cała etyka i moralność, stanowiąca od wieków fundament naszej kultury...".

„Video-cassetty" kosztują 20—120 franków, magnetowid 2000, czyli jakieś 830 dolarów. Dla średnio zarabiających i oszczędnych nie jest to wydatek rujnujący. Towar idzie więc jak woda. Ale dlaczego?

„Przyczyny tego fenomenu nie są w pełni znane. Przypuszczalnie mężczyźni poszukują substytutów, czegoś, czego żona im dać nie chce, bądź dać nie może".

Moraliści biją na alarm.

— Jak kiedyś upadł Rzym wskutek rozwiązłości i moralnego rozkładu, tak już wkrótce rozpadnie się Zachód.

Czy aby na pewno?

E. Gibbon, wybitny znawca starożytności, napisał był w Lozannie właśnie, klasyczne dzieło „Zmierzch Cesarstwa Rzymskiego". Gibbon był zdania, że nie tak zwany rozkład moralności, jak niekiedy się twierdzi, lecz rozkwit „niewolniczej doktryny chrześcijańskiej" podkopującej sam fundament imperium, spowodował zmierzch, w końcu ostateczny upadek Rzymu.

Zresztą wszelkie porównania z antycznym Rzymem mijają się z celem.

W imperium rzymskim wszystko było moralne i dopuszczalne, co nie naruszało publicznego ładu i cesarskiego porządku. Sceny gwałtów, tortur i mordów grano w amfiteatrach „na żywo". Dubierami byli przestępcy, którzy tak czy owak mieli być straceni. Zbrodniarki wleczono w rzymskim Koloseum wpierw pod osła, który je gwałcił, potem dopiero ścinano im głowę. Ukrzyżowanym na scenie mordercom lew spokojnie wyjadał wnętrzności. Z drugiej zaś strony ci sami Rzymianie zarzucali Etruskom, że parzą się publicznie, wprost na ulicach.

O upadku Europy mówi się od pokoleń. Europa niby upada i upada lecz tak zupełnie upaść jakoś nie może.

Jak zatem spiąć klamrą te rozważania znad lemańskiego jeziora?

„Niczego nadto" głosi antyczny napis na greckiej świątyni w Delfach. I jest w tych dwóch słowach zawarta cała życiowa mądrość greckich mędrców starożytnych. A nikt, jak dotąd, mądrością przewyższyć ich nie zdołał. Słowem wszystko na tej ziemi jest dobre, miłe, pożyteczne i z natury potrzebne, byle z umiarem.

„Nanę" w Genewie już odwieszono.

Co zaś do Karine, widywano ją parokrotnie, jak odjeżdżała spod kabaretu „royce-rollsem" mamuta znad Zatoki Perskiej. Wszystko więc wróciło do normy, burza w kieliszku z szampanem ucichła, c'est la vie, proszę państwa, nikt jeszcze swego pępka nie przeskoczył.

(7)

Dzieci kosmosu

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

— Jak to nie możemy! — wtrącił się Arktur — który śledził uważnie całą wyprawę na ekranie audiowizora — możemy obudzić nawet kilkuset najwybitniejszych specjalistów...

— Nie uczynimy tego — przerwał mu ostro Murzim — oni tu tylko czekają, rozumiesz? Czekają i czekać będą, póki nie wrócą po nich nas.. Z tym przekonaniem pozostali. Nie wolno pozbawiać ich najlepszych.

— Racja, święta racja — poparł go profesor — szukajmy jakichś informacji, objaśnień, dokumentacji tego gigantycznego przedsięwzięcia... musieli tu gdzieś zostawić. Odwrotną stroną tej tragedii jest jednak triumf naszej myśli naukowej i technicznej, wspaniała próba ocalenia naszej cywilizacji.

— Szukajmy, rzeczywiście powinny tu być odpowiednie wskazówki.

To, co znaleźli — rozczarowało ich w pierwszej chwili. Na progu każdej z kilkunastu olbrzymich jaskiń, odnaleźli specjalne zasobniki, odporne na każde uderzenie, każdą próbę rozsadzenia, wodę i ogień, a w środku ten sam tekst foniczny. Poznali od razu spokojny głos Vindemiatrixa, prezydenta Telemetrii i Przewodniczącego Rady Lotów Międzygwiezdnych: „Kimkolwiek jesteście, wy, którzy tu trafiliście, nie zakłócajcie ich spokoju, szanujcie ład i spokój, naczelne prawo Wszechświata. Jeżeli zdołamy — sami im życie przywrócimy. Jeżeli nie — niech świadczą o dorobku naszej cywilizacji"...

Vindemiatrix podał jeszcze dokładną datę powstania tej wielomilionowej nekropolii, wyjaśnił w jaki sposób można się dostać do muzeum dziejowego dorobku radioteleków i to było już wszystko.

— Jakie mamy straty? — spytał Vindemiatrix.

— Dość duże, stanowczo za wielkie — raportował Algenib, dowódca obrony — straciliśmy ostatnio sporo statków transportowych z nasionami roślin użytkowych i zarodnikami zwierząt. Demorion zestrzelił nam także kilka statków — magazynów części zamiennych i żywności. Jeżeli tak dalej pójdzie — jakaś część spośród nas dotrze być może do Jedenastej Galaktyki, ale naga i bosa, bez niezbędnego wyposażenia, umożliwiającego życie na dotychczasowym poziomie naszej cywilizacji.

— Jest tylko jeden sposób na Demoriona — gorączkował się Tatenak — trzeba zgromadzić nasze rakiety bojowe, dać im energiczne dowództwo i uderzyć, rozbić mu nową kwaterę główną, zniszczyć fabryki i zapasy. Kto chce ocalić wszystko, a to jest niemożliwe, jak sami widzicie, może tylko wszystko stracić.

Posiedzenie Rady Lotów Międzygwiezdnych odbywało się na pokładzie Adary II, statku flagowego Telemetrii. Sytuacja wędrującego narodu radioteleków, a raczej jego części, pogarszała się. Dla tysięcy statków międzygalaktycznych brakowało wystarczająco silnej osłony falowej. Zasoby falowej energii, choć odnawiane w miarę możliwości, zmniejszały się. Część statków towarowych, z reguły powolniejszych chroniona była już tylko przez rakiety bojowe. Uwijały się jak mogły, nie zawsze jednak mogły sprostać Demorionowi. Wziął się na sposób — przyznawano mu to z przykrością — nie atakował całymi eskadrami jak kiedyś. Na ciężkie i stosunkowo powolne statki rzucał pojedyncze, ale za to najszybsze i doskonale uzbrojone rakiety, sterowane przez automatycznych pilotów lub roboty, nie znające lęku. Błyskawiczna, szybka broń laserowa rozpruwała „pociągi towarowe" Telemetrii. Demorion, tak to przynajmniej wyglądało, zupełnie nie liczył się ze stratami, uporczywie torował sobie drogę do Adary II, gdzie spodziewał się znaleźć wszystkie tajemnice techniki falowej. Co gorsza, wszystko to wskazywało, że mimo poniesionej klęski odzyskuje dawne siły.

— Nie możemy pozbawiać ochrony rakiet transportowych, twój pomysł to czysta, romantyczna utopia, przepis na zbiorowe samobójstwo.

— A co w takim razie możemy? — spytał zaczepnie przywódca młodzieży Telemetrii.

— Dokonaliśmy odpowiednich badań — wyjaśniał spokojnie Formalhaut — jesteśmy niemal pewni, że to już ostatnia faza ataków Demoriona i jego robotów. Stracimy z pewnością jeszcze niejeden statek, ale nie dolecimy nadzy i bosi do Jedenastej.

— Proszę o dowody, deklaracji mamy już dosyć!

— Rakiety Demoriona muszą pokonywać za każdym razem coraz to większą przestrzeń, my przecież wciąż lecimy. Cała gospodarka naszego przeciwnika opiera się na wydobywaniu i przerabianiu surowców i to w odpowiednio zasobnym miejscu. Jest więc niejako stacjonarna. Planety posiadające niezbędne surowce nie zamienią się w pojazd kosmiczny, a przecież — powtarzam — my lecimy, oddalamy się. Ta właśnie odległość jest wrogiem Demoriona, a naszym sprzymierzeńcem. Rakiety tego dwunoga zbliżają się do kresu swoich możliwości.

Wypowiedź Formalhauta wywołała prawdziwą burzę protestów zwłaszcza pośród młodych zwolenników Tatenaka. To jest skrajny i niedopuszczalny pasywizm — krzyczano — oportunizm, tchórzostwo starszego pokolenia zwane ostrożnością, dość tego wyczekiwania na szczęśliwy los! W zdenerwowaniu, które zdawało się rosnąć, padały także zgoła nieparlamentarne uwagi, a nawet inwektywy. Głos zabrał Algenib.

— Obliczenia, czysto zresztą teoretyczne, którym nie odmawiamy logiki, mogą się jednak rozminąć z praktyką. My wciąż lecimy, a on wciąż atakuje! A jakąż mamy pewność, że Demorion nie rozbudował baz na trasie lotu do Jedenastej? Co tu w ogóle może być pewnego? Dzięki świetnemu pomysłowi Ageny dostał tęgiego łupnia, a jednak ocalał i ze zdumiewającą szybkością odbudowuje swoją potęgę! Cóż my wiemy nowego o rozwoju jego techniki? A może on jest już bliski wynalezienia sposobu na naszą osłonę falową?

Rozległy się brawa, młodzieży spodobała się wypowiedź dowódcy obrony. W każdym razie nie opowiadał się za czekaniem, aż przestrzeń pokona Demoriona, bo może on ją pokonać. —

— Co nam dowódca konkretnego proponuje? — pytał Tatenak.

— Nie wiem, co należałoby zaproponować w tej sytuacji, jeszcze nie wiem. W każdym razie jestem przeciwny biernemu oczekiwaniu.

Agena uniosła rękę do góry. Był to typowy znak istot dwunożnych, że chcą mówić. Wszyscy umilkli. Agenę lubiano i szanowano. W szlachetnej intencji służenia ładowi we Wszechświecie oddała Telemetrii nieocenione usługi zdradzając wiele tajemnic Demoriona. Wykazała nie tylko niezwykłą pomysłowość, ale i szaleńczą odwagę w walce z jego dywizjami robotów.

— Jest tylko jeden sposób na Demoriona. Wiedziałam o tym zawsze.., próbowałam innych sposobów — denerwowała się — ale widzę, że nie ma innego wyjścia. Wrócę do Demoriona, inaczej nie dolecicie spokojnie do Jedenastej.

Przez dłuższy czas nikt się nie odzywał. Nieoczekiwane oświadczenie Ageny odebrało zebranym głos, ale nie szacunek. Wszyscy bez wyjątku członkowie Rady zmienili swoje barwne płaszcze z zielonych, urzędowych i obowiązujących, podczas posiedzeń, na fioletowe, oznaczające najwyższe uznanie. Równocześnie rozległy się jeszcze pojedyncze, ale narastające głosy protestu. Nie wolno żądać aż takiej ofiary ze strony najwierniejszego przyjaciela! Do statków bojowych! Na Demoriona! — krzyczała młodzież — niech żyje Agena! Vindemiatrix z trudem przywrócił spokój.

— Pomysł Ageny — oświadczył spokojnie — jest znakomity! Proponuję go przyjąć.,

Podniósł się nieopisany tumult, to hańba, bezczelne nadużycie praw gościnności, ustąp wreszcie ze stanowiska stary tchórzu, młodzież Telemetrii nigdy nie odda Ageny Demorionowi, nic kosztem krzywdy drugiego — tak żeś nas uczył cyniku! Wrzawa rosła z każdą chwilą. Vindemiatrix uśmiechał się łagodnie do młodych członków Rady, tak w końcu czule, serdecznie, z taką ojcowską miłością w oczach, że ucichli nie wiedząc czemu.

— Proponuję przyjąć, ale z pewną zasadniczą poprawką, nie wyślemy przecież Ageny, lecz dubelta.

Stary, mądry i doświadczony Vindemiatrix z miejsca odzyskał zaufanie, jego wniosek przyjęto jednogłośnie. Technikę wytwarzania dubeltów znano na Telemetrii od dawna, nie przywiązywano jednakże do niej specjalnej wagi, nie były bowiem szczególnie potrzebne. Ale teraz?

Vindemiatrix zamknął posiedzenie Rady. Część członków odleciała małymi rakietkami do swoich statków, aby pełnić normalną służbę w gigantycznym konwoju, pędzącym w stronę zbawczej, jak wierzono, Jedenastej Galaktyki. Specjaliści zebrali się w Laboratorium Adary II. Sprawa nie była łatwa. Dubelt miał nie tylko sprawiać wrażenie żywej istoty, on musiał nią być, miał także wprowadzić czujnego z pewnością Demoriona w błąd. Zakodowanie konkretnej wiedzy nie nastręczało większych trudności, dubelt będzie wiedział tyle samo, co Agena, obsłuży bez kłopotu każde urządzenie, będzie się mył jak człowiek, czesał, perfumował jak kobieta, gotował z przyjemnością, sprzątał, śpiewał, grał na instrumentach, prowadził swobodne rozmowy na każdy temat, rozprawiał jak naukowiec i gaworzył bez większego sensu — to wszystko leżało w granicach możliwości specjalistów Telemetrii. Agena żądała jednak od dubelta znacznie więcej, inaczej nie spełni on zadania, nie odwiedzie Demoriona od ścigania radioteleków. Twierdziła uparcie, że dubletowi brak czegoś trudnego do określenia, brak mu pełnego człowieczeństwa. A cóż to takiego? — pytali specjaliści. Agena wyjaśniała — człowiek jest istotą rozumną, ale sprzeczną w swojej naturze, potrafi — na przykład — z uporem budować i z takim samym uporem niszczyć swoje własne dzieło, potrafi kochać i nienawidzieć, wykazuje żelazną konsekwencję w dążeniu do wyznaczonego sobie celu i równocześnie bardzo szybko zniechęca się, rezygnuje, bywa prawdziwą krynicą poświęceń i skrajnym zarazem egoistą, mówi chętnie o wolności, równości i braterstwie, równie jednak chętnie zamieni swojego bliźniego w niewolnika.

Obszerna charakterystyka człowieka, jego tak nieoczekiwanie sprzecznych postaw i zachowań, zupełnie nielogicznych z punktu widzenia uczonych Telemetrii, wywołała pewną konsternację. Jakże można coś takiego stworzyć? A kiedy Agena przedstawiła typowy model człowieka-kobiety, nawet wybitni specjaliści poczuli się bezradni. Raz słaba, a raz silna, wesoła i smutna bez żadnej istotnej przyczyny, zgodna i kłótliwa, ponętna i odrażająca, elegancka i wulgarna, czuła, oddana i bezwzględna, bezinteresowna i chytra ...nie, czegoś takiego nie da się stworzyć. Czy jest w ogóle możliwe istnienie tak pogmatwanych istot rozumnych? Ależ tak — upierała się Agena — taką istotą jest właśnie człowiek, a już z całą pewnością kobieta. Nic z tego nie będzie, nie ma z czego zrobić takiego zwariowanego egzemplarza.

— Sami widzicie, że człowieka nie da się zastąpić, — westchnęła ciężko Agena — Będę jednak musiała wybrać się do Demoriona osobiście.

— A może by tak — Formalhaut zdawał się myśleć głośno — a może by tak kierować zdalnie dubeltem? Agena będzie go śledziła na ekranie audiowizora i sterowała jego zachowaniami.

— Nic z tego nie będzie — sprzeciwił się profesor Altair — jeden z najbardziej znanych genetyków — nie dysponujemy aż tak doskonałymi urządzeniami Musielibyśmy zostawić w pobliżu kwatery Demoriona przynajmniej jeden z naszych najlepiej wyposażonych statków, umieścić w nim Agenę i specjalistów, a to ogromne ryzyko, trzeba bowiem założyć, że właśnie ten statek nie będzie, mógł liczyć na naszą pomoc, wcześniej czy później zostanie odkryty i zniszczony, a samo zdalne kierowanie nie zda egzaminu.

— Dlaczego nie zda?

— Dlatego, że wszystko dzieje się w czasie i przestrzeni. Może bym sterował przyszłym zachowaniem dubelta, ale nie bieżącym. Zanim dotrze do niego sygnał z poleceniem wywołania, powiedzmy, awantury, sposobny moment dawno minie. Proponuję inne rozwiązanie... — umilkł, nadszedł bowiem pilny meldunek. Algenib donosił prezydentowi Telemetrii, że kilkanaście statków zostało zaatakowanych przez niewidzialne roboty, które rozpruwają pancerze rakiet nie posiadających osłony falowej.

— Przygotujcie mi rakietę — powiedziała Agena — chciałabym jeszcze tylko pożegnać się z Arielem... i prosić o opiekę nad nim.

Niewidzialne roboty zwiastowały wielkie straty, a może nawet klęskę. Jakże się przed nimi bronić? Demorion był doskonałym fizyko-chemikiem, zdołał wyprodukować przezroczystą masę przypominającą nieco metalit. Ale nie owa przezroczystość była najistotniejsza, lecz niezwykłe zdolności akomodacyjne masy. Przybierała barwę każdego środowiska, w którym się znalazła, ginęła, stawała się powietrzem lub trawą, murem lub gazem.

Nadszedł następny meldunek, tym razem pomyślny. Obrona uruchomiła wykrywacze masy, które radziły sobie dobrze z ustaleniem położenia niewidzialnych robotów latających. Część z nich została już zniszczona, rozprute grzbiety i podbrzusza rakiet zdołano załatać. Wszyscy odetchnęli z ulgą, a profesor Altair mógł dokończyć swoją myśl.

— O ile dobrze wiem, udało nam się zgromadzić trochę ludzkiego materiału genetycznego z uczłowieczonych robotów, których zdołaliśmy obezwładnić i ująć. Ludzka idioplazma zawiera głównie kwas dezoksyrybonukleinowy i właśnie ten kwas jest nosicielem ludzkiego kodu genetycznego i sprawia, że powstaje fenomen nazywany życiem. Otóż myślę, że potrafimy bardzo szybko wyprodukować ten kwas.

— W gruncie rzeczy chodzi tylko o jednego dubelta — zauważył Formalhaut.

— Powiedzmy, że chodzi o trzy. Jeden może się nie udać, a jeden musi pozostać w rezerwie. Ile potrzebujecie na to czasu? — spytał Vindemiatrix.

— W ogóle nie potrzebujemy. Mamy już ten kwas!

— Co takiego? Macie? Mimo wyraźnego zakazu eksperymentów w tej dziedzinie?

— Panie prezydencie — profesor Altair zaśmiał się jak uczniak — jako naukowiec wie pan doskonale, że uczony powinien być wszystkiego ciekaw, powinien też nie tylko się dziwić, ale także szukać przyczyn zadziwienia, to są pana słowa!

— Bierzcie się do pracy! — polecił Vindemiatrix zupełnie udobruchany — a do sprawy zakazanych eksperymentów wrócimy w stosowniejszym momencie.

Zespół specjalistów raz jeszcze przebadał dokładnie Agenę. Wyliczono wszystkie jej cechy fizyczne, psychiczne, skłonności, nieoczekiwane reakcje. Agena odleciała do swojej rakiety, gdzie — jak zawsze — oczekiwał ją Ariel. Nie była w najlepszym nastroju. Cieszyła się z ocalenia, wierzyła, że Altair stworzy jej doskonałą kopię dysponując ludzką idioplazmą, ale czy ta druga Agena zdoła odwieść Demoriona od walki z radiotelekami? Tym ludem bez ziemi? Można to zakazać wilkowi polowania na owce? Zdecydowała się wrócić do Demoriona również i dlatego, że go dotąd nie zdołała pokonać, choć miała do dyspozycji całą potęgę moralną i techniczną Telemetrii do dyspozycji. Dręczyły ją wyrzuty sumienia. Miliony żywych istnień uśpiono w pośpiechu zostawiając im nikłą nadzieję szczęśliwego przebudzenia. Miliony, dla których nie starczyło miejsca ani pod ziemią, ani w statkach kosmicznych, rozstały się dobrowolnie z życiem. Wszyscy zostali zdezintegrowani, zamienili się w chmury przegnane wichrami w nieznane, miliony próbują odnaleźć galaktykę dobrej nadziei, jakąś arkadyjską planetę i giną po drodze.

Robot dyżurny przyjął sprawnie rakietę Ageny. Robot pilotujący wezwał ją do siebie i polecił beznamiętnie, aby czuwała przy wykrywaczu masy przez pewien czas. Statek posiadał co prawda osłonę falową, ale niewidzialne roboty latające dysponowały znacznie już silniejszymi miotaczami wiązek laserowych i mogły wyrządzić poważne szkody. Czuwała więc, póki nie wrócił z kąpieli regeneracyjnej robot wyspecjalizowany w wykrywaniu rozmaitych zagrożeń. Rozterki Ageny zdawały się szybko rosnąć. Oczywiście podziwiała idealnie demokratyczne społeczeństwo radioteleków, ale poczucie obcości tego świata wzrastało. Idealne, celowe wychowanie, bezbłędne kształcenie pokoleń dla określonych celów praktycznych, idealny podział pracy, wielki triumf rozumu kalkulującego nienagannie, idealne pracownie i laboratoria, fabryki, idealnie uczciwa i sprawiedliwa konstytucja — precyzyjna i jednoznaczna karta praw i obowiązków, idealna uczciwość powszechna. Ileż to razy myślała o tym, żeby zrobić jakieś głupstwo w tym idealnie uporządkowanym świecie — krzyczeć, śpiewać, tańczyć na publicznym placu, złamać przepisy ruchu pojazdów naziemnych, zbuntować się, wyłamać z obowiązujących konwencji, jeść o innej porze niż wszyscy, roześmiać się podczas uroczystości, podłożyć gdzieś nieszkodliwą, ale głośną petardę...

Ariela zastała w kabinie, którą oboje nazywali salonem. Stały tu meble nigdzie na Telemetrii nie spotykane, przystosowane do potrzeb istot dwunożnych — miękkie fotele, bujaki, tapczany. Na ścianach wisiały obrazy — dzieła Ariela. Malował miasta ludzi: strzeliste świątynie, pałace, dziwne pojazdy ciągnięte przez nieznane radiotelekom zwierzęta. Malował też łagodne, skąpane w złotym słońcu pejzaże: zielone lasy, kwietne, kolorowe łąki, na których tańczyły pary ludzi. Mężczyźni całowali ręce kobiet z niespotykanym szacunkiem i podziwem, pasterze przygrywali na prymitywnych instrumentach. Obrazy Ariela ciekawiły radioteleków, owszem, podziwiali kolory dnia i nocy, pór roku, ale to był dla nich obcy, nieznany świat, wzięty z jakiejś nieznanej planety. Przemawiały jednak do wyobraźni Ageny. Widziała ludzi, ich przede wszystkim — cieszących się i smutnych, pewnych siebie, zarozumiałych i skromnych, poetów deklamujących wiersze i rzemieślników tworzących arcydzieła z drzewa, marmuru i żelaza, a wszyscy nosili twarze Ariela. Widziała matki pochylone nad kołyskami dzieci, dziewczynki bawiące się lalkami i chłopców obrywających zakazane owoce w cudzych sadach. Nie był to może dosłownie jej świat, ale przecież bliski, bo ludzki.

Usiadła na fotelu. Ariel otworzył oczy.

— Jedziemy do raju, prawda Ageno?

— Tak, Arielu.

— To długa droga.

— Dojedziemy w końcu.

— W raju zostaniesz moją żoną, przyrzekłaś.

— Dotrzymam słowa.

— Napisałem nowy wiersz dla ciebie.

Wstał, odszedł kilka kroków, przymknął oczy, ręce wyciągnął w stronę Ageny i zaczął mówić ciepłym, melodyjnym głosem.

„Moje oczy są dla mego języka tłumaczem,
One objawiają miłość, co mi w sercu płacze!
Kiedyś, kiedy z naszych oczu spadło łez niemało,
Ja milczałem, lecz spojrzenie wszystko powiedziało.
Gdy mrugnęła na mnie ledwie pojąłem bez słowa,
Dłoń uniosłem — zrozumiałem czym jest dłoni mowa.
Więc oczyma wszystko sobie powiadamy wzajem,
I milczymy. Serce sercu wszystko niech wyznaje."

Wzruszona ale i przerażona Agena podbiegła do Ariela. Przytuliła go do siebie i pocałowała w czoło.

— Mój ty kochany i biedny!

— Dlaczego biedny... mam przecież ciebie!

— Tak mi się powiedziało ...nie wiem czemu.

Wiedziała jednak dobrze. Wystarczyło tylko przyjrzeć się Arielowi uważniej: blada, ziemista twarz, rumieńce coraz rzadsze, niebieskie oczy mocno podsinione wpadały coraz głębiej w czaszkę, pierś zapadnięta, mięśnie rąk i nóg wątłe jak u dziecka. Ariel gasł w oczach, ginął pozbawiony ruchu, naturalnego powietrza lasów i pól. Jakże silny i brutalny Demorion mógł stworzyć tak delikatną istotę? Zadawała sobie niejeden raz to pytanie i pytaniem odpowiadała — jakże mógł stworzyć ją — silną i wytrzymałą, mądrzejszą od twórcy? Nie chciał takiego właśnie Ariela i nie chciał takiej Ageny... wciąż jeszcze nie zbadana jest ta krótka chwila, kiedy łączą się mikroskopijne drobinki, niedostrzegalne prawie, ale już żywe, kiedy się zespalają i rosną aż powstaje na koniec człowiek, istota podobna do wszystkich i do nikogo równocześnie niepodobna.

— Zaśnij teraz — pogłaskała blade policzki Ariela.

— A obudzisz mnie przed bramą raju?

— Bądź spokojny, oboje przekroczymy próg nieba.

Zamknął posłusznie oczy. Agena zamyśliła się. Czy doleci żywy do Jedenastej Galaktyki? Wątpliwe. Ariel pochodził chyba z jakiejś odległej, ale błogosławionej epoki, która żyła sztuką — poezją i rzeźbą, muzyką, malarstwem i architekturą. Miał dobrze zakodowane w pamięci jakieś stare i sławne miasto, w którym przemawiały wieki ludzkiego dorobku. Nazywał je wiecznym miastem. Leżało na siedmiu wzgórzach, przeglądało się w rzece, a jego ruiny, żywe, zamieszkałe pałace, muzea i ruchliwe place, milczące cmentarze sięgające dalekich antenatów, kościoły otwarte dla wiernych — jak słoje w tysiącletnim, a może i starszym dębie — ukazywały twórczą pracę pokoleń. Ale teraz Ariel umiera, nie potrafi, nie może przystosować się do świata radioteleków, opartego na rozumie, odchodzi zupełnie nieświadomy walki na śmierć i życie, która toczy się na jego nie widzących oczach. Poetycka fantazja Ariela wszystko przeinaczyła: nuklearne wybuchy zamieniła w sztuczne ognie i zabawowe fajerwerki, białe, srebrne statki międzygwiezdne w skrzydła aniołów pędzących wraz z nim do upragnionego raju. Zostanie sama. Czy jednak to konieczne? Czy możliwe jest życie człowieka bez drugiego, bez innych ludzi? Czy nie lepiej już skończyć ze sobą?

Robot zawiadujący łącznością przekazał dwa ważne meldunki. Dubelt, jej wierna kopia już odleciała. I nie jest to mechanicznie sporządzony dubelt, ale żywy, niemal samodzielnie myślący i działający mutant. Drugi meldunek zawiadamiał, że odnalazła się „Adara". Właśnie odebrano pierwsze, bezpośrednie sygnały.

(Fragment powieści „Dzieci kosmosu", która ukaże się nakładem łódzkiego oddziału KAW).

1

Felieton pesymistyczny

Taryfikator

Szanowny Panie Redaktorze!

W pierwszych słowach swego listu chciałbym Pana, Szacowny Zespół i Drogich Czytelników przeprosić za długą nieobecność na tak zwanych łamach i zapewnić, że — jeśli tylko godnym się okażę — pisywać będę teraz nieco częściej. Niezawiniony bynajmniej przeze mnie, faktycznie przydługi antrakt, spowodowany został koniecznym — jak tłumaczono — wysłaniem mnie na dodatkową, profilaktyczną kurację do sanatorium w B. Z zaostrzonym reżimem, niestety. Wysłałem ja stamtąd bodaj trzy listy, ale zapewne pod wpływem nowych doznań i zmiany leków były one, delikatnie mówiąc, niecenzuralne. A szkoda, bo jakem Życiowy, poznałem tam niektóre, całkiem mi nieznane oblicza naszej szarej rzeczywistości.

Szybko bowiem okazało się, że całkiem jestem przydatny i nie taki psychiczny jakiego mnie malują. Mają oni w B. osobny pawilon dla pacjentów, którzy z telefonami zadarli i z rozmaitych przyczyn na przymusowym leczeniu się znaleźli. Klientów przybywa, bo i central coraz więcej, więc dobudowano nowe skrzydło do pawilonu. Gdy na kolejnym obchodzie stwierdzono, żem facet zręczny w placach i wygadany, dostałem się w nagrodę do ekipy, która akurat materiały budowlane przywieźć miała. Pomocy nie odmówiłem, zawsze to coś nowego, a nos mi mówił, że będzie bardzo ciekawie. I było.

Furgonetką z przyczepą zajechaliśmy do magazynów, (a wszystkie formalności były już załatwione) — po szkło okienne. Godzina była południowa, ale jeszcze dobrze przed trzynastą. Magazynier z niechęcią obejrzał nasze faktury.

— Nie ma szkła — oznajmił krótko.

— A to to co? — nie zrażony kierowca wskazał na zalegające plac palety.

— One mają po minimum 80 metrów kwadratowych, wy chcecie tylko 50 metrów, nie wolno palet rozbierać — po krótkim monologu facet w berecie wykonał w tył zwrot. Ale mój kierowca to był człowiek dzisiejszy, a nie jakaś niezguła.

— Moment, szefie, mam tu niepotrzebne dwie stówy i paczkę porządnych „carmenów"... — rzucił od niechcenia.

— Jasiu! — magazynier zatarł rączki i wołał już następnego przyjemniaczka na wózku widlastym jeżdżącego. — Gdzie masz tę paletkę, co nam się z „jelcza" spier..., znaczy spadła wczoraj?

— Pod brezentem szefie, tam w rogu — padła odpowiedź.

— No to kochani, przebierzecie sobie, do roboty — szef wskazał na brezentową pryzmę i z przyjemnością zakurzył „carmena". — O, ale widzę, że pustej palety nie ma, nic z tego nie będzie...

Teraz ja błysnąłem refleksem i w trzech susach dopadłem gościa na widlaku.

— Panie Jasiu, „Waryński" panu wypadł — wepchnąłem mu banknot do kieszeni — paletka by się nie znalazła?

Po chwili była paleta, było już szkło, tylko ładować nie miał kto. Kierowca uspokoił mnie gestem ręki.

— Chłopaki, pomoglibyście? — to było do trzech nygusów siedzących opodal.

— Coś pan chory? Szkło? Ręce se potniemy!

Kierowca sięgnął do kabiny, błysnęło szkło butelki. Po kwadransie wyjeżdżaliśmy z paletą szkła, przepisowo ułożonego, zabezpieczonego, spiętego metalowymi taśmami.

Pan Stasio uśmiechał się zza kierownicy.

— Krótko pana znam, nie wiedziałem czyś pan swojak, czy jakaś podpucha. Ja im na tę budowę wszystkie materiały załatwiam i nie zdarzyło się bym czegoś nie przywiózł. Pojeździsz pan, to kawał życia zobaczysz. Wczoraj załatwiłem porządną papę na dzianinie, zamiast zwykłej smołówki przedwczoraj cement i płytki na podłogę. Wszystko można, trzeba tylko znać taryfikator.

— A jaki obowiązuje aktualnie? — rzuciłem nieśmiało.

— Przelicznik jest następujący: bańka zamiast dwóch tysięcy złotych.

— To złotówka już tak nisko spadła?

— Nie o to biega, ale kupić wódeczkę to dla nich spory kłopot. Przez bramę przejść trzeba, do sklepu drałować w służbowym ubranku, no i ta nieszczęsna trzynasta. A tu mają na miejscu. Bo cement strasznie gardło wysusza...

Budowa pawilonu szła raźno, wiele razy jeździłem jeszcze z panem Stasiem i rzeczywiście, umiał on wszystko załatwić, nawet gwoździe-papiaki, które też są rarytasem. Końca budowy nie doczekałem i przecięcia wstęgi takoż. Stan mój uległ radykalnej poprawie i musiałem wracać do domu, to znaczy do starego, dobrego sanatorium w P., do poczciwego „Łysola" i przełożonej pielęgniarek, uroczej siostry Halinki. Od niej to dowiedziałem się o rewelacyjnym przebiegu wyborów „Miss Natura Pawilonu C", czyli najpiękniejszej z naszych psychicznych ekshibicjonistek, co postaram się zrelacjonować w którymś z najbliższych listów. Magister B., jak się okazało, maczał palce w jednym z ostatnich naszych rekordów światowych w skokach. Chodzi oczywiście o cła, przede wszystkim na samochody.

A na zakończenie maleńka całkiem anegdotka. W drodze do domu konwój nasz zatrzymał się w średniej klasy restauracji na obiad. tamże w szatni byłem świadkiem ładnej scenki. Gustownie ubrany młodzian nabywał paczkę krajowych „Marlboro". Położył tysiąc na ladzie, rzucając sakramentalne „Reszta dla pana". Szatniarz skłonił się bardzo nisko, zręcznie wpuszczając banknot do szuflady.

— No i gdzie moje pieniądze?! — warknął po chwili kupujący.

— No mówił pan, że reszta dla mnie...

— Mówiłem, że reszta dla pana, a kto tu jest panem?!...

STEFAN ŻYCIOWY

2

Spojrzenie znad szachownicy

Z czym zasiąść do tej gry?

1.

Jeżeli mamy na serio przystąpić do GRY W MIESZKANIA, nie możemy rozpoczynać jej z pustymi rękoma. Dziecko wie, że jeżeli ktoś zasiądzie do pokera mając tylko trochę pieniędzy w kieszeni, zostawi te trochę przy stole i dołoży jeszcze do interesu własne, osobiste portki, a partnerzy będą w dodatku wybrzydzać, że są przetarte na siedzeniu.

Można powiedzieć: ba, poker, gra hazardowa i w ogóle niezbyt ładna. Nie odpowiada wam poker, mogą być szachy. Dajcie mistrzowi świata parę tylko pionków i figur, zaś po mojej stronie ustawcie komplet bierek, a zrobię z nim co tylko będę chciał i nawet powiem, w którym rogu dam mu mata. Co innego, jeżeli zagramy na równi, wówczas on mnie ogra.

2.

Otóż władze miasta — każdego miasta, nie jednej z osobna — przecież — są w tej paskudnej sytuacji, że nie mają czym grać po prostu. Nie dość, że budownictwo nie nadąża ale istniejąca — jak to się ładnie mówi — substancja mieszkaniowa bynajmniej nie jest racjonalnie wykorzystana.

Kto był mądry i miał pieniądze, dawno już kupił mieszkanie i teraz się w kułak śmieje. Kto był tak mądry, że aż ćwany, no i miał pieniędzy więcej, kupił dwa mieszkania — lekko tylko naruszając przepisy — potem jedno sprzedał, a to drugie ma za darmo. Wprawdzie sieć przepisów ma dziś znacznie już węższe oczka, ale bystre, drapieżne ryby od dawna wesoło buszują po drugiej stronie, w sieci zaś utykają co najwyżej drobne, niezbyt przezorne płotki.

Nie oszukujmy się bowiem: pomysł ze sprzedażą kwaterunkowych mieszkań po bardzo początkowo niskich cenach, wzbogacił przede wszystkim tych, którzy już pieniądze mieli, pozostałych stawiając w niezbyt korzystnej sytuacji. Dziś i za zamianę trzeba przecież płacić, a w wielkich, mało ekonomicznych, częściowo pozbawionych wygód landarach w starym budownictwie mieszkają przede wszystkim ludzie, którzy płacić nie mają z czego

3.

Pierwszym ruchem w grze musi być tedy wznowienie budownictwa komunalnego. Już to się robi, choć w ograniczonym zakresie, zawsze będzie to jednak kropla w morzu potrzeb. Rozdamy te mieszkania w pełnym blasku prawa najbardziej potrzebującym i znów zostaniemy ze stertą nie załatwionych podań.

Dlatego — powiem tu rzecz niezbyt popularną — zasady gry trzeba raz jeszcze zmienić. Oddajmy te mieszkania, ale za coś, tak aby pozostało pole manewru. Mniejsze, ale z ogrzewaniem centralnym, za większe, ale bez centralnego. Pokój z kuchnią w nowych blokach, za trzy pokoje w starym budownictwie. Dwa razy po pokoju z kuchnią za pięć pokoi kwaterunkowych, w których z wielkim krzykiem mieszkają dwie osoby, każda z ważnym przydziałem. No i tak dalej, i tak dalej, zawsze z myślą, aby kwaterunek powiększał zasoby mieszkań stojących do jego dyspozycji.

Nie będzie to do końca sprawiedliwe, sprawiedliwość dość trudno odmierzać jednak aptekarską wagą. Rodzina z dziećmi gnieździ się w jednym pokoju i zrozumiałe, że marzy się jej przyzwoite mieszkanie w blokach. A tymczasem mieszkanie to dostaje starsze, bezdzietne małżeństwo, co wywołuje oburzenie i protesty. No tak, ale w przeciwnym razie małżeństwo to mieszkałoby gdzie mieszka, dajmy na to w trzech dużych pokojach właśnie w starym budownictwie. Mieszkanie w blokach poprawi sytuację bezdzietnego małżeństwa, ale rodzina z dziećmi też jakąś przestrzeń życiową zyska. Wszyscy pójdą o mały krok do przodu, a lepszy mały krok, niż bezradne dreptanie w miejscu.

No tak, ale tu dochodzimy do momentu najtrudniejszego, ktoś bowiem wszystkie te decyzje będzie musiał po męsku podjąć.

4.

Smutne doświadczenia lat minionych, kiedy to niektórzy prominenci — dawno już pozbawieni stanowisk, wydaleni z partii, surowo ukarani — szarogęsili się na swoim podwórku myśląc głównie o kumplach i pociotkach, kazały nam wprowadzić szczegółowe przepisy, powołać liczne komisje społeczne, stworzyć cały system zabezpieczeń

No to zgoda, wydaje mi się jednak, że bardziej niż przepisy trzeba zmieniać ludzi, wówczas, oczywiście, gdy zawodzą. Szef kwaterunku, naczelnik dzielnicy, prezydent miasta czy wojewoda muszą mieć po prostu prawo wydać decyzję indywidualną, zwłaszcza w nietypowych sytuacjach. Nie przez telefon, nie na korytarzu, lecz na piśmie, jawną, ze zwięzłą — podlegającą sprawdzeniu — motywacją.

Różne mogą być okoliczności, w których taka decyzja jest niezbędna. Niekiedy może służyć właśnie odzyskaniu dużego mieszkania, kiedy indziej — pozyskaniu specjalisty, który jest miastu bezwzględnie potrzebny. Przypuśćmy, że jest to chirurg rzadkiej specjalności, którego akurat zabrakło No i co, każemy mu czekać w kolejce do spółdzielczego mieszkania lat dziesięć czy piętnaście, a przez ten czas chorzy niechaj radzą sobie, jak potrafią?

GRA W MIESZKANIA wymaga zdecydowania i odwagi, nie podjąć jej, znaczy jednak przegrać. Tymczasem przegrywamy już od lat wielu i to bynajmniej nie podejmując walki.

JERZY P.

3

Nagle zastępstwo

Ślub na Wawelu

Bogda Madej na urlopie... a ja akurat chcę, co nieco o sporcie, a przynajmniej o sportowcach. Jak okazja. Tyle, że muszę się śpieszyć — piszę ten felieton w redakcji, zamknąłem drzwi, bo w sąsiednim pokoju kłócą się zawzięcie dwie baby: Rezerwowa i Rezerwowa II. Kłócą się oczywiście o to, która będzie pisała o sporcie pod nieobecność Bogdy. Jak znam życie wygra Rezerwowa II — babsztyl kuty na cztery nogi, stara, doświadczona wyga redakcyjna. Wykołuje tę głupiutką Rezerwową... Zresztą, wsio rawno, obydwie znają się na sporcie jak ja na astronomii. A ja tymczasem szybciutko zaniosę tekst szefowi i z kolei wykołuję obydwie baby, co Bogdzie do pięt nie dorastają.

Tak na marginesie, to skąd u kobiety takie zainteresowanie sportem? Między nami mówiąc — akurat jej nie ma, może nie przeczyta! — o jej płci też różnie mówią... Podobno kiedy była jeszcze czynną zawodniczką coś przeholowała z „koksem", z jakimiś hormonami czy czymś tam. Teraz na przykład pojechała na ryby. Widział to kto? Baba z wędką!

Wracajmy do naszych baranów, czyli do sportowców. Niedawno pewien mój znajomy dziwił się bardzo, dlaczego piłkarstwem Bułgarii zajmują się tam najwyższe władze partyjne. A ja sądzę, że nie ma w tym żadnej przesady: piłka nożna jest sprawą niesłychanie ważną, wyzwala ogromne społeczne emocje, jest chyba największym biznesem w dziedzinie masowej rozrywki itd. Zresztą nie tylko w Bułgarii interesują się nią najwyższe władze. Za naszą zachodnią miedzą mieszka naród, który jest potęgą w sporcie, zarówno masowym jak wyczynowym. Samo się to nie zrobiło. Potrzebne były wielkie nakłady finansowe, potrzebne były określone posunięcia prawno-administracyjne, potrzebne były także odpowiednio wysokiego szczebla decyzji, żeby ten poziom osiągnąć. Zresztą znane było np. osobiste zainteresowanie sprawami sportu, a piłki nożnej w szczególności, prezydenta i szefa partii Waltera Ulbrichta.

A może i u nas sytuacja dojrzała do tego, żeby sprawami sportu zajęło się kierownictwo partii? Coś się bowiem w tej dziedzinie niedobrego robi. Te transfery, te miliony wędrujące z klubu do klubu, ta szajba, której dostają nasze pieszczochy od kopanej piłki. Słyszałem niedawno w radiu skargi trenera czy działacza, którego pupil zażyczył sobie, ni mniej ni więcej, tylko żeby mu załatwili uroczystość ślubną na Wawelu!

Jeśli to działo się w Krakowie, to mogę zrozumieć, skąd ten absurdalny pomysł. Jeśli natomiast gdzie indziej, to sprawa jest tajemnicza: nie posądzam przecież przeciętnego kopacza piłki, posiadacza zdobytego zaocznie dyplomu szkoły podstawowej, żeby nazwa „Wawel" kojarzyła mu się z czymkolwiek, poza wytwórnią czekoladek. Ktoś mu ten pomysł podsunął, sam nie wpadłby na to. Żeby coś takiego wymyślić, trzeba wykonać jednak pewną pracę myślową! Może działacze konkurencyjnego klubu zaszczepili taki niezdrowy, dekadencki jad w niewinną duszę i nie skalaną spekulatywnym myśleniem mózgownicę chłoptasia? Jeszcze — nie daj Bóg! — książki zacznie czytać i zaniedba się w treningu!

A tu znowu Władysław Kozakiewicz wykonał wielki skok... Nie, o Kozakiewiczu nie będę pisał, bo już pisali wszyscy. Szkoda papieru i atramentu. Mam propozycję: skończmy z tym tematem. Pożegnajmy naszego kawalera Orderu Odrodzenia szczerym, staropolskim gestem, który od kilku lat nosi nazwę „gestu Kozakiewicza". Myślę, że odnośne władze też ten gest znają i przypomną go sobie, gdyby — powiedzmy, po latach — pan Władysław zechciał nam zrobić tę łaskę i wrócić...

Dużo ciekawszy niż casus Kozakiewicza jest, dla mnie przynajmniej, casus Motor — Lublin. Dwudziestu paru chłopaczków, bokserów — juniorów zrobiło sobie źródło dodatkowych dochodów z praktycznego wykorzystania tego, czego się nauczyli na treningach. Napadali spokojnych ludzi, tłukli i grabili. A teraz jest szum — przecież była w klubie działalność wychowawcza!

Panowie, do kogo ta mowa? Była działalność wychowawcza, zamknięta w klasycznym trójkącie: trening, sparring, mecz. I tyle. Zjem własną brodę, jeśli działo się jeszcze coś poza tym... I nie mam pretensji do ich trenera. Tak to jest w całej Polsce, to tajemnica poliszynela... Do szkoleniowca mam pretensje o co innego. O poziom. Chłopcy nie radzili sobie pięściami! Musieli używać kastetów i takich tam japońskich cepów pt. nun-czaku. Wstyd, panie trenerze...

ANDRZEJ KAROL

4

Sport

Powroty

Wydaje się, że jesień chce nas zaskoczyć niezapowiedzianą gospodarską wizytą, znacznie wcześniej niż zaplanowano w komisjach. Zwierzęta dostały podobno jakiś „cynk", bo nerwowo porządkują obejścia, nakładają barwy ochronne, a te bardziej płochliwe biorą nogi za pas. Świstaki ziewają bezwstydnie, dwa ostatnie niedźwiedzie wróciły na czeską stronę, żurawie minęły przejście graniczne i wymknęły się spod kontroli radarowej. Tylko urzędnicy oraz futboliści mają w nosie nadciągające mrozy. Ci pierwsi w upalne lipcowe noce wydumali takie cła na tureckie kożuchy, że albo nie przewidują nadejścia zimy, albo pracują nad nową taryfą opartą na centymetrze sześciennym śniegu, tak żeby paskudnej zimie raz na zawsze odechciało się prywatnego importu wody, której po ostatnich ulewach mamy przecież sporo. Futboliści natomiast, ogólnie rzecz biorąc, wracają na zimę w rodzinne strony — i nie tylko.

Najpierw cichutko wróciło dwóch graczy mocno wyzyskanych przez kapitalistów w niepłych krajach i zapragnęło resztki swych sił oddać bezdewizowym kibicom. Bardzo się z tych powrotów ucieszyli zwłaszcza zawodnicy młodzi, bo przyjemnie jest siedzieć na ławce rezerwowych i zdobywać doświadczenie, patrząc na barce oldbojów. Wszak juniorzy to ludek wyrozumiały, więc nie pozwoli, by do cna wyzyskani, bezrobotni gastarbeiterzy żebrali w opiece społecznej o skromny zasiłek. Niech sobie starowinki zarobią troszkę grosika.

Jeszcze pierwsza fala „imigrantów" brała lekcje, jak rozszyfrować system kartkowy oraz jak zdobyć paliwo do kadilaków, a tu rozdzwoniły się telefony w domach ligowych trenerów. Z dalekich ciepłych krajów dobiegała łamana polszczyzna, gorąco zapewniająca, że wszędzie dobrze, ale..., że to zaszczyt i obowiązek że barwy klubowe i w ogóle. Bardzo się znowu ucieszyli wszyscy — zwłaszcza juniorzy, bo oto ich miejsce w zespole zajmią ci, których podziwiali leżąc w kołysce. Nikt przeto nie protestował, głównie z tej prostej przyczyny, iż powracający nic nie kosztują w tzw. transferowych złotówkach, choć kilka lat temu upłynniono ich za mniej więcej 62 dolary i trzy pary butów niewiadomego pochodzenia. Zresztą dolar mocno stracił na wartości, bo dolar to zaledwie jedno „S", do tego dwukrotnie przekreślone, a my dorobiliśmy się trzech „S".

Trudno wyrokować czy przedzimowe powroty futbolistów mają związek wyłącznie ze zmianami klimatu przepowiadanymi przez najstarszych górali. Dopóki nie wróci Lato (Grzegorz), uchylam się od odpowiedzi. Sądzę jednak, że przyczyna zjazdu weteranów leży w nowym systemie emerytalnym, nakazującym obliczanie świadczeń emerytalnych od średnich dochodów z trzech ostatnich lat pracy — a nie ostatniego roku, jak było dotychczas. Drakoński ów przepis zmusza biednych sterany życiem boiskowych oldbojów do aż trzech lat mordęgi na krajowej trawie, żeby zasłużyć na skromną emeryturkę. I jak tu człowiekowi, nie pomóc, nie dać mu pograć w lidze, skoro wiadomo, że kiedy wysiądą nogi, inne latami nie używane organy, z tej przyczyny zanikające, nowego źródła utrzymania nie zagwarantują A wy, starzejący się juniorzy musicie to zrozumieć!

Zapewne z tego też powodu wracają do reprezentacji nazwiska znane w latach siedemdziesiątych. Panowie ci nielichy szmat czasu przebimbali, dając wiarę telewizji, że „piłkarska kadra czeka", więc nie warto gonić jej codziennym treningowym wysiłkiem. Tymczasem kto inny nauczył się strzelać bramki w lidze, otarł się o reprezentację, ale... No właśnie, co stare nazwiska, to piękne wspomnienia. Na przykład ci doświadczeni mają paszporty, mają odbytą służbę wojskową (niekoniecznie w klubie o nazwie „Czarni"), mogą przeto wyskoczyć na towarzyski mecz do Szwecji. Ale w Szwecji niestety, mimo znakomicie rozwiniętego tam systemu opieki społecznej, ma miejsce kompletny brak szacunku dla weteranów sportu. Wyrośnięte nastolatki jakoś nie chcą przestraszyć się sławy trzeciej drużyny świata, bawią się z nią w kotka i myszkę choć widzą przecież, że pan Iwan ma krótki oddech, a pan Buncol, etatowo zatrudniony w zespole rywali, bardzo nie lubi grać w piłkę kopaną i bieganie go męczy. Gdzieś z trybun dobiega tubalny śmiech niejakiego Franza Beckenbauera, który ma pełne prawo do śmiechu, albowiem obok zużytych nieco nóg posiada również głowę na karku. Ta właśnie głowa pozwoliła mu na powrót do reprezentacji narodowej — z tą różnicą, że w roli trenera. „Kaiser Franz" jest rzadkim przypadkiem byłego kopacza, który w wieku lat czterdziestu nie musi snuć się po boisku, odbierając chleb młodszym i zdolniejszym, bo potrafi robić coś jeszcze — czego życzę naszym dzielnym „chłopcom" powracającym z zagranicy.

REZERWOWA II

Wielki las

(10)

ZBIGNIEW NIENACKI

Wrócił do sieni, zamknął starannie drzwi. Przez uchylone okno pokoju jeszcze przez jakiś czas dochodził go gniewny bełkot i głośne wykrzykiwania Kuleszy. Potem te wykrzykiwania stawały się cichsze oddalały się.

Maryn poczuł głód. Wciągnął na siebie spodnie od piżamy i zajrzał do kuchni. Na pokrytym ceratą stole stały dwa talerze ze sztućcami taca z pokrajanym chlebem i garnek pełen zupy ziemniaczanej z dużymi skwarkami. Garnek był jeszcze gorący. Wystarczyło sięgnąć do niego łyżka wazowa i nalać sobie zupy do talerza. Zrobił to, usiadł przy stole i wolno jedząc zaczął myśleć o kobiecie, którą noc w noc od zmierzchu aż do świtu załatwiał nad jego głową leśniczy Kulesza, a potem aż trzech mężczyzn musiało ją trzymać, żeby jej własny mąż mógł w nią wejść. Przypomniał też sobie jej obnażone ciało, gdy się szarpała, przyciskając łokciami duże piersi. Miała ładnie zarysowany brzuch oraz wściekłe oczy schwytanego w potrzask zwierzęcia. Maryn nie znał się na seksie i kobietach tak jak Ivo Bunder, ale tego się domyślał, że Kuleszy będzie trudno ujarzmić tę dziką bestię, która tkwiła w jego żonie.

Rozdział czwarty

Nadleśniczy Janusz Masłocha złamał pieczęcie na pokrywie tekturowej tuby i wyciągnął z niej przysłaną mu przez Wydział Geodezji i Kartografii uniwersytetu jednego z wiekszych miast kraju — mapę zasadniczą półwysepu Wilczy Róg. Rozwinął ją, popatrzył i znowu doznał uczucia, że chyba nigdy już nie danym mu będzie żyć bez kłamstwa. Na tej mapie brakowało kilku szczegółów, jak choćby kupy ogromnych głazów po dawnym domu Keilów, małego bagienka tuż koło ich rodzinnego cmentarzyka i w ogóle nie było tego cmentarzyka. Trzy mapy Wilczego Rogu miał Masłocha w swoim seifie i w każdej kryło się większe lub mniejsze kłamstwo. Największe znajdował na mapie glebowo-siedliskowej; badanie gleby przeprowadzono byle jak, bez dokładnego rozeznania stanu i głębokości zalegania próchnicy. Miał od razu złe przeczucia, gdy trzy lata temu zobaczył młodego docenta z gromadką studentek i namiotami, które rozstawili na Wilczym Rogu. Robotnicy leśni mówili mu, że dupczył dziewczyny po kolei, one rywalizowały między sobą i były o siebie zazdrosne. Nocami nawet przez jezioro dochodziły stamtąd jakieś wrzaski. A potem nadesłano mapę pełną kłamstw w glebie — on, nadleśniczy Janusz Masłocha chciał tę mapę wyrzucić do kosza, ale przeciwstawiła się temu docent Romanikowa z Instytutu Leśnictwa, powołując się na autorytet uczelni, która mapę sporządziła. Romanikową zaś nakłonili do zakładania plantacji nasiennej na Wilczym Rogu, zastępca Masłochy, nadleśniczy Wojtczak — stary głupiec przypominający rozwścieczonego bezzębnego doga. Przez tyle lat ten człowiek bez żadnego wykształcenia leśnego wciąż awansował aż do stanowiska nadleśniczego, ponieważ podstawiał kozły i jelenie pod lufy sztucerów przeróżnych ministrów i pułkowników, że teraz pozbyć się go nie było sposobu. Zresztą Masłosze też był wygodny jako zastępca, gdyż z młodszymi i wykształconymi groziły kłopoty; nie obeszłoby się bez rywalizacji i walki o stanowisko. To Wojtczak doradził Romanikowej półwysep Wilczy Róg, bo znowu chciał, aby tu przyjeżdżali różni ważni ludzie, a on mógł im towarzyszyć, pokazywać, objaśniać. Wojtczak tłumaczył Romanikowej, że przez wodę nasiona sosny z lasu nie przeleca i nie zapylą sosen nasiennych. Od strony zaś lądu u nasady półwyspu była szeroka łąka — też dobra strefa ochronna plantacji. Ministerstwo zatwierdziło projekt. Masłocha nie powiedział „nie", tylko „tak" — potem był rad z tego, jeździł oglądać plantacje do Szwecji, Szwajcarii, Francji. Masłocha również chciał kontaktu z ludźmi z Ministerstwa, dzieci mu dorastały, wabiła go myśl o przeniesieniu się do jakiegoś większego miasta. Ale nie na tym polegało zło, że Wojtczak i Masłocha mieli ambicje, a Romanikowa była po prostu głupia, choć nosiła tytuł docenta. Całą sprawę spaprał ten docencik i jego dziewuchy. Trochę spermy i śluzu z pochwy, odrobina niedbalstwa i beztroski — od tego zaczyna się wszystko walić, nawet największy i najmadrzej przemyślany gmach. Wycieli brzezinę i dwudziestoletnie sosny, które kiedyś posadzono na Wilczym Rogu, ogołocono teren z najmniejszego drzewka i krzaka, dziesiątki razy przeorano ziemię, stalerzowano ją, zabronowano, oblano środkami chwastobójczymi. Aż przyszło suche wietrzne lato i choć Masłocha radził Romanikowej, żeby półwysep obsiać szlachetną trawą i w ten sposób zatrzymać erozję gleby, wiatr rozniósł próchnicę po jeziorze, wyrzuty łysiny szarego piasku. Romanikowa postawiła jednak na swoim. Na plantacjach jakie oglądali za granicą nic nie rosło między rzędami drzew nasiennych, od wczesnej wiosny aż do późnej jesieni między sadzonkami jeździły kultywatory i wyrywały każde źdźbło trawy, każdy chwaścik.

Przed tygodniem Masłocha rozkazał Kuleszy, aby na co większe łysiny piasku nawiózł trochę torfu i przykrył golizny — jutro miała przyjechać jakaś komisja z Romanikową na czele. A za tydzień zacznie się sadzenie drzew przemyślnie szczepionych. I znowu ta mapa zasadnicza, przysłana za późno i niedbale zrobiona. „Jakaś pinda, jakiś gówniarz ją wykreślał — myślał Masłocha. — Nieważne mu było bagienko, kupa kamieni, stary cmentarzyk. Czego ich ucza, tych skurwysynów".

Zapalił papierosa, rozsiadł się za swoim biurkiem, krzyknął przez drzwi do sekretarki, żeby mu przysłała Wojtczaka. Stary zjawił się natychmiast i jak zwykle coś seplenił (że też nie stać go było na wprawienie zębów). Zaczął od plotki, że od Kuleszy uciekła żona i młody inżynier pije wódkę już trzeci dzień. Masłocha nie chciał tego słuchać i rzucił mu rulon mapy półwyspu.

— Jedź na plantację i sprawdź, czy wszystko jest zgodne z mapą — rozkazał. — Na miejscu są jeszcze sprzęt i ludzie. Jutro przyjeżdża komisja.

— Już tam jadę — oświadczył posłusznie Wojtczak i po chwili pod oknem zawarczał jego terenowy samochód.

A Masłosze zrobiło się żal Wilczego Rogu. Na krótką chwilę ocknęło się w nim coś człowieczego. Wspominał, że było to najpiękniejsze miejsce nad jeziorem, porośnięty brzezina półwysep z piaszczystą ostrogą, po której przelewały się fale. Lubił się tam kąpać w upalne dni, potem siadywał w cieniu czterech klonów, obrastających po rogach mały cmentarz z nieczytelnymi napisami na kamiennych nagrobkach. Od ilu lat już tam nie jeździł? No nie, jeździł tam ostatnio wiele razy. Koło piaszczystej ostrogi wbito pal z napisem „Zakaz dobijania i biwakowania", półwysep ogrodzono wysoką siatką. Dziesiątki milionów złotych trzeba było przecież jakoś strzec.

Wojtczak całą drogę — dwadzieścia kilometrów przez lasy — seplenił kierowcy o Kuleszy, który trzeci dzień chla wódkę z powodu ucieczki żony. „Kulwa, Kulwa" — powtarzał, a kierowca potakująco kiwał głową. Przed laty stary dog zmuszał pogróżkami lub obietnicą przyznania lepszej deputatowej działki — do współżycia ze sobą co młodsze żony robotników leśnych, gajowych, a nawet leśników. Naciął się na starego Kondradta, któremu zaczął podmacywać młodą żonę. Kondradt wziął strzelbę, złożył się i Wojtczak uciekł z jego domu gubiąc po drodze czapkę. Ale z Kondradtem nie było żartów, podobno spowodował śmiertelny wypadek kochanka swojej żony i nikt nie mógł Wojtczakowi zaręczyć, że naprawdę nie strzeli. Od czasu tej ucieczki Wojtczak nienawidził Kondradta, ale stary leśniczy był ulubieńcem nadleśniczego Masłochy — dlaczego, nie wiadomo. Co tydzień nadleśniczy zajeżdżał do Kondradta, pozwalał się częstować kolacją i słuchał, co tamten opowiada mu o lesie, o zmarłym leśniczym Izajaszu Rzepie, o Horście Sobocie. Lubił Kondradta prawdopodobnie za jego przedziwną moc — co by stary leśnik nie zasadził w lesie, choćby i zwykły patyk, natychmiast przyjmowało się i zieleniło. W całym nadleśnictwie a może i okręgu, leśnictwo Kondradta miało najmniej wypadów na uprawach.

Kierowca, który wiózł Wojtczaka słuchał jego seplenienia i jak zwykle potakiwał albo narzekał na swoją pracę, na swoją żonę, na swoje nieudane życie. Wojtczak takich lubił, takich popierał, choć wyśmiewał się z nich za ich plecami. Życzliwie mówił, na przykład o Tarchońskim, gdyż widział jak tamten dostał po gębie od swojej żony. Źle mówił o Kuleszy, bo wziął sobie za żonę hożą dziewkę od Horsta Soboty. Teraz niby to gniewnie seplenił na Kulesze, że tamten chla od trzech dni i nie pilnuje plantacji, lecz w gruncie rzeczy czuł w sobie jakieś ciepło na myśl, że ta dziewczyna uciekła od tego młodzika i nie miał zamiaru robić notatki służbowej z powodu pijaństwa Kuleszy. I nie pomyślał o tym, gdy wjechał przez szeroko otwartą bramę w siatce ogradzającej Wilczy Róg i od gajowego Wzdręgi dowiedział się, że Kulesza na plantacji nie pokazywał się od przedwczoraj. „Ma kłopoty" — rzekł do Wzdręgi, który doszedł do wniosku, że stary dog nie jest aż tak złym człowiekiem jak to o nim gadają. Sam Wojtczak nigdy by w ten sposób o sobie nie pomyślał. Nie zastanawiał się nad sobą i byłby zdziwiony, gdyby ktoś mu rzekł, że coś go boli, gdy widzi czyjś uśmiech na twarzy, czyjeś szczęście albo wzrastający cudzy dobrobyt. A przestaje boleć i cieszy, gdy zaczynał dostrzegać cudze kłopoty. To było aż dziwne, bo przecież na swoje życie nie mógł się uskarżać, miał dobrą żonę i nadupczył się kiedyś innych kobiet, córki dobrze wydał za mąż za ludzi wykształconych i na stanowiskach, był na „ty" z tyloma osobistościami. Może jedynie to dawało jakiś trop do głębin jego duszy, że budził się i zasypiał z niezrozumiałym uczuciem lęku: ktoś mu nagle odbiera stanowisko, i wysyła na emeryturę. Słyszał przecież co mówili ludzie, że gdy kiedyś znajdzie się na emeryturze, nikt mu w tych stronach ani się nie ukłoni, ani ręki nie poda. Póki miał władzę — był kimś. A przez co się udowadniało władzę? Przez prawo pokrzykiwania na innych, robienia służbowych notatek i odbierania premii. Za długo przebywał w lesie, żeby nie wiedzieć, że tylko ten żyje, kto jest bliżej słońca i innym coś odbiera.

Wojtczak rozejrzał się po szerokiej łysej połaci półwyspu tu i ówdzie upstrzonego wielkimi koparkami. Po plantacji łaziło kilka kobiet i robotników leśnych — wbijali paliki w miejsca, gdzie miano sadzić nowe drzewka. Tak samo dobrze jak Masłocha zdawał sobie sprawę, że próchnicę w zbyt wielu miejscach po prostu wywiało, sadzonki będą rosły wolniej a wiele z nich poschnie. Ale do tego czasu on pójdzie już na emeryturę. Masłosze awansuje do okręgowego zarządu. Cała odpowiedzialność spadnie na Romanikową, która wyciągnie z sejfu mapy glebowo-siedliskowe i w ten sposób nikt nie będzie winien. Mapy nie mogą kłamać. „Nie mamy doświadczeń w tym względzie, ale je dopiero zdobywamy" — powie kiedyś na którejś naradzie sam dyrektor okręgowego zarządu.

— Niech ktoś skoczy po Kulesze — powiedział do Wzdręgi. — Przecież jutro zjeżdża tu cała komisja.

Wzdręga z trudem zrozumiał, co mu powiedział Wojtczak, bo stary pluł i seplenił. Posłał jednak do leśniczówki jakąś dziewczynę na rowerze. Wojtczak rozwinął rulon mapy, którą przez drogę pieszczotliwie trzymał w dłoniach, zerknął na nią z namysłem i zaraz przywołał Budrysa.

— Na mapie nie ma bagienka. Te kupę kamieni zepchniesz do bagienka. To samo zrobisz z tymi nagrobkami. Nie widzę żadnego cmentarza na tej mapie.

— A może tam będzie złoto, panie nadleśniczy? — przymilnie wykrzywił usta traktorzysta Budrys.

Pobiegł do swego ciągnika z zamontowaną koparką, po drodze powiedział coś do Karasia i innych robotników. I zaraz zrobiło się zbiegowisko koło kamiennych nagrobków.

— Ty Stępień, najpierw zwal nagrobki do bagna — krzyknął do drugiego traktorzysty z gąsienicowym ciągnikiem do zrywki.

Czarny kłąb spalin otoczył gąsienicowy ciągnik i pierwsze ogromne głazy nagrobkowe, pchane potężnym lemieszem zaczęły sunąć do pobliskiego bagienka. Nie minęło piętnaście minut, a wzgórek z cmentarzykiem był zupełnie łysy. Wtedy Budrys zaczął wgryzać się w ziemię swoją łyżką, odrzucając na bok z początku ziemię a potem rozwalone deski trumien, jakieś zgnite szmaty kości, czaszki ludzkie. Ci, co się tu zbiegli — motykami grzebali w wydobytej ziemi, przeszukując kości i rycząc w struchlałych resztkach trumien. Złota nie było, nawet najmniejszego kawałka metalu. Wojtczak podszedł bliżej i koło ramienia przeleciała mu czaszka z długimi siwymi włosami, którą Karaś cisnął w młodą dziewuchę, zaglądającą do dołu wygrzebanego przez koparkę.

— Wszystko się prawie rozpadło, a włosy zostały — zdumiał się głośno Wojtczak, ale powiedział to tak bełkotliwie, że nikt go nie pojął.

Koparka raz po raz zagłębiała w ziemię swoją łyżkę, wyrzucając na wierzch tajemnice starego cmentarza. Jej ostre zęby przecinały korzenie drzew, które tu kiedyś rosły, miażdżyły spróchniałe drewno trumien, zetlałe kości klatek piersiowych, piszczeli, goleni pokrytych jeszcze zgniłym suknem. Tak naprawdę te resztki w niczym nie przypominały ludzi, były jedynie obrzydliwym śmietniskiem. A przecież jednak owe piszczele i golenie kogoś nosiły po tej ziemi, drobne kostki palców coś tam robiły przez wiele lat, a pod pokrywami czaszek kłębiły się czyjeś myśli. Ktoś także zapłakał wkładając te ciała do trumien, ale myśli i uczucia ludzkie okazały się mniej trwałe niż trumienne drewno, niż kamienie z zatartymi napisami. O tym pomyślał przez chwilę gajowy Wzdręga i dreszcz nim wstrząsnął.

Łyżka koparki znowu wyrzuciła na wierzch czyjąś czaszkę z żółtymi zębami. W czerepie widziało się okrągłą dziurkę pewnie po kuli karabinowej, która utkwiła w mózgu. Czerep czaszki wypełniała ziemia, która zaczęła się z niej wysypywać, gdy wziął ją w ręce robotnik leśny nazwiskiem Bałaban. Pstryknął palcami w górną szczękę i żółte zęby wypadły jak koraliki z rozerwanego naszyjnika.

— To nie jest chyba dozwolone — zwrócił uwagę Wzdręga.

Wojtczak znowu rozwinął rulon.

— Nie ma tego cmentarza na naszej mapie — powiedział.

Wzdręga chciał odgonić ludzi od tego miejsca, ale już się nie dało. Miotała nimi chciwość i wciąż od nowa łyżka koparki zanurzała się w ziemię, wydobywając kawałki trumien i kości.

Karaś coś znalazł w ziemi i szybko schował do kieszeni. Myślał, że nikt nie zauważył. Ale Budrys zaraz zatrzymał swój ciągnik, zeskoczył z siodełka i rzucił się na Karasia.

— Pokaż. To ja wygrzebałem moją łyżką — chwycił Karasia za ramiona i zaczął nim tarmosić. Dołączył się do niego Stępień, przewrócili Karasia na ziemię i wyciągnęli mu z kieszeni kawałek przerdzewiałego metalu.

— Kłódka czy coś podobnego? — dziwował się Budrys, drapiąc zrogowaciałym paznokciem przerdzewiały metal.

Pozbawiona dolnej szczęki czaszka z długimi siwymi włosami, wciąż leżała u nóg Wojtczaka. Budrys odrzucił od siebie przerdzewiałe, niekształtne znalezisko, ktoś je podniósł i znowu, po obejrzeniu odrzucił.

— Jazda z tym wszystkim do bagna! Stępień, właź na ciągnik! — pluł wokół siebie Wojtczak.

Nadjechał Kulesza swoim ułazem. Z trudem zeskoczył z siedzenia kierowcy, oczy miał przekrwione, cuchnął nie strawionym alkoholem.

— Źle pan zrobił, panie nadleśniczy — mruknął. — Na zniszczenie cmentarza trzeba mieć specjalne zezwolenie.

— To bardzo stary cmentarz — splunął Wojtczak. — Plantacja kosztuje miliardy, panie Kulesza. Musi być porządek za takie pieniądze.

— Podobno pochowano tam jeńców wojennych, nie minęło pięćdziesiąt lat. Ludzie mi o tym mówili, więc cmentarza do tej pory nie dałem ruszać.

— Nie mamy go na mapie — oświadczył Wojtczak. — A pan jest chyba pijany, panie Kulesza.

— Piłem wczoraj, w nocy — młody leśniczy oblizał warzi, które były aż spieczone od alkoholu.

Lemiesz gąsienicowego ciągnika za każdym swoim ruchem posuwał ziemię zmieszaną z kośćmi i trumnami do małego bagienka, które powoli wypełniało się. Ludzie już rozeszli się po plantacji.

— Żona ode mnie uciekła — zwiesił głowę Kulesza.

— Ta od Horsta Soboty? — upewniał się Wojtczak jak gdyby nie wiedział jaką żonę miał młody inżynierek.

— Ta sama, panie nadleśniczy.

— A dlaczego uciekła?

— Popijaliśmy i na siłę ją chciałem wziąć.

— No, i pewnie — pysk starego doga otworzył się uśmiechem.

Wojtczak obliczał w myślach, ile dni minęło od wyjazdu Kulesza wszystkich pieniędzy chyba jeszcze nie przepił. Wojtczak miał ochotę wypić za cudze i była ku temu okazja.

— Wzdręga — opluł gajowego. — Dopilnujcie porządku. Tę czaszkę z włosami też wrzućcie do bagna. A ja z leśniczym Kuleszą pojedziemy moim wozem do lasu. Jego wóz może tu zostać.

CDN

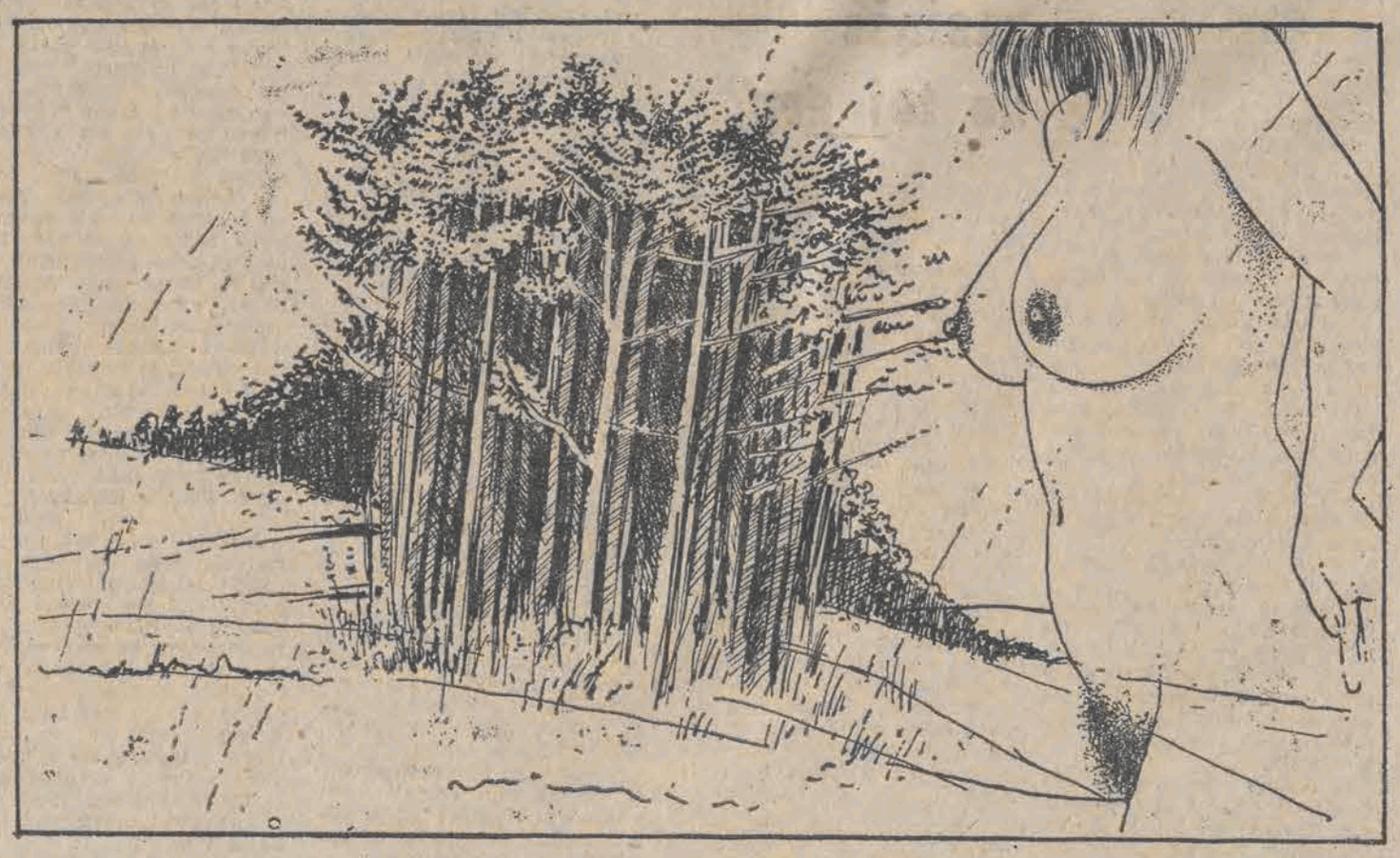

Rys. Janusz Szymański-Glanc